



JERZY EDIGEY

MISTER MacARECK
I JEGO BUSINESS



CZYTELNIK 1970 WARSZAWA

Okładkę projektował

ANDRZEJ HEIDRICH

Wydanie drugie rozszerzone

Rozdział I

Kiedy tego dnia rano przyszedłem do redakcji, sekretarka, popularna i lubiana przez wszystkich pani Lucyna, powitała mnie słowami:

– Naczelnny trzy razy pytał o pana. Dzwoniłam do domu, ale nikt już nie podnosił słuchawki. Naczelnny prosił, żeby pan zaraz się u niego zameldował.

Skrzywiłem się. Takie nagłe zainteresowanie naczelnego redaktora moją skromną osobą i to od samego rana nie wróżyło nic dobrego.

– O co chodzi? Nie wie pan? – usiłowałem się czegoś dowiedzieć przed wizytą w gabinecie szefa. – I jak tam naczelnny dzisiaj?

– Lepiej... Lepiej nie pytać. Obrugał i redaktora Bocińskiego, i wszystkich korektorów. Dostało się nawet „nocnemu”, że zmienił rozkładówkę bez porozumienia z nim. Pewnie wczoraj na brydżu karta mu nie szła.

Cóż było robić? Bez większego entuzjazmu otworzyłem drzwi do gabinetu naczelnego redaktora. Właśnie rozmawiał przez telefon i tylko wskazał mi ręką krzesło naprzeciwko biurka. Kiedy położył słuchawkę, „strzelił” do mnie od razu krótkim pytaniem:

– Zbrodnię Vasco da Gama pan zna?

Potwierdziłem skinieniem głowy, szukając w zakamarkach

pamięci szufladki z wykładami historii i geografii. Przypominałem sobie gorączkowo dawne czasy – gimnazjum imienia Mikołaja Reya, wykłady profesora Ewerta... Nie! Chyba Leśniewskiego. Wiek bodaj XVI, wielkie odkrycia i podróże naokoło świata. Wśród nazwisk słynnych podróżników w pamięci mojej odżyło i to dźwięczne portugalskie – Vasco da Gama. Ale co ten facet robił? Chyba szukał drogi do Indii? A może opłynął ląd Afryki? Jednakże o jego zbrodniach żaden z reyowskich belfrów nie mówił nigdy ani słowa.

Tymczasem naczelny od pytań przeszedł do ataku:

– Skoro pan znał tę sprawę, to dlaczego nic o niej nie pisaliśmy? Wszystkiego sam muszę dopilnować! Nikt się nigdy niczego nie domyśli! Nikt się niczym nie interesuje! Żadnego z was pismo nic nie obchodzi. Potraficie tylko gdzie indziej gonić za wierszówką!

– Mieliśmy ostatnio bardzo dużo szlagierów – broniłem się na ślepo. – A z miejscem było, jak sam pan wie, zupełnie źle. Trzy moje „kawałki” już prawie miesiąc leżą u Kazia.

– Leżą, bo nudne. Dobry materiał zawsze pójdzie.

Dyplomatycznie milczałem. Na pewno naczelnemu wczoraj karta nie sła.

– Mniejsza o to – ciągnął dalej szef. – Jutro zaczyna się proces w Szczecinie. Zrobi pan zaraz „zajawę” na pierwszą stronę, że „nasz specjalny wysłannik” itd., a na „dwójkę” krótko o sprawie. Na jakieś siedemdziesiąt wierszy. O godzinie drugiej po południu ma pan samolot do Szczecina. Trzeba zaraz postać gońca po bilet. Dzwoniłem przed chwilą i zarezerwowali nam ostatnie miejsce. Ze Szczecina zadzwoni pan wieczorem i da „migawki” oraz rozmówki przed procesem. Jutro do godziny jedenastej przetelefonuje

pan początek rozprawy. Pójdzie to na pierwszą kolumnę. W Szczecinie zostanie pan do końca procesu. Niech się pan tak urządzi, żebyśmy mogli podać do numeru wyrok w dniu jego ogłoszenia.

– Nie zdążę dzisiaj wyjechać. Chyba w nocy. Na rano będę w Szczecinie i nadam otwarcie rozprawy – usiłowałem się bronić, nie rozumiejąc zupełnie, dlaczego sympatyczny podróżnik portugalski o muzycznym nazwisku ma mieć proces w Szczecinie i to w paręset lat po swojej śmierci. I dlaczego właśnie ja mam być tym „naszym specjalnym sprawozdawcą”. Nie może to naczelny wysłać kierownika lub kogoś z działu kulturalnego albo naszego specjalisty od komunikacji, redaktora Modzia?

– Pojedzie pan samolotem za cztery godziny – naczelny był nieubłagany.

– Przecież nie mam pieniędzy, a kasa nie zdąży wziąć z RSW „Prasy” – chciałem odwlec swój wyjazd, wynajdując różne przeszkody.

– Rozmawiałem z naszym dyrektorem. Na razie dadzą panu tysiąc złotych z nie odebranych wierszówek. Jeżeli proces potrwa dłużej, doślemy. W najgorszym razie pójdzie pan w Szczecinie do któregoś z miejscowych gazet i otworzą nam krótki kredyt.

– Ale ja nie mam hotelu zarezerwowanego. W Szczecinie o nocleg w ogóle bardzo trudno, a cóż dopiero w czasie takiego procesu.

– Nie zginie pan – szef był nieugięty w swoim postanowieniu. – No, do widzenia i szczęśliwej drogi. A przedtem proszę nie zapomnieć o „zajawie” i 70 wierszach na drugą stronę.

Z gabinetu naczelnego wyszedłem zupełnie zgnębiony. Wcałe mi się nie uśmiechało tłuc nad Odrę i robić proces jakiegось tam

Portugalczyka. I co ja napiszę w „zajawie”, skoro nic nie wiem? Postanowiłem szukać pomocy w dziale kulturalnym.

Kierowniczkę działu kulturalnego, panią Karolę, zastałem w jej pokoju. Właśnie kończyła recenzję teatralną i oczywiście nie miała czasu na rozmowy.

– Nie wie pani, jaką to zbrodnię popełnił Vasco da Gama? – zapytałem.

Pani Karola przerwała na chwilę stukanie na maszynie i spojrzała na mnie wymownym wzrokiem.

– Przy takich upałach trzeba jednak nosić jakieś nakrycie głowy – odpowiedziała współczująco i powróciła do swojej pracy.

Jak niepyszny wyniosłem się z jej gabinetu i poszedłem do popularnego w redakcji Modzia. Spec od zagadnień miejskich i komunikacyjnych powinien coś wiedzieć o wielkim podróżniku, jakim był niewątpliwie Vasco da Gama. Ale Modzio również nic nie wiedział. Obiecał wprawdzie zadzwonić do Ministerstwa Komunikacji, lecz nie miałem wielkiej nadziei, aby stamtąd uzyskał potrzebne mi informacje.

Na korytarzu napatoczył mi się redaktor Bociański, popularnie zwany „Koniem”, nie tyle od zamiłowań do koników, ile do totalizatora wyścigowego. Koń wpadł na genialną myśl.

– Jeśli proces tego Portugala jest w Szczecinie, to przejrzyj komplet „Kurieria Szczecińskiego”. Miejscowa prasa musiała coś pisać. Oni zawsze mają dobre wiadomości z portu. Zapewne chodzi o jakiś proces morski. Przecież Vasco da Gama podróżował na statkach. Może nawet był kapitanem? Może wpadł na inny statek przy nadbrzeżu portowym? W sądach morskich często rozpatrują sprawy cudzoziemców, więc i twój mógł coś przeskrobać.

Że co? Mówisz, że nie żyje od czterystu lat? To po co sobie naczelny nim głowę zawraca? Najlepiej spytaj naczelnego, o co chodzi.

– Spytaj sam, kiedyś taki mądry – odpowiedziałem i pobiegłem piętro wyżej do archiwum redakcyjnego.

Za chwilę przede mną leżała zszywka numerów „Kuriera Szczecińskiego” za okres ostatniego kwartału. Nie musiałem długo szukać. Gazeta sprzed dwóch dni podawała na pierwszej stronie pod dużym tytułem wiadomość o rozpoczynającym się w środę procesie. Tytuł przez pięć szpalt brzmiał:

**ZBRODNIA NA BULWARZE VASCO DA GAMA!
CZY MAŻ BYŁ MORDERCĄ WŁASNEJ ŻONY?
WIELKI PROCES POSZLAKOWY W SĄDZIE
WOJEWÓDZKIM.**

Szybko przeczytałem doskonały opis sprawy. Oto parę tygodni temu wędkarze, łowiący przy bulwarze Vasco da Gama, nadbrzeżu Odry, zamiast ryby wyciągnęli z wody obcięta głowę kobiety. O makabrycznym odkryciu natychmiast zawiadomiono Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej. Wraz ze specami z MO przyjechali również nurkowie sprowadzeni z Zarządu Portu. Badając muliste dno rzeki, odkryli dalsze części zwłok kobiecych – tułów i oddzielnie ręce i nogi. Do zwłok przywiązane były drutem kamienie, kwadratowe kostki granitu, jakich używa się do brukowania ulic. Nie opodał, w zaroślach przylegających do bulwaru, odnaleziono dużą walizkę bez wierzchu i kilka arkuszy papieru ze śladami, które później zostały zdefiniowane jako krew. Na papierze znaleziono parę włosów, identycznych z włosami kobiety wyłowionej z Odry.

Energicznie prowadzone śledztwo pozwoliło w dwa dni później ustalić tożsamość ofiary. Zdjęto odciski palców i przesłano do Warszawy. Tutaj, w Głównym Biurze Dokumentacji, stwierdzono, że są to odciski obywatelki Szczecina, zamieszkałej w pobliżu Dworca Głównego, mężatki, z pochodzenia Rosjanki, która wyszła za mąż za Polaka, kierownika jednego ze stoisk w Powszechnym Domu Towarowym. Po otrzymaniu tych danych milicja udała się do PDT i tam zapytała pana Józefa M, o jego żonę. Wyjaśnił, że żona wyjechała do Legnicy z pewnym oficerem, swoim znajomym, i ma wrócić następnego dnia wieczorem.

W mieszkaniu państwa M, przeprowadzono natychmiast rewizję. Wykryła ona kilka arkuszy papieru identycznego ze znalezionym na bulwarze Vasco da Gama oraz tego samego gatunku drut, którym przywiązano kamienie do obciążenia zwłok. W piwnicy znaleziono również pewną ilość kostek granitowych. Ponadto sąsiedzi stwierdzili, że przed dwoma dniami, a więc jeszcze przed makabrycznym połowem wędkarzy, słyszeli w mieszkaniu krzyki kobiece i odgłosy podobne do bójki. Dodatkowym dowodem obciążającym było znalezienie w łazience ścierki ze śladami krwi. Niestety, nie udało się ustalić jej grupy. Znaleziono także całą garderobę zmarłej, a zeznania jej męża, że wyjeżdżająca ubrała się w zielony płaszcz, czarną spódniczkę i popielaty sweter, stały w jaskrawej sprzeczności z oświadczeniami przyjaciółek i znajomych zamordowanej. Twierdziły one, że takiego stroju zmarła w ogóle nie posiadała.

Poza tym dochodzenie ustaliło, że małżonkowie źle ze sobą żyli i doszło do tego, że żona rzuciła pana M, i wyjechała do swojej rodziny w ZSRR. Po pewnym jednak czasie mąż pojechał w

ślad za nią i sprowadził z powrotem. Walentyna M, była zamożna. Ponownie wracając do męża przywiozła ze sobą sporą ilość biżuterii, kilkanaście pierścionków i obrączek oraz złotych zegarków. Ostatnio Józef M, zdradzał żonę, a nawet postanowił wspólnie ze swoją kochanką otworzyć prywatną kawiarnię nad brzegiem Jeziora Głębokiego.

Łącząc te wszystkie poszlaki w logiczną całość, prokurator – a w sprawie tej miał oskarżać młody, ale bardzo zdolny i świetny mówca, prokurator Kasprzak – w doskonale zbudowanym akcie oskarżenia dowodził, że w tym stanie rzeczy jedyną osobą zainteresowaną w usunięciu Walentyny M, był jej mąż. Zyskiwał on i wolność, i pieniądże na otworenie kawiarni.

Zupełnie inne stanowisko zajęła obrona. Oskarżony nie przyznał się do winy i twierdził, że jego żona prowadziła różne podejrzanе interesy z jakimś oficerem z Legnicy. Zapewne ten właśnie oficer zamordował jego żonę. Być może pokłócili się o podział zysków lub też morderca chciał usunąć niewygodnego świadka, który za dużo wiedział o niezbyt czystych aferach swojego współnika. Pan M, podawał rysopis oficera i jego imię. Obrona zarzucała więc milicji, że prowadziła ona śledztwo jednostronnie, koncentrując je wyłącznie na gromadzeniu poszlak przeciwko oskarżonemu, a nie dołożyła starań dla odszukania tajemniczego wojskowego.

Proces jako „poszlakówka” – twierdził dobrze zazwyczaj poinformowany „Kurier Szczeciński” – zapowiadał się wręcz pasjonująco, bo zarówno prokurator, jak obrona nie odkryli jeszcze wszystkich kart i mają w zanadru niejedną niespodziankę. Rozprawa wzbudziła olbrzymie zainteresowanie w Szczecinie i o

bilety wstępu toczą się boje równie zacięte, jak przed „Delikatkami” z chwilą pojawienia się tam w sprzedaży pomarańcz.

Nareszcie byłem w domu! Nie zbrodnia starego Portugalczyka, ale proces poszlakowy o zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama. Jak zwykle naczelny słyszał dzwony, ale nie wiedział, w jakim kościele dzwonią. Teraz nawet wyjazd do Szczecina za niecałe cztery godziny malował mi się w bardziej różowych barwach.

Szybko napisałem „zajawę” i po prostu zerznąłem te siedemdziesiąt wierszy z „Kuriera Szczecińskiego”. Po podrzuceniu obydwu kawałków u sekretarza redakcji i zainkasowaniu zaliczki, wycygałem samochód redakcyjny, aby pojechać, do domu po kilka drobiazgów, a później na lotnisko. Wszystko poszło szczęśliwie, lot był bardzo przyjemny. W powietrzu było dużo chłodniej niż w lipcowej spiekocie na warszawskich ulicach, a słynne parówki sprzedawane w czasie postoju na poznańskim lotnisku jak zawsze bardzo smaczne. Około piątej po południu stanąłem na ulicy Wojska Polskiego.

Poszedłem wprost do „Gryfa”. Na mój widok sympatyczna portierka hotelowa rozłożyła ręce:

– Pan jest dzisiaj pięćdziesiątym, który pyta o pokój, a nie mamy żadnego wolnego. W Szczecinie są aż cztery zjazdy. Geodetów, specjalistów od osuszania błot i torfowisk. Drugi, to rzeźników drobiowych. Trzeci radców prawnych „Cepeli”, a czwarty miłośników regionu podgórskiego na Dolnym Śląsku. Wszystkie hotele zajęte aż do strychu.

– Ale przecież wszystkie klucze wiszą na swoich wieszakach.

– Bo ci panowie obradują w Międzyzdrojach. Dojeżdżają tam codziennie autokarami. Chyba że zwiedzają port szczeciński.

Wtedy obrady toczą się na statku. U nas w czerwcu, lipcu i sierpniu stale są zjazdy.

– A zimą?

– Zimą mamy spokój. Na zjazdy wybiera się Zakopane lub Krynica. W ostateczności uzdrowiska dolnośląskie. Przecież pan o tym wie, redaktorze. Tak było i tak jest.

Wiedziałem, więc tylko zakląłem i wyruszyłem na dalszą wędrówkę po innych miejskich hotelach. Niestety, portierka mówiła prawdę. W każdym, bez względu na kategorię i wielkość, niezmiennie odpowiadano mi:

– Nie tylko pokoju, ale łóżka wolnego nie mamy. Nawet na dostawkę. Również wszystkie fotele są już zamówione przez przejezdnych, którzy wolą w holu się przekimać, niż spędzić noc w poczekalni kolejowej. Adresy prywatne zostały już rozdane. Także w „Domu Szwedzkiego Marynarza” jest komplet, bo pastor prowadzący tę placówkę przygarnął bezdomną wycieczkę.

Bez cienia nadziei poszedłem do ostatniego szczecińskiego hotelu. Przed jego wejściem stał zaparkowany piękny, popielaty wóz – mercedes 300 SE. Sportowa maszyna została przerobiona na śliczny kabriolet. Od pierwszego rzutu oka można było spostrzec, że to nie seryjna robota. Taki wóz musiał kosztować majątek, co najmniej 8–10 tysięcy dolarów. Samochód miał francuskie znaki rejestracyjne.

W recepcji powiedziano mi krótko, że hotel przeznaczony jest dla cudzoziemców. Tylko wyjątkowo, gdy są wolne miejsca, odstępuje się je obywatelom PRL. Ale w sezonie zdarza się to bardzo rzadko. Obecnie nic wolnego nie ma. Adresów prywatnych noclegów również nie ma. Słowem – generalna klapa. Przyjdzie chyba nocować pod któryś z mostów szczecińskich.

Oto gorzki los „specjalnego wysłannika” wielkiego dziennika warszawskiego.

– Czyj to taki piękny wóz stoi przed wejściem? – zagadnąłem pana z recepcji, licząc, że może w ten sposób trafię do jego łask, i wykombinuje mi już nie pokój, o tym przestałem nawet marzyć, ale przynajmniej jakiś wygodniejszy fotel w jednym z saloników hotelowych. Nocne lokale Szczecina otwarte są do godziny trzeciej w nocy. Od trzeciej do rana mógłbym się trochę przedrzemać przed otwarciem rozprawy i dzięki temu może nie usnąłbym na sali sądowej w czasie czytania aktu oskarżenia.

– Mercedes – odpowiedział portier z namaszczeniem w głosie – należy do Amerykanina Henry MacArecka. Mister MacAreck już od kilku dni bawi w naszym hotelu. Bogaty gość.

To uzupełnienie było całkiem zbędne. Orientowałem się dobrze, że właściciel takiego wozu na pewno nie jest urzędnikiem pocztowym ani konduktorem na linii autobusowej.

– O, właśnie schodzi ze schodów – konspiracyjnie szepnął do mnie portier, zginając się jednocześnie w głębokim ukłonie i ozdabiając swoją twarz uśmiechem przeznaczonym tylko dla gości dających najwyższe napiwki.

Ze schodów schodził mężczyzna w wieku około lat pięćdziesięciu, ale, jak zwykle się mówić, dobrze zakonserwowany. Przy stojna twarz, śniada cera przyjemnie kontrastująca z jasnymi włosami. Ruchy miał energiczne, figurę zgrabną, wysoką, chociaż z pierwszymi zadatkami starannie ukrywanej tendencji do otyłości. Jego sylwetka przypominała mi kogoś znajomego.

Amerykanin, ubrany w lekkie popielate ubranie, idealnie stonowane z kolorem auta, zbliżył się do nas, położył klucz na

ladzie recepcji i zagadnął coś po angielsku do portiera. W tym momencie poznałem go.

To przecież nie żaden mister Henry MacAreck, jak mówił portier, tylko Henio Makarek, mój kolega szkolny jeszcze z tych czasów, gdy siedzieliśmy na jednej ławce w klasie na czwartym piętrze gimnazjum imienia Mikołaja Reya w Warszawie przy placu Małachowskiego. Wyżej nad nami znajdował się jedynie napis „macte animo”.

Przybysz poznał mnie również. Uśmiech rozlał się na jego obliczu. Klepnął mnie w ramię, aż się przegiąłem, i powiedział:

– Mister George Edigey? Yes? – i dodał już po polsku – jak się masz, stary byku!

Padliśmy sobie w ramiona. Wytworny pan z recepcji nie umiał ukryć swojego zdziwienia i zgorznienia. Czy to możliwe, aby amerykański milioner rzucał się na szyję pierwszemu lepszemu pis smakowi z Warszawy? Takiemu, który nie tylko nie jest „cudzoziemcem dewizowym”, ale nawet nie ma zamówionego pokoju. Nie mówiąc o tym, że nie daje napiwków ani w dolarach, ani w zwykłych nawet złotówkach.

– Co robisz w Szczecinie? – zapytałem po czułym powitaniu.

– Przyjechałem w odwiedziny do ojczyzny. Pierwszy raz od 1939 roku. Dotarłem do Szczecina i utknąłem w tym pięknym mieście. Jestem w nim zakochany i nie mogę się stąd wyrwać. Siedzę cztery dni, a obiecywałem sobie, że zatrzymam się jedynie na nocleg i następnego poranka pojedę do Warszawy. A ty co tu robisz? Mieszkaśz stale?

– Nie. Przyjechałem na proces sądowy. Jestem dziennikarzem i mieszkam w Warszawie. Przyleciałem godzinę temu i

zdążyłem obejść wszystkie hotele. Nigdzie nie ma miejsca. Przyjdzie mi chyba nocować pod mostem.

Henry MacAreck roześmiał się.

– Proszę przygotować temu panu pokój – zwrócił się do portiera.

– Ciężko będzie, panie prezesie – tłumaczył portier – naprawdę wszystko mamy zajęte.

– Nie zwracajcie mi głowy, takie bajeczki może pan opowiadać swoim dzieciom, nie mnie. Idziemy teraz na kolację. Przed naszym powrotem rzeczy tego pana mają być już rozpakowane w jego numerze. Pokój ma przylegać do mojego. Zrozumiano?

Wytworny pan z recepcji ponownie zgiął się w ukłonie.

– Czego ja dla pana prezesa nie zrobię. Chociaż, jak Boga kocham, narażam swoją posadę. Będę musiał Niemca z NRF przeprosić i przenieść na czwarte piętro.

– No tak. To rozumiem! To lubię! A to dla pana – MacAreck sięgnął niedbałym gestem do kieszeni i rzucił na ladę zwinięty w czworo zielony papierek. Zniknął on błyskawicznie w wyciągniętej dłoni portiera, zaledwie zdążyłem zauważyć napis „Five dollars”.

Muszę przyznać, że chociaż memu dawnemu koledze szkolnemu, podobnie jak mnie, przybyło od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnio, i sporo latek, i nawet parę kilogramów, pod jednym względem nic się nie zmienił. Pozostał mu ten pewny siebie, rozkazujący głos i chęć imponowania ludziom. Jestem przekonany, że takim samym gestem rzuciłby portierowi tę pięciodolarówkę nawet wówczas, gdyby nie miał pięknego Mercedesa i gdyby ten banknot był ostatnim w jego kieszeni.

Gdy tylko znaleźliśmy się w restauracji hotelowej, kierownik

sali wyrósł jak spod ziemi, aby uprzejmym gestem wskazać nam stolik. Nie zdążyliśmy jeszcze usiąść, gdy dwóch kelnerów podawało listę potraw i kartę win.

– Kochany stary kraj – rozczulał się Henio. – Jaka tu wszędzie uprzejmość i jaka szybka obsługa. Polska ma chyba najlepszych i najszybszych kelnerów na świecie. Po prostu zgadują myśli człowieka.

Rzucił okiem na kartę i składając ją powiedział do kelnera:

– Po co mamy się męczyć? Niech pan da nam specjalnie dobrą kolację. Spotkałem przyjaciela, którego nie widziałem od dwudziestu trzech lat. Trzeba to godnie uczcić. Daj pan to, co macie najlepszego do jedzenia i picia. Tylko nie żadne koniaki i inne mieszaniny wody z mydłem i gliceryną, a uczciwe polskie wódki. Głodny jestem jak wilk.

W chwilę potem stół był zastawiony najrozmaitszymi smakołykami, a ze srebrnego wiaderka wystawały szyjki najprzedniejszych trunków. Henio, spoglądając na mnie rozmarzonym wzrokiem, ciągnął dalej:

– W Ameryce kelner wydziwiałby na gościa, że nie umie z karty wybrać, a tu grzecznie, uprzejmie i szybko cały stół nakryli. Tak jest w Polsce wszędzie, od pierwszej chwili, gdy przekroczyłem granicę. Na pierwszej napotkanej stacji benzynowej nawet mnie nie pytali, czy sobie życzę, lecz zupełnie bezinteresownie wymyli auto i zmienili olej. Rachunku za to nie wystawili, tylko ukłonili się i życzyli dobrej podróży. A gdy im dałem dziesięć dolarów, sam kierownik wyskoczył ze swojego kantorka i dopóki wóz nie zniknął na zakręcie, wszyscy machali na pożegnanie rękoma. A w hotelu jacy mili i grzeczni! Przyjechałem prosto z Francji, gdzie bez napiwku, i to grubego, nikt dla ciebie nic nie

zrobi. Wszędzie tylko „pourboire” i „pourboire”. Tutaj natomiast ludzie uśmiechnęci, weseli, radzi by nieba przychylić. Rozdałem parę pięciodolarówek. We Francji portier obraziłby się, gdybym ośmielił się dać mu taki napiwek, a w Szczecinie każdy bierze bez skrzywienia. Jeszcze udają zadowolonych. Widziałeś, jak ten facet z recepcji starał się, żeby dla ciebie pokój wykombinować? Co za kraj, co za wspaniały kraj!

– A dużo masz tych pięciodolarówek? – zapytałem.

– O, nie bój się. Jestem bogaty. Na wasze europejskie stosunki nawet bardzo bogaty. Oczywiście, jeśli chodzi o Amerykę, to można o mnie mówić, że jestem dopiero na dorobku. Dojeżdżam do pierwszego miliona. Dużo się, bracie, zmieniło od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Pamiętasz, było to w małym lasku pod wsią Rzakta koło Otwocka. Namawiałem cię, żebyś poszedł z nami. Kto wie, może dzisiaj również rozdawałbyś pięciodolarówki, zamiast pracować w jakiejś tam gazecie...

– Skąd masz tego pięknego mercedesa?

– To drobiazg! Mogłem zresztą sam go sobie kupić, ale dostałem od trzech przyjaciół Francuzów na pamiątkę znajomości. Kiedyś przy sposobności opowiem ci tę historię. A teraz zabierajmy się do jedzenia, bo wódka szkłem przechodzi. Widzisz nie zapomniałem waszych polskich powiedzeń.

– Ale ten wóz chyba nie z seryjnej roboty?

– Nie, robiony na zamówienie jakiegoś bogatego Argentyńczyka. Zapłacił za maszynę około 12 000 dolarów, lecz później tak mu karta nie szła w kasynie w Nicei, że musiał go sprzedać za połowę wartości. Z kolei trafił w moje ręce.

– Masz bogatych przyjaciół, których stać na takie prezenty.

– Musieli to zrobić. Nie mieli innego wyjścia. Jeszcze nawet sporo moniaków dołożyli na benzynę do tego wozu! Byli bardzo zadowoleni, gdy już przekroczyłem granicę francusko-włoską. Ale dajmy temu dzisiaj spokój.

– Powiedz przynajmniej, na czym zrobiłeś forszę?

– Na chciwości i zachłanności ludzkiej. Na tym, że bogaty człowiek nie pominię żadnej okazji, aby biedniejszego od siebie wyzuć z resztek jego dobytku. Nie myśl – głos mojego przyjaciela nagle stracił swoją serdeczność i zabrzmiał twardo jak zgrzyt stali – że ja nie zaznałem nędzy. Życie mnie nie pieściło przez długie lata, dopóki nie pojąłem tej prawdy. Pracowałem łopatą wrzucając tony węgla do kotłów centralnego ogrzewania, wiem też, co znaczy stać na nogach przez osiem godzin w ciasnym, dusznym pomieszczeniu i bez przerwy zmywać setki i tysiące talerzy. Moje uniwersytety znajdowały się w slumsach Londynu i wśród kanałów portowych Antwerpii. Byłem jednak pojętnym uczniem. Dlatego zdołałem się stamtąd wyrwać, mimo że tysiące takich jak ja tkwi w tym do dzisiaj. No, twoje zdrowie, stary!

Reszta wieczoru upłynęła wśród rozmów o dawnej Warszawie, o czasach szkolnych i wspominkach, co porabiają dawni koledzy, a który z nich nie przeżył wojny i okupacji. Było już bardzo późno, gdy na dziwnie miękkich nogach opuszczałem restaurację.

Portier, chociaż nie ten „staruszek” z piosenki, „z uśmiechem wręczył klucz” i poinformował, że pokój jest koło numeru mi-ster MacArecka. Chciałem płacić, ale dowiedziałem się, że „mi-ster MacAreck kazał to zapisać na swój rachunek”. Gdy robiłem Heniowi wymówki, tłumacząc, że jestem w delegacji służbowej i płacę za hotel nie z własnej kieszeni, tylko pieniędzmi RSW „Prasa”, serdecznie się roześmiał.

– Niech więc to będzie mój wkład dla dobra prasy polskiej – powiedział.

Położyłem się do łóżka. W głowie mi niezłe szumiało, a wypite filiżanki kawy nie pozwalały zasnąć. Wracałem ciągle myślami do dzisiejszego spotkania i do przedzierzgnięcia się mojego szkolnego kolegi, Henryka Makarka, w milionera amerykańskiego, mister Henry MacArecka. Postanowiłem, że wyciągnę z niego całą historię jego życiowych przygód między naszym ostatnim spotkaniem tego pamiętnego września 1939 roku a spotkaniem w Szczecinie, w siedemnaście lat po wojnie.

Później zapadłem w rodzaj półsnu. Jak w dziwnym filmie przesuwają się przed moimi oczyma najrozmaitsze obrazy. Widziałem naszą klasę ósmą „B” w gimnazjum im. Mikołaja Reya, z pocziwym naszym wychowawcą, profesorem Olearskim. Wycieczki do Rejówka pod Górą Kalwarią, gdzie Henio Makarek został złapany razem ze mną, Jurkiem Deublem i „papciem” Zbyszkiem Kamińskim, gdy rznąliśmy w pokera. Nasza trójka już zdążyła schować karty, a Henio, który nie widział Olearskiego, bo siedział tyłem do drzwi, jeszcze się darł:

– Te pięć złotych i jeszcze dwadzieścia!

I jaką miał głupią minę, gdy wychowawca zaglądając mu przez ramię w karty powiedział spokojnie:

– Z takim stritem? Wstydziłbyś się tak licytować, Makarek.

Film z czasów szkolnych nagle się urywa. Dostajemy matury. Zwarta dotychczas klasa rozbija się na grupki. Jedni idą na uniwersytet, inni na politechnikę lub na WSH. Inni wreszcie nie chcą lub też nie mogą pozwolić sobie na luksus wyższych studiów

i szukają pracy. Henio należał do tej ostatniej grupki. Zaczepił się w biurze filmowym w nie istniejącym dziś jednopiętrowym budynku w Alejach Jerozolimskich, nie opodał Marszałkowskiej przed hotelem „Polonia”. Pamiętam, że nieraz dostawaliśmy od niego kartki na bezpłatne bilety do kina. Makarek nie zrobił wielkiej kariery. Często powtarzał, że film to wielki interes, i snuł plany rozpoczęcia czegoś na własną rękę, ale brak pieniędzy stał temu na przeszkodzie. Nasz najlepszy tenisista i pływak dziwnie jakoś nie umiał dać sobie rady w życiu. Gdy więc reszta kończyła już wyższe uczelnie i niejeden zaczynał piękną karierę, popartą zresztą najczęściej pieniędzmi i stosunkami ojca, on wciąż był urzędnikiem w biurze filmowym.

Miał się żenić, poznałem nawet „babkę”, którą przedstawiał jako swoją narzeczoną. Musiała chyba mieć pieniądze, bo urodą nie grzeszyła, i była starsza od Henia o dobre kilka lat. A przecież Makarek, przystojny, wysportowany chłop, cieszył się niesamowitym wprost powodzeniem u płci odmiennej. Ale do małżeństwa jakoś nie doszło.

Zaabsorbowany własnymi sprawami, coraz lepiej rozwijającą się praktyką adwokacką, rzadko wtedy kontaktowałem się z Heniem. Wiedziałem jednak, że nie powodzi mu się nadzwyczajnie. Z jego planów filmowych nic nie wyszło. Stracił nawet posesję w agencji i musiał zaczepić się na małej pensyjce w Polskim Banku Komunalnym, gdzie oczywiście startował „od zera”. Był bardzo zdolny, miał zawsze kapitalne pomysły, lecz nie potrafił podporządkować się urzędniczemu rygorowi. Praca w banku jest zajęciem bardzo specyficznym. Jak na złość Henio trafił do najbardziej nudnego i zrutynizowanego oddziału banku, jakim jest

wydział czekowy. Polski Bank Komunalny nie miał dużego portfela klientów. Właścicielami kont czekowych były przeważnie zarządy miejskie prawie wszystkich miast w Polsce. Tą drogą były dofinansowywane na różne cele specjalne. Toteż ruch przy okienku Makarka był minimalny. Kilkadziesiąt czeków przez cały dzień. Chociaż były to czeki na poważne sumy, nie mogły wypełnić urzędnikowi ośmiu godzin pracy. Przeto w wolnych chwilach rozkładał gazetę i czytał ją, co znowu nie mogło się podobać dyrekcji banku. Powoli więc awansował po szczeblach drabiny urzędniczej.

Gdy go spotykałem w tamtych czasach, był zgorzkniały. Po prostu nie widział przed sobą żadnych perspektyw. Mówił, że chciałby wszystko rzucić w diabły i wyjechać gdzieś z tego „przeklętego grajdoła”.

Nadszedł 1 wrzesień 1939 roku. Mieszkańców Warszawy obudził o siódmej rano pierwszy nalot samolotów hitlerowskich. W parę godzin później tysiące młodych ludzi obiegało żółty, jednopiętrowy budynek DOK na Pradze nad Wisłą. Wśród nich spotkałem Henia Makarka. Wybuch wojny przyjął z radością. Narzeczcie – jak twierdził – coś się zmieni w tym pieskim życiu. Dostaniemy mundury, broń i pójdziemy „bić szkopów”. Niestety, ochotników odesłano do domu z kwitkiem. Jakiś major kazał wszystkim rozejść się, tłumacząc, że każdy otrzyma „kartę MOB” w odpowiednim czasie. Wróciliśmy spokojnie do swojej pracy. Nikt z nas jeszcze nie przypuszczał, że wypadki szybko przyjmą tragiczny obrót. Nikt nie wiedział, że opowiadania pana majora o kartach mobilizacyjnych, centrach szkoleniowych i rejonach uzupełnień są bajeczkami dla grzecznych dzieci, a dla nas nie ma

ani mundurów, ani nawet zwykłych karabinów, nie mówiąc o sprzęcie specjalnym.

Wieczorem szóstego września radio nadało osławiony rozkaz pułkownika Umiastowskiego do natychmiastowego opuszczenia stolicy przez wszystkich mężczyzn. Do dzisiaj historycy wiodą spór, czy był to akt piramidalnej głupoty, czy też zręczne posunięcie szpiega-dywersanta hitlerowskiego. Wszystkie szosy prowadzące na wschód od Warszawy zatarasowane zostały tłumami uciekinierów. Sparaliżowano wszelkie ruchy wojska. A na błękitnym, bez najmniejszej chmurki niebie nieustannie pojawiały się eskadry Stukasów, bombardujących i masakrujących ogniem karabinów maszynowych bezbronne tłumy.

Wśród uciekinierów i ja się znalazłem. Domaszerowałem aż do Brześcia. Przez most na Bugu już nikogo nie przepuszczano. Lada godzina miał być wysadzony w powietrze, ponieważ Niemcy przedarli się gdzieś spod Ostrołęki i zaatakowali miasto z drugiej strony.

Dalsza ucieczka nie miała żadnego sensu. Zawróciłem z powrotem na zachód. Boczными drogami i wprost przez pola udało mi się dotrzeć aż pod Otwock, nie natykając się nigdzie na Niemców. Z ust takich samych jak ja rajzerów i z opowiadań chłopów wiedziałem, że Warszawa wciąż jeszcze się broni. Zresztą już od Mińska Mazowieckiego słyszeć było coraz wyraźniej huk armat, a widoczna w nocy stale zwiększająca się luna kazała przypuszczać najgorsze. Z kilku przygodnie poznanymi młodymi ludźmi postanowiłem przeciąć szosę lubelską i brzegiem Wisły dotrzeć do oblężonej stolicy. Od szosy dzieliły nas tylko dwie wsie: Rzakta i Glinianka. Wiedzieliśmy, że w Gliniance stoi duży

oddział wojska niemieckiego, natomiast Rzakta jest wolna. Postanowiliśmy dotrzeć do Rzakty i po odpoczynku zaryzykować przemknięcie się koło Glinianki przez szosę.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności posuwaliśmy się w kierunku wsi. W pewnym momencie na naszej drodze znalazł się mały lasek, niby wysepka otoczona ze wszystkich stron polami kartoflanymi. Gdy weszliśmy do tego zagajnika, z zarośli wyskoczyło nagle dwóch żołnierzy w polskich mundurach. Usłyszeliśmy komendę:

– Ręce do góry! Nie ruszać się!

Za chwilę przyszedł podchorąży, sprawdził nasze papiery, wypyując, skąd się tutaj wzięliśmy. Był wyraźnie zakłopotany naszą obecnością w zagajniku. Oddziałek żołnierzy ukrywał się już od kilku dni. Nikt, nawet mieszkańcy wioski nie domyślali się jego obecności. Nasze przypadkowe przybycie groziło im dekonspiracją. W końcu podchorąży postanowił zaprowadzić nas do dowódcy.

Szliśmy przez lasek. Wszędzie widać było dobrze zamaskowane od góry pozycje. W przeciwieństwie do licznych oddziałów-rozbitków wojsko miało doskonale umundurowanie i uzbrojenie. Zauważyłem nawet kilka działek przeciwczołgowych i znaczną ilość karabinów maszynowych. Żołnierze byli ubrani starannie, czysti i ogoleni. W samym środku lasku znajdował się namiot dowódcy. Podchorąży znikł w nim i słyszeliśmy tylko jego służbisty meldunek:

– Panie kapitanie, chorąży melduje posłusznie, że warta zatrzymała i doprowadziła pięciu cywilów.

Płachta namiotu odchyliła się i nagle zobaczyłem przed sobą Henia Makarka w eleganckim mundurze kapitana ze wszystkimi

dystynkcjami. Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo aż się roześmiał. Kazał dać jeść pozostałej czwórce, a mnie zaprosił do swojego namiotu. Gdy zostaliśmy sami, Henio wysłuchał naszych projektów i wytłumaczył, że nie ma mowy o przedarciu się do Warszawy. Zresztą, jego zdaniem, los stolicy, jak i całej kampanii w Polsce jest już przesądzony. Opór potrwa jeszcze parę dni, co nie ma zresztą żadnego strategicznego znaczenia. Można jedynie przebić się na Węgry, a stamtąd przez Jugosławię i Włochy do Francji. Jego oddział jutro w nocy wyrusza w drogę i może nas zabrać ze sobą.

– Jerzy, chodź ze mną – namawiał. – Mianuję cię porucznikiem i będziesz moim adiutantem.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież Makarek został wprawdzie przyjęty do podchorążówki kawalerii w Grudziądzu, ale po pięciu miesiącach zwolniono go z wojska. Przeżył niebezpieczny upadek z konia i miał uszkodzony kręgosłup. Chodził przeszło rok w specjalnym gorsecie.

– Powiedz mi – zapytałem – skąd ten mundur i to całe wojsko, którym dowodzisz? Przecież cię zwolnili jako szeregowego rezerwy z kategorią „D”.

Henio roześmiał się wesoło.

– Mundur – powiedział – znalazłem z całą walizą innych materiałów w porzuconym samochodzie pod Lublinem. Panowie oficerowie wiali na wschód i widocznie po drodze zabrakło im benzyny. Ubrałem się w ten strój sądząc, że taka maskarada pomoże mi w złapaniu jakiegoś środka lokomocji. Ale gdy tylko pokazałem się w mundurze, zaraz zaczęli się do mnie zgłaszać pojedynczy żołnierze nie mogący odnaleźć pogubionych oddziałów, ba, całe oddziały, w których zostali jedynie młodszy dowódcy.

Anim się spostrzegł, jak dowodziłem kilkuset ludźmi. Miałem ten sam plan co ty: przedrzeć się do Warszawy. Stoczyliśmy po drodze kilka potyczek, dwa razy nas rozbili, ale szybko znowu urosiliśmy w siłę. Tak dotarłem aż pod Rzakę, jednakże dalsza droga do stolicy, nawet dla stosunkowo silnego oddziału jak nasz, jest niepodobieństwem. Dlatego postanowiłem przedzierać się na Węgry. To także nie będzie łatwe zadanie, ale mam nadzieję, że przynajmniej część z nas dojdzie.

– Czy warto? Za parę miesięcy wojna się skończy... Niech tylko Anglia i Francja uderzą na linię Zygryda!

– Brednie! Chociaż nie byłem w wojsku i bezprawnie noszę odznaki kapitańskie, jestem zupełnie pewny, że ta wojna będzie znacznie dłużej trwała niż pierwsza światowa. A jeżeli Związek Radziecki i Ameryka nie przystąpią do koalicji, to może trwać nawet dziesięć lat i ludzie w Polsce przeżyją rzeczy, o jakich się nikomu nie śniło. Dlatego radzę ci szczerze: chodź z nami. Ja na pewno nie jestem gorszym dowódcą niż całe setki tych wymuskanych oficerków, których widziałeś wiejących samochodami lubelską szosą, a ty, jako mój adiutant, również nie będziesz od nich gorszy. O weryfikację i tym podobne głupstwa będziemy martwili się we Francji. Oczywiście, o ile przedtem Hitler nie zmiażdży jej jak Polski.

Henio Makarek długo jeszcze opowiadał podobne – jak wówczas sądziłem – głupstwa. Powiedziałem mu wtedy parę słów do słuchu. Śmiał się ze mnie. Rozstaliśmy się bardzo chłodno. Tyle że zgodziłem się wziąć od niego list do matki i siostry, z którymi razem mieszkał w Warszawie przy ulicy Siennej. Dwóch z moich

przygodnych towarzyszy postanowiło przyłączyć się do oddziału „kapitana” Makarka. Pozostali dwaj i ja daliśmy mu słowo honoru, że nie powiemy nikomu o wojsku spotkanym w zagajniku. Zresztą słowa dotrzyaliśmy.

Dotarliśmy wówczas do Rzakty, gdzie udzielił nam gościny tamtejszy gospodarz, Augustyniak. Po dwóch dniach przekonaliśmy się, że przynajmniej pod jednym względem Henio miał rację. Niepodobieństwem było dotrzeć do oblężonej Warszawy. Nawet zbliżenie się do szosy lubelskiej groziło jeśli nie strzałami ze strony stale patrolujących drogę motocyklistów hitlerowskich, to złapaniem i odstawieniem do obozu w Mińsku Mazowieckim; tutaj kierowano wszystkich zatrzymanych uchodźców bez względu na to, czy mieli mundur, czy też byli w cywilnych ubraniach. Chcąc nie chcąc musieliśmy cofnąć się z powrotem do Rzakty i aż do kapitulacji Warszawy korzystać z gościnności miłego pana Augustyniaka. Dopiero po upadku stolicy dotarłem do swoich najbliższych, pozostawionych w oblężonym mieście. Niestety, nie mogłem spełnić ostatniego polecenia Makarka i oddać listu jego matce i siostrze. Zamiast domu na Siennej zastałem tylko niewielką kupkę gruzu kryjącą wspólny grób tych, którzy zginęli, gdy jedna z niemieckich bomb, rzucona na „Festung Warschau”, zamieniła w ruinę ten niewielki dwupiętrowy dom.

Gdzieś w początkach listopada radio Londyn podało, że granicę słowacko-węgierską przekroczył z bronią w ręku spory oddział wojska polskiego. Oddział przebił się przez całą Słowację, a przejście do granicy węgierskiej otworzył sobie po dwudniowej bitwie z „Gwardią Hlinki” i wojskami niemieckimi. Jak podawało

radio Londyn, była to ostatnia grupa wojska polskiego, która złożyła broń. Dowódcą bohaterskiego oddziału był major Makarek.

Znowu przed moimi oczyma przesuwają się różne obrazy – strzępy długiego filmu z okupacji i życia w hitlerowskiej Warszawie. Pamięć przyniosła jeszcze jedno wspomnienie. Jakaś gazetka, nie pamiętam dzisiaj jej tytułu, donosiła o zuchwałym wyczynie garstki Polaków w petainowskiej Francji. Porwali oni z małego portu francuskiego łódź pościgową i zmyliwszy patrolującą przy brzegach flotę admirała Darlana i okręty włoskie, zdołali dotrzeć na Maltę. Organizatorem tej imprezy i dowódcą porwanej łodzi pościgowej był, jak podawała gazetka, polski marynarz, komandor-porucznik Henryk Makarek.

Ludzkie drogi dziwnie się nieraz ze sobą splatają. Gdyby nie to, że mój naczelny usłyszał przypadkiem coś o „zbrodni Vasco da Gama”, gdyby nie to, że postanowił mnie wysłać do Szczecina i gdyby nie te trzy czy cztery zjazdy, które zajęły wszystkie szczecińskie hotele, nie byłbym spotkał przyjaciela ze szkolnych lat. Zresztą jemu Szczecin mógł się mniej podobać i mógł w tym mieście zatrzymać się krócej. I może nigdy byśmy się nie spotkali. Może tylko kiedyś, wspominając dawne lata, przypomniałbym sobie, że miałem przyjaciela Henryka Makarkę, który przesłużywszy jedynie pięć miesięcy w podchorążówce kawalerii w Grudziądzu, potrafił awansować najpierw na kapitana, a potem na majora piechoty, aby z kolei przedzierzgnąć się w komandora marynarki wojennej... Ale okazało się, że awansował jeszcze znacznie wyżej. Wrócił do kraju jako mister Henry MacArek,

milioner amerykański. I oto nie mogę zasnąć w pokoju hotelu szczecińskiego. W pokoju, który otrzymałem tylko dzięki protekcji mister MacArecka. A nie mogę zasnąć, bo wypilem za dużo kawy i różnych mocnych trunków jako gość tegoż milionera.

Na pobliskiej wieży starego Ratusza zegar bił już dwa uderzenia, gdy wreszcie zapadłem w dobroczynny sen.

Rozdział II

Prawie cały następny dzień upłynął mi na pracy „naszego specjalnego wysłannika”. Od rana siedziałem w sali sądowej. Z pokoju adwokackiego nadałem do Warszawy początek rozprawy. Później trzeba było notować przebieg procesu i na gorąco komponować migawki. Po południu straciłem prawie dwie godziny przy dalekopisie, żeby to wszystko przekazać do Warszawy, mając przy tym absolutną pewność, że z dziesięciu kartek maszynopisu do druku pójdzie najwyżej jedna czwarta. Reszta znajdzie się w koszu „z braku miejsca”. Ale pisać trzeba było wszystko. Nigdy bowiem nie wiadomo, co sekretariat redakcji uzna za ciekawe i godne zamieszczenia w numerze, a co będzie uważał za pokarm dla redakcyjnego kosza.

Proces o „zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama” zapowiadał się bardzo ciekawie. Akt oskarżenia, typowy dla „poszlakówek”, dawał zarówno prokuratorowi, jak obronie dużą swobodę w komentowaniu pewnych faktów, które – zdaniem oskarżenia – wskazywały winę oskarżonego, a zdaniem obrony – w niczym nie obciążały jej klienta. Oskarżony, człowiek w wieku lat czterdziestu, zachowywał na sali sądowej kamienny spokój. Nie przyznawał się do winy i obojętnie wysłuchał aktu oskarżenia, jak gdyby

sprawa nie dotyczyła jego osoby. Nawet gdy prokurator demonstrował sądowi i oskarżonemu serię zdjęć przedstawiających pocięte zwłoki zamordowanej, oskarżony oglądał te fotografie uważnie, ale z takim wyrazem twarzy, jakby chodziło o fotki z wczasów nie znanych mu zupełnie ludzi. Natomiast obrona prowadziła sprawę z wielkim temperamentem, zarzucając prokuratorowi jednostronność w kierowaniu dochodzeniem. Składając całą serię wniosków, żądała odroczenia sprawy i uzupełnienia śledztwa.

Prokurator sprzeciwiał się temu, energicznie dowodząc, że twierdzenia oskarżonego, jakoby jego żona spotykała się z jakimś tajemniczym oficerem z Legnicy i z nim rzekomo miała wyjechać do tego miasta, są zwykłym kłamstwem. Na dowód prokurator złożył pisma od polskich władz wojskowych, że oficer o podanym rysopisie i imieniu (oskarżony w swoich zeznaniach podał szczegółowy wygląd tajemniczego wojskowego i jego imię, oświadczając, że nie zna nazwiska) w ogóle nie istnieje.

Utarczki obrony z prokuraturą trwały prawie dwie godziny. Po przemówieniach następowały z kolei repliki, wreszcie sąd zamknął dyskusję odrzucając wnioski obrońców o uzupełnienie śledztwa. Pierwszą rundę wygrał więc prokurator. Następnie oskarżony składał długie wyjaśnienia. Potwierdził na ogół zeznania złożone w śledztwie i starał się wyjaśnić pewne nieścisłości poprzednich swoich oświadczeń. Pomimo całej serii podchwytliwych pytań prokuratora do winy się nie przyznał.

Dopiero wieczorem spotkałem się z mister Henry MacAreciem, który korzystając z ładnej pogody cały dzień spędził znacznie przyjemniej ode mnie. Po prostu pojechał swoim pięknym mercedesem do Międzyzdrojów. Wyobrażam sobie, jak całe

stada kociaków usiłowały skokietować bogatego właściciela sportowego wozu.

Tym razem nasza kolacja odbyła się bez żadnych szaleństw. Od wspomnień szkolnych przeszedłem do pytań. Henio był w doskonałym humorze i chętnie odkrył parę kart swojego życiorysu zaczynając od chwili, gdy dość zimno pożegnaliśmy się w małym lasku pod Otwockiem.

Oddział wojska dowodzony przez Makarka ponad miesiąc wędrował na południe. Posuwali się bezdrożami i lasami, najczęściej w nocy. Parę razy trzeba było otwierać sobie drogę z bronią w rękę. Tak przeszli od Otwocka przez całą Polskę. W Karpatach stoczyli większą potyczkę z oddziałami niemieckimi zamykającymi granicę. Następnie przez prawie dziesięć dni przebijali się przez Słowację. Tam tropiła ich współpracująca z hitlerowcami „Gwardia księdza Hlinki”. Wreszcie po jeszcze jednej większej bitwie dotarli do granicy węgierskiej, gdzie internowano ich w obozie dla wojskowych. W ten sposób oddział „kapitana Makarka” skończył swój żywot. Teraz każdy już indywidualnie starał się wydostać z obozu, co zresztą nie było zbyt wielką sztuką, i powędrować na zachód do tworzącej się we Francji armii polskiej.

Makarek szybko przebył tę drogę. Kiedy zgłosił się we Francji do odpowiednich władz, nie znalazł w ich oczach uznania dla swojego wyczynu. Nie uznano również jego samozwańczego stopnia kapitana, a nawet grożono sądem wojennym. Ostatecznie sprawa się nie odbyła, lecz Henio wylądował jako zwykły szeregowiec w jednym z nowo tworzących się pułków piechoty. „Brudna wojna” trwała jeszcze parę miesięcy, po czym przepowiednia Henia o zmiążdzeniu Francji spełniła się jota w jota w

ciągu trzech tygodni. Oddziały polskie były chyba jedynym wojskiem we Francji, które biło się aż do końca. Makarek zdołał uniknąć niewoli i wydostać się na teren Francji nie okupowanej, gdzie zresztą władze petainowskie niezbyt przychylnym okiem patrzyły na uciekinierów z Polski.

Razem z kilku marynarzami francuskimi i Polakami służącymi w marynarce zorganizował w październiku 1940 roku porwanie łodzi pościgowej francuskiej marynarki wojennej. Rzecz udała się jedynie dlatego, że paru członków załogi tej małej jednostki było w zмовie z „porywaczami”. Henio twierdzi, że dowódcą tego „okrętu” został raczej przypadkowo. Po prostu udało mu się skombinować mundur z dystynkcjami komandora-podporucznika, a wszyscy „zamachowcy” wchodzili na okręt w przebraniach oficerów i marynarzy francuskich. Inaczej w ogóle nie mogliby się dostać do portu, do miejsca, w którym łódź pościgowa czekała na rzekomy remont.

Natomiast pomysł popłynięcia nie do Gibraltaru, dokąd kierowały się wszystkie jednostki z uciekinierami z Francji i gdzie morze było patrolowane przez okręty marynarki włoskiej i niemieckie łodzie podwodne, lecz w przeciwnym kierunku – był wyłącznie koncepcją mojego przyjaciela. I tylko dzięki niej ucieczka się udała, gdyż na wiadomość o porwaniu jednostki floty wojennej natychmiast wyruszył za nią pościg zorganizowany przez darlanowców.

Wydaje mi się jednak, jak znam Henia Makarka, że trochę zbijał opowiadając mi historię o mundurze komandora-podporucznika. Ten wariant jest ładząco podobny do znalezienia munduru kapitana na szosie lubelskiej w rozbitym czy też porzuconym samochodzie. Prawdopodobnie kochany Heniuś

zapomniał już, że znam dzieje jego nominacji na dowódcę oddziału piechoty, i powtórzył tę samą historyjkę w nieco innej scenerii. Znając „instynkt wodzostwa” mojego szkolnego kolegi i jego naprawdę duże zdolności organizacyjne, przypuszczam, że to Makarek, od samego początku projektując wykradzenie łodzi pościągowej, przedstawiał się pozostałym spiskowcom jako wyższy oficer marynarki wojennej. On zawsze umiał genialnie bujać.

A że cała impreza doskonale wypadła, więc nikt nie poznał się na jego ignorancie. Ostatecznie nie zapominajmy, że Henio przez kilka lat należał do sekcji żeglarskiej warszawskiego AZS i zdobył nawet stopień sternika czy żeglarza. Pływał parę razy na jachcie „Generał Zaruski”, nie był więc zupełnym nowicjuszem.

Co ciekawsze, gdy mały okręcik, wymykając się pogoni nieprzyjaciela, dobił wreszcie do portu La Valetta na Malcie, Anglicy wcielili go do swojej floty, pozostawiając Henryka na stanowisku dowódcy. Sam fakt zuchwałej wyprawy małą łódeczką pod nosem całej niemal floty włoskiej był dla Brytyjczyków wystarczającym dowodem zdolności jej dowódcy. Weryfikacja prowadzona przez wywiad angielski szła wyłącznie w kierunku zbadania, czy impreza nie jest zręcznym sposobem przemycenia na Maltę grupy szpiegów niemieckich lub włoskich. Po sprawdzeniu tożsamości Makarka został on w ten sposób oficerem Marynarki Jego Królewskiej Mości.

Po skończonej wojnie udekorowany najrozmaitszymi alianckimi orderami jak choinka na Boże Narodzenie, został zdemobilizowany. Tytułem odprawy Jego Królewska Mość wypłaciła swojemu dowódcy poważną sumę funtów szterlingów. Prócz tego Makarek zdołał odłożyć coś niecoś z pensji. A pływając na

swoim okręciku w basenie Morza Śródziemnego miał możliwość wymiany funtów na „kasztany”. Na operacjach z kupowaniem w Egipcie złotych monet i wygrywaniu na różnicy kursów zarabiał się wtedy jeden do trzech.

Wychodząc „do cywila” miał więc Makarek sporą sumkę w kieszeni. Do Polski nie chciał wracać. Może nie tyle z przyczyn ustrojowych, ile po prostu nie miał do kogo. Matka i siostra zginęły jeszcze w 1939 roku. Kariera urzędnika bankowego mu nie odpowiadała. W inne możliwości nie wierzył. Dość, że wylądował w Londynie, gdzie przystąpił do spółki prowadzącej kilka pralni. Szybko jednak przekonał się, że spółka została zawarta na tej zasadzie: on miał pieniądze, a pozostali wspólnicy doświadczenie. Wkrótce było odwrotnie. Na dobitkę z tego Henio postanowił procesować się z oszukańczymi partnerami. Proces nic mu nie dał, ale za to pochłonął resztę posiadanych funtów szterlingów.

Wtedy nadarzyła się nowa okazja zarobku. Pewne „towarzystwo” szukało odważnych ludzi do przewożenia niewielkich paczek na trasie Kair-Marsylia-Londyn-Nowy Jork. Paczuski były lekkie, zawierały biały proszek w celofanowych woreczkach. W Egipcie był on jeszcze morfiną. We Francji przerabiano go na heroinę i już w tej postaci wędrował do narkomanów Anglii i Ameryki. Zmieniała się też jego cena. W Iraku zwykle opium kosztowało zaledwie 4 000 dolarów za kilogram. W Egipcie, gdzie opium przetwarza się na morfinę, cena „białego śniegu” rosła do 15 000 dolarów. W Anglii i w Stanach Zjednoczonych narkomani płacili za heroinę w jej czystej postaci 80 000 do 100 000 dolarów.

Praca była o tyle niebezpieczna, że już od Kairu na całej trasie czuwali agenci Interpolu. Złapanie na gorącym uczynku przemytu narkotyków groziło, zależnie od prawodawstwa obowiązującego w poszczególnych krajach, karą więzienia od 8 do 20 lat. Nie trzeba dodawać, że kurier przewożący ryzykował najwięcej, lecz najmniej zarabiał. Gros pieniędzy z tego interesu wyciągali nieznanzi „bossowie” powiązani z międzynarodową szajką.

Makarek zdążył odbyć tylko trzy rajdy na trasie Kair-Londyn. Za każdym razem jechał na innych fałszywych papierach. Taka podróż dawała mu około 1 000 dolarów. Po czwartej turze zatrzymano go na dworcu w Brukseli. Zdołał jakoś wyrwać się z rąk belgijskiego policjanta, przeskoczyć siatkę między dwoma torami i wskoczyć do odjeżdżającego pociągu. Wiedząc, że policja musiała już zaalarmować najbliższą stację, wyskoczył z pędzącego pociągu. Przy skoku złamał nogę w kostce. Mimo to zakopał tuż przy torze niebezpieczny ładunek i ze złamaną nogą zdołał przykuśtykać parę kilometrów z powrotem do Brukseli, aby schować się u znajomego Polaka, który był ogrodnikiem w domu bogatego Belga.

Przedstawiciele „firmy”, zawiadomieni o wypadku, przybyli natychmiast, przeświadczeni o tym, że Makarek ukradł cenny przemyt, a teraz symuluje wyspę i wypadek. Za takie przewinienie międzynarodowy koncern handlu narkotykami zna tylko jeden rodzaj kary. Na szczęście, na podstawie wskazówek Henia, zdołano odszukać zakopane przez niego resztki heroiny. Dla gangu Makarek był jednak już spalony i nawet nie zapłacono mu za ostatnie dwie podróże. Bo i po co? Przecież do sądu nie pójdzie.

Po odzyskaniu zdrowia były oficer marynarki królewskiej znalazł się bez grosza w obcym mieście. Z gościny swojego

przyjaciela dłużej już nie mógł korzystać. Zresztą nie było to bezpieczne. Za pożyczone pieniądze wyjeżdża więc do Antwerpii. Bez dobrych dokumentów mógł dostać pracę tylko w porcie, a i to tylko najcięższą i najgorzej płatną.

– Półtora roku – mówił mister Henry MacAreck – nosiłem bele bawełny w porcie w Antwerpii. Ciężka praca, uposażenie wystarczające z trudem na życie i mały pokój w najtańszej dzielnicy portowej. Zresztą po półtora roku straciłem i to zajęcie. Trzeba było mieć obywatelstwo belgijskie i należeć do związku dokerów.

Wreszcie udało mu się jakoś wrócić do Anglii. Tam jednak nie było łatwo o pracę. Entuzjazm dla Polaków dawno już minął i Anglicy coraz bardziej krzywym okiem patrzyli na dziwnych cudzoziemców, nie pragnących, mimo zakończenia wojny, wracać do ojczyzny. Ci, którzy mieli jakiś fundusik i nie natrafili na swojej drodze na zręcznych kanciarzy, jakoś dawali sobie radę. Reszta, siłą rzeczy, deklasowała się. Makarek był szczęśliwy, gdy dzięki wstawiennictwu pewnego znajomego Anglika udało mu się wreszcie znaleźć stałe zajęcie. Został przyjęty do pracy w Regency Hotel na Jermyn Street.

– Przez osiem godzin, od czwartej po południu aż do północy, stałem w małym, ciemnym pomieszczeniu – opowiadał Henio – i zmywałem nie kończące się ilości szklanek, talerzy i kieliszków oraz noży, widelcy i wszelkiego rodzaju łyżeczek. Za każdą stłuczkę potrącano mi z pensji cenę za naczynie, a za każdą reklamację gościa, że talerz lub widelec jest brudny, musiałem płać karę.

W ciągu pierwszych miesięcy nic nie zarabiałem, a nieraz nawet okazywało się, że jestem winien pieniądze pracodawcy. Później doszedłem do fantastycznej wprawy. Zmywałem tysiące

najrozmaitszych naczyń prawie bez wypadku. Miałem także czas na wypalenie papierosa. Cóż z tego, kiedy i z tym zajęciem musiałem się w końcu rozstać.

– Znowu sprawa obywatelstwa? – spytałem.

– Nie. Anglicy pozwalają zmywać swoje brudy cudzoziemcom, nie pytając ich o pochodzenie – roześmiał się mister MacAreck. – Po prostu towarzystwo akcyjne prowadzące Regency Hotel obliczyło, że zamiast zatrudniania dwóch zmywaczy lepiej będzie kupić włoskie automaty. Wydatek wprowadzie dość duży, ale się kalkuluje. Automatom nie trzeba dawać jeść, pracują dokładnie, nie tłuką naczyń i nie biorą pensji co dwa tygodnie. Pewnej soboty razem z kopertą zawierającą moje uposażenie otrzymałem bardzo uprzejmy list, w którym dyrektor hotelu zawiadamiał mnie z prawdziwą przykrością, żebym od najbliższego poniedziałku nie fatygował się z przychodzeniem do pracy. Poza tym list zawierał najserdeczniejsze życzenia na przyszłość i zapewnienia o niezmiennych uczuciach przyjaźni i szacunku, jakie żywi dla mojej osoby zarząd hotelu.

– I co dalej? – zapytałem.

– Dalej przekonałem się, że zdobycie pracy jest jeszcze trudniejsze niż przedtem. Chciałem wyjechać do Australii, ale nie miałem pieniędzy na podróż. Przyjmowano Polaków do pracy w kopalniach węgla w Kornwalii, lecz było to o wiele cięższe zajęcie niż zmywanie naczyń, z perspektywą natychmiastowej redukcji z chwilą zachwiania się choćby koniunktury w przemyśle węglowym. Wtedy zrozumiałem prawdę, o której ci wczoraj wspominałem. Człowiek bogaty i tak zwany uczciwy nie ominie nigdy żadnej sposobności, aby pod osłoną prawa wyzuć biedniejszych

i mniej doświadczonych od siebie z resztek ich dobytku. Postanowiłem i ja wykorzystać tę zasadę. Tym razem ja wezmę na siebie rolę naiwnego, którego zręczny businessman będzie się starał pozbawić ostatnich groszy. Zostałem tym, kogo w Polsce obdarzacie mianem hochsztaplera. Ale hochsztaplerem w wysokim stylu! Robiącym pieniądze, nawet ciężkie pieniądze. Nikt jednak nie widział mnie nigdy na ławie oskarżonych. Ba! Żadna z oszukanych przeze mnie „ofiar” nie przyznała się, że znajomość ze mną i chęć oszukania mnie kosztowała ją sporą sumę funtów szterlingów czy dolarów.

– Jak to? Nic nie rozumiem?

– Napijmy się jeszcze kawki – zaproponował Henio i skinął ręką na kelnera, który zjawił się prawie biegiem. – Dla nas dwie kawy, ale mocne. Dla pana redaktora Henessy, a dla mnie uczciwa polska starka.

Kelner postawił przed nami filiżanki z czarnym, aromatycznym płynem. Uroczyście i z namaszczeniem napełniał kieliszki starką i francuskim koniakiem. Mój amfitrion pociągnąwszy łyk kawy i „przekąsiwszy” go kieliszkiem jasnóżłotawego płynu poprawił się w fotelu i rozpoczął swoje opowiadanie.



Na tej samej Jermyn Street, przy której znajduje się Regency Hotel, zresztą w bezpośrednim jego pobliżu, mieścił się niewielki sklepik z papeterią. Po dwóch schodkach wchodziło się do wąskiego, długiego sklepu. Wydłuż całej jego długości biegła szeroka lada. Z tyłu znajdowały się regały pełne najrozmaitszych towarów. Nie leżały tu może luksusowe papiery listowe, ale wybór

papeterii był bogaty. Dzieci przychodziły po wycinanki, kalkomanie i tekturowe modele okrętów i samolotów. Dorośli zaopatrywali się w papier listowy, pakiety, pióra i ołówki. W głębi sklepu widać było wąskie drzwi obite żelazną blachą. Za drzwiami znajdował się równie wąski pokój. Jedyne jego umeblowanie stanowiło stare biurko, trzy krzesła i stojąca pod ścianą duża, pancerna kasa.

Przy drzwiach wejściowych wisiał starożytny dzwonek. Na jego dźwięk właściciel sklepu Mr. James Tomlinson wychodził z drugiego pokoju i załatwiał klientów. Czasami, głównie w godzinach wieczornych, zjawiali się klienci, których Mr. Tomlinson zapraszał do drugiego pokoju. Wtedy najczęściej zamykał sklep wcześniej. Gościa wypuszczano drugimi, również obitymi blachą drzwiami, prowadzącymi na klatkę schodową, wychodzącą na podwórze. Stąd można było wyjść zarówno na Jermyn Street, jak na małą, wąską uliczkę biegnącą na tyłach posesji zajmowanej przez wielki hotel.

Sklepek nie mógł konkurować z wielkimi magazynami śródmieścia, nie było w nim więc zbyt wielkiego ruchu. Mimo to Mr. James Tomlinson uchodził w całej okolicy za człowieka bardzo zamożnego, a o kasie pancernej stojącej w drugim pokoju krążyły całe legendy. Podobno miały się tam znajdować prawdziwe skarby: brylanty wielkości orzechów laskowych, inne szlachetne kamienie, arcydzieła starej sztuki złotniczej i papiery wartościowe. Wartość tych skarbów miała sięgać zawrotnych sum.

Sklepiarz był człowiekiem samotnym. W każdym bądź razie nikt z sąsiadów, klientów i dostawców nigdy nie słyszał o rodzinie pana Tomlinsona. Mieszkał on w małym mieszkanku w pobliżu. Żył bardzo skromnie, chodził ubrany nawet biednie. Wszyscy uważali, że prowadzenie sklepu z papeterią jest tylko

wygodnym pozorem. Właściwym zajęciem tego starego człowieka była lichwa i finansowanie najrozmaitszych przedsięwzięć świata podziemnego. Właściciel skromnego sklepiku mógł zawsze służyć swojemu klientowi bardzo poważną sumą, jeśli tylko miał zagwarantowany wysoki procent i odpowiednie zabezpieczenie. Kupował także kosztowności nie pytając o ich pochodzenie. Długo oglądał kamień lub naszyjnik, po czym oferował swoją cenę. Z reguły była ona przynajmniej dwukrotnie niższa, niż sprzedający spodziewał się osiągnąć. Wszelkie targi były jednak bezskuteczne. Pan Tomlinson odpowiadał spokojnie, że ma długą listę jubilerów, gotowych oszacować kosztowności według cen rynkowych i zapłacić za nie sumę nawet znacznie wyższą od tej, którą „szanowny klient” zaproponował. Tylko mały waruneczek – ci panowie żądają świadectw pochodzenia, a poza tym o każdej większej transakcji zawiadamiają odpowiednie władze i jednocześnie opisują zdarzenie w swoich księgach handlowych. Po takich wyjaśnieniach sklepikarza transakcja zwykle dochodziła do skutku.

Policja londyńska domyślała się, jak sprawy wyglądają. Parokrotnie pod różnymi pozorami przeprowadzano rewizje w przedsiębiorstwie i mieszkaniu prywatnym sklepikarza. Nie wykryto jednak niczego. Kasa pancerna zawierała w swoim wnętrzu poważną sumę pieniędzy i papierów wartościowych, ale każdemu w Anglii wolno mieć i jedno, i drugie. Niczego podejrzanego nie znaleziono. Mr. Tomlinson był albo bardzo zręczny, albo mając odpowiednie powiązania bywał w porę uprzedzany o wizytach władz.

Pewnego popołudnia drzwi wejściowe do sklepu z papeterią otworzyły się. Dzwonek umieszczony nad wejściem zaalarmował

właściciela, który jak zwykle siedział w drugim pomieszczeniu. Do sklepu wszedł skromnie ubrany człowiek. Z wyglądu typowy robotnik londyński. Pod pachą miał skrzypce owinięte we flanelową kołderkę. Położył je na ladzie i poprosił o paczkę papieru listowego, atrament, pióra i parę ołówków. Dodatkowo zażądał bloku rysunkowego i kolorowych kredek, widocznie dla dzieci.

Klient wybierał swoje zakupy dość długo. Zdążył nawet opowiedzieć sklepikarzowi, że jest stolarzem, pracuje w firmie budowlanej stawiającej niedaleko stąd wielki kompleks gmachów. Że zarabia dość dobrze, ale to praca sezonowa, więc rozgląda się za stałym zajęciem. I że poza tym ma jedną namiętność, gra na skrzypcach. Właśnie popsuł mu się stary futerał, dał go więc do naprawy i musi nosić instrument owinięty dziecienną kołderką. Te skrzypce są bardzo stare. Grywał na nich jego dziadek jeszcze jako młody chłopiec. Stanowią własność rodziny od czasów wojen napoleońskich. Jakiś pradziadek służący w armii Wellingtona przywiózł je z Hiszpanii czy też Belgii.

– Jesteśmy muzykalną rodziną. Zawsze ktoś z nas gra na skrzypcach – wyjaśniał rozmowny stolarz. – Ja nigdy nie brałem lekcji, a potrafię zagrać każdą zasłyszaną melodię. A córka! Ta dopiero ma zdolności do muzyki! Postanowiłem ją kształcić. Nawet nasz proboszcz prowadzący niedzielną szkołkę mówi, że to bardzo zdolne dziecko.

Pan Tomlinson słuchał monologu nie przeszkadzając swojemu rozmówcy, ale i nie podtrzymując dyskusji. Nie był z natury rozmowny i nie miał zwyczaju przerywać klientowi. Znał dobrze ten rodzaj ludzi. Gdy prosty robotnik wygada się, to więcej kupi

i na drugi raz pół Londynu przemierzy, żeby tylko dokonać sprawunku w „swoim sklepie”.

Wreszcie wybór drobiazgów został dokonany. Rachunek wyniósł 14 szylingów i trzy pensy. Robotnik sięgnął do kieszeni, wyjął portmonetkę i wysypał garstkę monet na rękę. Odliczał pieniądze, kładąc je na ladzie. Niestety, miał jedenaście szylingów i parę drobniejszych monet. Przeszukał jeszcze gorączkowo wszystkie kieszenie, lecz znalazł tylko jednopensówkę. Z zakłopotaniem zwrócił się do pana Tomlinsona, który milcząc przyglądał się scenie szukania pieniędzy.

– Zabrakło mi trzech szylingów. Nie wiem, jak to się stało. Byłem pewien, że mam przy sobie więcej pieniędzy.

– Czasem się zdarza – właściciel sklepu starał się nadać swojemu głosowi akcenty współczucia. – Kiedyś wskoczyłem do autobusu i dopiero w drodze spostrzegłem, że nie mam przy sobie ani grosza. Niech pan kupi mniej. Po prostu niech pan nie bierze tego bloku rysunkowego i kredek.

– Obiecałem synkowi, że dzisiaj mu przyniosę. Dziecko już od kilku dni czeka na te drobiazgi. A inne przedmioty również dzisiaj są mi koniecznie potrzebne. Co tu robić?

Pan Tomlinson milczał.

Kupujący medytował przez chwilę. Jeszcze raz pogrzebał w kieszeniach, wreszcie zawołał wyraźnie uradowany.

– Zostawię panu skrzypce w zastaw, a jutro wracając z pracy przyniosę pieniądze.

– Przecież nie prowadzę lombardu.

– Niech pan nie odmawia! Bardzo proszę! Tak mi te materiały potrzebne! A stare skrzypce na pewno są więcej warte niż te

trzy szylingi. Poleżą u pana na górnej pustej półce i nie będą zawadzały. Proszę zrobić mi tę grzeczność.

– No dobrze – zgodził się sklepikarz. – Chociaż zasadniczo kredytu nie udzielam, zrobię dla pana wyjątek.

Robotnik podał właścicielowi sklepu skrzypce prosząc, aby je uważnie położył na półce. Wziął małą paczkę i raz jeszcze dziękując za uprzejmość wyszedł na ulicę. Mister Tomlinson wrócił do pomieszczenia za sklepem.

Ale spokój niedługo panował w małym sklepiku, bo dzwonek znowu się odezwał i weszła jakaś kobieta, aby kupić różne drobiazgi. Po niej weszło dwóch następnych klientów. Potem znowu ktoś coś kupował.

W pewnej chwili drzwi otworzył ktoś energicznym ruchem i do sklepu wszedł wytwornie ubrany mężczyzna. Jego nienaganny strój miał jednak w sobie coś ekstrawaganckiego. Tak zazwyczaj ubierają się artyści. Młodzi artyści, którzy jeszcze nie zyskali rozgłosu i ubraniem pragną zaakcentować odrębność od reszty „zjadaczy chleba” i zwrócić na siebie uwagę zwykłych, szarych ludzi.

– Proszę dać mi najlepszy papier listowy, jaki pan posiada – zakomenderował młody człowiek.

Pan Tomlinson położył na ladzie kilka paczek papieru listowego.

– Nic lepszego pan nie ma? Taki skromny wybór? – kupujący rozglądał się ciekawie po sklepie.

Kupiec tłumaczył klientowi, że papiery listowe są w bardzo dobrym gatunku, lecz młody artysta zdawał się nie słyszeć jego słów, gdyż utkwiał wzrok w leżących na górnej półce skrzypcach.

– Ciekawy instrument – zauważył. – Tak oryginalnie wyrobionego gryfu jeszcze nie widziałem.

Nim się pan Tomlinson zorientował, młody człowiek przeszedł za ladę, zdjął skrzypce z półki, obejrzał je uważnie, a następnie przyłożywszy instrument do brody pociągnął smyczkiem po strunach.

– Doskonały instrument, lecz nieco rozstrojony. A trzecią strunę trzeba koniecznie zmienić. Wspaniałe skrzypce, znam się – wyjaśnił – gdyż sam jestem muzykiem. Warte majątek. Dziesięć takich bud może pan kupić za tego Stradivariusa.

– Co pan mówi? – zdziwił się kupiec. – Czyżby były warte z tysiąc gwinei?

Artysta roześmiał się.

– Pan żartuje. Tysiąc gwinei? Tyle to nawet ja dałbym panu bez namysłu, chociaż jestem biedakiem. Te skrzypce są warte dziesięć, jeżeli nie dwadzieścia razy więcej. To unikat! Stradivarius z najlepszego okresu. Nie wiem, czy na całym świecie można byłoby doliczyć się piętnastu takich instrumentów, mimo że w muzeach i wśród najszlachetniejszych skrzypków świata skatalogowano i opisano przeszło trzysta oryginalnych Stradivariusów. Reszta to lepsze lub gorsze imitacje i wyroby uczniów wielkiego mistrza z Cremony. Jeszcze raz powtarzam, że ma pan fortunę w swoim sklepiku. Takie skrzypce, takie skrzypce! To skandal trzymać je bez futerału na półce sklepowej. Powinny leżeć na aksamicie w kasie ogniotrwałej.

Pan Tomlinson aż pobladł z wrażenia. Machinalnie Powtarzał:

– Dziesięć tysięcy gwinei, dziesięć tysięcy...

Młody człowiek raz jeszcze obejrzał skrzypce. Usiłował nawet zajrzeć do środka. Baczenie się czemuś przyglądał i zawołał z tryumfem:

– A nie mówiłem! Wewnątrz jest metryczka z numerem i datą oraz podpisem mistrza Stradivariusa. Niech pan popatrzy.

Kupiec spojrział w kierunku wskazywanym przez artystę. Rzeczywiście, przez jedno wycięcie skrzypiec można było dostrzec kartkę nalepioną w środku. Był tam jakiś napis, a słowo „Stradivarius” dawało się bez trudu odczytać.

Skrzypek był pełen entuzjazmu.

– Gdybym miał forszę, zaraz bym od pana odkupił ten instrument. Takie skrzypce to murowane powadzenie, sława i pieniądze. Właśnie za parę dni mam koncert w Edynburgu. Żeby tak zagrać na tym instrumencie! Przyznam się panu, że to mój pierwszy debiut jako solisty. Dotychczas grywałem jedynie jako drugi lub pierwszy skrzypek w Filharmonii.

Z żalem położył skrzypce na ladzie. Owinął je pieczętówką z flanelową kołderką i umieścił na poprzednim miejscu. Po chwili namysłu rzekł:

– Mam pewien pomysł. Dziś wieczorem koncertuje z naszą orkiestrą jeden z najświetniejszych skrzypków świata Yehudi Menuhin. Człowiek nieskończenie bogaty. Za jeden występ bierze kilka tysięcy gwinei honorarium. Znam go dobrze, bo byłem jego uczniem. Wiem, że ma cztery instrumenty. Dwa Stradivariusy, ale z późniejszego okresu i dwie pary skrzypiec Amatiego. Ale żadne z nich nie umyją się do tego skarbu. Jestem pewien, że Menuhin natychmiast skorzysta z okazji, żeby nabyć takie arcydzieło sztuki lutniczej. A jako prowizję poproszę mistrza, aby się zgodził dać mi te skrzypce na koncert w Edynburgu. Na pewno mi nie odmówi.

– Te skrzypce nie są do sprzedania – zauważył pan Tomlinson.

– Co pan mówi? Na co panu takie cenne skrzypce?
– Mam córkę. Chcę ją uczyć gry na skrzypcach.
– To niech się uczy, ale nie na instrumencie wartości 10 tysięcy gwinei! Szkoda instrumentu dla niewyrobionych palców. To są skrzypce dla wielkiego artysty. I tylko wielki artysta dobrze panu za nie zapłaci. Gdyby pan chciał sprzedać zbieraczowi lub choćby do zbiorów państwowych, dostałby pan dużo mniej.

Młody człowiek już nie przebierając kupił pierwszy z pokazanych mu kompletów listowych i wychodząc zapowiedział, że nazajutrz przyjdzie tu ze słynnym skrzypkiem. Jeszcze od progu zawrócił i powiedział sklepikarzowi oszołomionemu nieco przebiegiem całej rozmowy.

– Niech pan nie trzyma tych skrzypiec na półce. Niech pan je schowa w jakiejś kasie ogniotrwałej.

Pan Tomlinson długo nie mógł się uspokoić. Odkrycie, że skromny robotnik ma skrzypce ogromnej wartości, było rzeczywiście czymś, co ledwie można było sobie wyobrazić.

Taki robociarz nie wie, jaki skarb posiada – kombinował kupiec i lichwiarz w jednej osobie. – Gdy przyjdzie po ich odbiór, kupię je od niego za byle co. Trzeba korzystać z okazji, skoro zarobek sam się pcha w ręce.

Wracając po zamknięciu sklepu do mieszkania, pan Tomlinson zauważył rozlepione wszędzie wielkie afisze zapowiadające serię koncertów słynnego skrzypka Yehudi Menuhina. Młody człowiek mówił prawdę. Właśnie dzisiaj miał się odbyć pierwszy koncert z towarzyszeniem orkiestry. Na afiszach przyklejono poprzeczne paski wyjaśniające, że wszystkie bilety na pierwszych pięć koncertów są już wykupione.

Nazajutrz, w godzinach rannych, przed skromnym sklepikiem

z papeterią zatrzymał się wytworny samochód. Szofer w granatowej liberii wyskoczył z wozu i usłużnie otworzył tylne drzwi. Pierwszy opuścił samochód młody człowiek, który wczoraj kupował papier listowy. Z całym szacunkiem czekał, aż z wozu wysiądzie wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy. Po czym obaj skierowali się do sklepiku pana Tomlinsona. Młody człowiek przedstawił nieznanego:

– To jest właśnie pan Menuhin. Zainteresował się bardzo skrzypcami i pragnie je obejrzeć. Ale czy można jakoś urządzić, żeby nam nikt nie przeszkadzał?

Sklepikarz skinął potakująco głową. Zamknął drzwi wejściowe do swojego przedsiębiorstwa i powiesił na nich kartkę „chwilowo nieczynne”, po czym zaprosił obu panów do sąsiedniego pomieszczenia. Otworzył drzwiczki kasy pancерnej, wyjął z niej skrzypce i ostrożnie położył na biurku. Wielki artysta odwinął instrument z flanelowej kólderki i zaczął go bardzo szczegółowo oglądać. Z kieszeni wyjął lupę i przy jej pomocy badał stan drzewa i sieć drobniotkich żyłek, jakimi w paru miejscach pokryte były skrzypce.

– Tak – mruzczał do siebie – nie ulega wątpliwości, że to oryginał. Zobaczymy jednak, jaki mają ton.

Wziął skrzypce do rąk i zaczął na nich grać jakieś wariacje. Młody człowiek słuchał tej melodii z prawdziwym zachwytem. Pan Tomlinson, który bynajmniej nie grzeszył znajomością muzyki, starał się przybrać jak najbardziej zainteresowany wyraz twarzy. Wreszcie Yehudi Menuhin przestał grać, odłożył instrument i rzekł:

– Wspaniałe skrzypce! Jaki ton! Barwa! Początkowo sądziłem – dodał zwracając się do młodego człowieka – że pan przesadza,

ale widzę, że był pan nawet zbyt powściągliwy w opisywaniu zalet tego instrumentu. Poznał się pan na nim od pierwszego rzutu oka. Winszuję spostrzegawczości.

Młody człowiek aż poczerwieniał słysząc pochwałę z takich ust. Skromnie wyjaśnił, że zwrócił jego uwagę nie spotykany gdzie indziej kształt gryfa.

Yehudi Menuhin ponownie obejrzał skrzypce i zwracając się do sklepikarza zapytał:

- Ile pan chce za ten instrument?
- Te skrzypce nie są do sprzedania – odpowiedział pan Tomlinson.

– Nikt, a przynajmniej prawie nikt na świecie nie zapłaci panu za nie tyle, ile ja mogę dać. Chcę mieć te skrzypce. Dopiero w moich rękach odezwą się one odpowiednim tonem. Niech się pan jednak zdecyduje i postawi cenę.

Na twarzy kupca widać było wyraźne wahanie.

– Powiem panu szczerze – powiedział wielki artysta – mogę zapłacić za nie piętnaście tysięcy funtów szterlingów i ani grosza więcej. Nie mam zwyczaju się targować i nie chcę pana wyzyskiwać. Powtarzam, chyba nikt nie zapłaci panu aż tyle.

Pan Tomlinson wytarł jedynie grube krople potu, które pojawiły się na jego czole. Nadal jednak milczał.

Menuhin wyjął z kieszeni elegancki portfelik z safianowej skóry. Otworzył go i wyciągnął trzy nowiutkie banknoty, każdy po tysiąc funtów. Położył je na stole i rzekł:

– Wy, Anglicy, kupujecie i sprzedajecie wszystko. Przy pomocy książeczki czekowej, ale u nas płaci się gotówką i zawsze też proszę, aby płacono mi pieniędzmi, a nie papierkami z prywatnym podpisem. Nie mam całej sumy przy sobie, więc

proponuję: dam panu teraz trzy tysiące funtów jako zadatek, a po południu przyniosę resztę – 12 tysięcy – i wtedy zabiorę skrzypce. Prosiłbym tylko, żeby cała transakcja pozostała między nami. Dla pana również będzie lepiej, jeżeli za dużo osób o tym się nie dowie. Skrzypce na pewno nie są zarejestrowane?

Pan Tomlinson nie mógł przemówić. Wpatrywał się w leżące przed nim banknoty i tylko kiwnął głową.

– Przepraszam, mistrzu, że się wtrącam – zabrał głos młody człowiek – ale po południu jest pan zaproszony do Buckingham Palace na prywatny koncert u Jej Wysokości Królowej Matki, a później będzie pan miał tyle tylko czasu, aby się przebrać i nieco odpocząć przed występem w Filharmonii.

Pan Tomlinson zdążył już przeczytać dzisiejsze poranne gazety. Wszystkie wyrażały się w słowach pełnych entuzjazmu o wczorajszym koncercie Menuhina, zaś „Times” podał również wiadomość o szaczącym zaproszeniu skrzypka na dwór królewski. Wielki artysta skrzywił się lekko i powiedział:

– Rzeczywiście! Na śmierć zapomniałem o wizycie u Starszej Pani. Szkoda, że na oba koncerty nie będę miał tego instrumentu. Ale, istotnie, ma pan rację. Nie zdążę dzisiaj przygotować pieniędzy i wpaść z nimi tutaj. Proponuję w takim razie, że wpłacę resztę sumy jutro rano o tej samej porze. Więc jak, mister Tomlinson? Zgadza się pan na takie załatwienie sprawy?

Kupiec wyraził zgodę i sięgnął po kartkę papieru, aby wypisać pokwitowanie na otrzymaną sumę, lecz skrzypek machnął ręką:

– Między ludźmi interesu pokwitowania nie są potrzebne. Przyjdę jutro, położę pieniądze na stole, wezmę skrzypce i sprawa załatwiona. Nawet gdyby się pan rozmyślił, to też do sądu nie

pójdziemy. Po prostu zwróci mi pan pieniądze. Nie będę miał wielkich pretensji, chociaż bardzo pragnę mieć te skrzypce.

Pan Tomlinson ponownie wyraził zgodę, zaś Menuhin ciągnął dalej zwracając się tym razem do pośrednika:

– A panu nigdy nie zapomnę przysługi. Przyrzekam, że ilekroć przyjadę do Anglii, a nasze występy nie będą kolidowały ze sobą, zawsze będzie mógł pan grać na tych skrzypcach. Jako muzyk dobrze rozumiem, co to za rozkosz koncertować na odpowiednim instrumencie. No, to idziemy. Do widzenia panu, mister Tomlinson.

Kupiec odprowadził gości aż na ulicę. Kierowca wytwornego rolls royce'a słuźbiście otworzył drzwiczki wozu. Dwaj panowie wsiedli do środka, Menuhin rzucił szoferowi krótki rozkaz:

– Do hotelu „Carlton”!

Wóz ruszył prawie bezszelestnie. Właściciel małego sklepiku z papeterią stał jeszcze chwilę na chodniku. W kieszeni czuł przyjemny szelest trzech tysiącfuntowych banknotów i miał pewność otrzymania jeszcze dwunastu takich samych wyrobów sztuki drukarskiej. W bardzo więc przyjemnym nastroju wrócił do swojego Przedsiębiorstwa.

Przez kilka następnych godzin nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Ruch w sklepie był niewielki. Innych interesantów pan Tomlinson również dzisiaj nie miał. Dopiero około godziny piątej po południu odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych i do sklepu wszedł znany już nam robotnik w granatowym kombinezonie. Pozdrowił grzecznie właściciela i z uśmiechem położył na ladzie sklepowej trzy szylingi, mówiąc:

– Oto zwracam dług. Jeszcze raz dziękuję za grzeczność i proszę o moje skrzypce. Gdzie one są?! Nie widzę ich tam, gdzie je pan wczoraj położył?

– Schowałem w drugim pokoju – wyjaśnił kupiec. – Może pan pozwoli ze mną.

Drzwi wejściowe znowu zostały zamknięte na klucz i znowu pojawiła się na nich tabliczka o chwilowej nieobecności właściciela. Tymczasem w drugim pokoju kupiec wskazał gościowi krzesło przy biurku, a sam otworzył ciężką kasę, wyjął skrzypce, położył je na biurku i siadając na drugim zydłu zaproponował:

– Co by pan powiedział, gdybym tak chciał kupić te pańskie skrzypce.

Robotnik uśmiechnął się.

– Nie mam zamiaru ich sprzedawać. Sam lubię grać i moja córka ma zdolności do muzyki. Chcę ją kształcić, żeby wyrosła na coś lepszego i żeby bardziej poszczęściło się jej w życiu aniżeli mnie. To są stare skrzypce. W mojej rodzinie znajdują się już chyba ze sto pięćdziesiąt lat i zawsze komuś służyły. Grał dziadek, ojciec i ja. Niechże z kolei gra na nich moja córka. One warte są chyba dużo pieniędzy?

– Ja też nie chcę pana oszukać. To rzeczywiście stare i dobre skrzypce. Jestem uczciwym człowiekiem i dam panu za nie... – tu pan Tomlinson namyślił się chwilę – dam panu za nie trzy tysiące funtów.

– Trzy tysiące? – zdziwił się robotnik.

Tymczasem pan Tomlinson otworzył stary, zniszczony portfel i wygrzebał z jego zakamarków trzy znane nam już banknoty. Robotnik oglądał je z niedowierzaniem. Widać było, że po raz pierwszy ma do czynienia z papierkami szterlingowymi opiewającymi

na tak wysoką sumę. Banknotów powyżej pięciu funtów w Anglii prawie się nie spotyka w obiegu, chociaż najwyższym pieniądzem nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i świata jest banknot o wartości 10 tysięcy funtów.

– Bierz przyjacielu pieniądze – zachęcał kupiec – i dziękuj Bogu, że przyszedłeś do mnie kupić blok rysunkowy ze skrzypcami pod pachą i że zabrakło ci trzech szylingów.

Właściciel skrzypiec już wyciągał rękę po banknoty, ale cofnął ją.

– Znam was, kupców – powiedział. – Skoro pan daje od razu trzy tysiące, to skrzypce są warte najmniej dziesięć. Niech pan da dziewięć takich papierków i bierze instrument.

– Dziewięć tysięcy za kawałek drzewa i w dodatku jeszcze pusty w środku? Pan oszalał?

– Nie, to nie. Do widzenia panu – robotnik wstał i sięgnął po skrzypce.

– Niech pan siada – pan Tomlinson prawie siłą zmusił swojego gościa do zajęcia poprzedniej pozycji. – Mądrzy ludzie zawsze się dogadają. Po co ten pośpiech? Dam panu pięć tysięcy.

– Nie. Niżej dziewięciu nie sprzedam.

– Ależ pan uparty. Czy pan sobie wyobraża, co to jest dziewięć tysięcy? Ile czasu trzeba pracować, żeby zarobić tyle pieniędzy? Ja gotówką daję sześć tysięcy za skrzypce, z których nigdy ani pan, ani nawet pański dziadek nie mieli grosza pożytku.

– Sprzedam za dziewięć – powtórzył z uporem w głosie robotnik.

– Dlaczego pan nabił sobie głowę dziewięcioma tysiącami? Dlaczego właśnie dziewięć, a nie siedem? Te skrzypce nawet

siedmiu nie są warte. Chcę kupić, bo bardzo mi się podobają.

– Albo da pan dziewięć, albo nie ma o czym gadać. Muszę mieć dziewięć tysięcy. W Putney, gdzie mieszka mój szwagier, jest warsztat stolarski z domem i ogródkiem do kupienia. Właściciel chce za nie osiem tysięcy. Nie dalej jak wczoraj szwagier mówił mi, że znalazł już kupca, lecz nie mogą się ugodzić, na ile lat ustalić spłaty. Ten, który kupuje, proponuje pięć lat, a sprzedawca daje trzyletni termin na uregulowanie całości i żąda połowy gotówką. Jeżeli dostanę dziewięć tysięcy, to od razu kupię ten warsztat.

– Przecież sam pan mówił, że sprzedawca chce osiem, a nie dziewięć tysięcy.

– Tak, ale tysiąc muszę mieć dla siebie. Na remont i urządzenie się. I na przeżycie, zanim rozkręcę interes.

– Śmieszny pan jest. Jeżeli sprzedający żąda ośmiu tysięcy i daje trzyletni kredyt, to przy płaceniu całości na pewno odda taniej. Tysiąc funtów mniej, ale gotówką, jest dla sprzedawcy lepsze i pewniejsze.

– A jeżeli nie odda taniej?

– Ja też ryzykuję. Kupuję skrzypce właściwie nie wiadomo dlaczego i chcę zapłacić za nie ogromne pieniądze, lecz więcej jak osiem nie dam. Niech pan się zastanowi. Osiem tysięcy! Będzie pan miał zamiast skrzypiec i domek, i ogród, i własny warsztat pracy.

Robotnik namyślał się przez chwilę. Wreszcie zdecydował:

– Niech pan bierze skrzypce i niech panu przyniosą szczęście. Ale gotówką zaraz. Żadne czek i weksle. Prosto stąd jadę do Putney, nawet na Shepherd Market do domu nie wstąpię.

Jeżeli jednak będzie za późno i domek został sprzedany, nigdy sobie nie daruję.

– Dlaczego ma być już sprzedany? – pan Tomlinson otworzył znowu swoją pancerną kasę i wydobył stamtąd różnej wielkości paczki banknotów. Widać było, że i on nie lubi czeków, a woli operować płynną gotówką. – Czy pan myśli, że to takie proste sprzedać dziś w Putney i dom, i warsztat stolarski? Że tak dużo ludzi ma pieniądze i biega szukając okazji, aby je wydać? Jeżeli nawet już sprzedany, to mając tyle funtów znajdzie pan jeszcze coś lepszego. Mało to pośredników ogłasza się w każdej gazecie? Proszę, trzy banknoty po tysiąc funtów i reszta pieniędzy.

Robotnik bez pośpiechu starannie przeliczył pieniądze. Każdy banknot oglądał dokładnie, czy aby nie fałszywy. Parę razy omylił się i musiał zaczynać od początku. Wreszcie rzekł:

– Wszystko się zgadza. W porządku.

Wstał i pożegnał się z kupcem. A wychodząc zapewnił go, że chociaż zamieszka w odległym stąd Putney, to gdy będzie potrzebował jakichś materiałów piśmiennych, przyjedzie specjalnie na Jermyn Street do pana Tomlinsona.

Kupiec zamykając wieczorem swój sklepik był w doskonałym humorze. Nie każdemu i nie codziennie zdarza się zarobić siedem tysięcy funtów. Wracając do mieszkania pan Tomlinson nawet sobie podśpiewywał, fakt niesłychany. Postanowił też, że wybierze się na koncert Menuhina, aby posłuchać gry faceta, płacącego za skrzypce 15 tysięcy funtów.

Następnego dnia ruch w sklepie pana Tomlinsona był jak zwykle mały. Kupujący różne drobiazgi mogli zauważyć, że

spokojny na ogół kupiec jest dzisiaj dziwnie podniecony. Nie bardzo rozumiał, co do niego mówią, mylił się w obliczaniu rachunków i podawał klientom nie te towary, o które prosili.

Tak minął cały ranek, a wielki skrzypek nie zjawiał się po odbiór instrumentu. Wreszcie pan Tomlinson nie wytrzymał i zadzwonił do hotelu „Carlton”. Telefonistka natychmiast połączyła go z apartamentem zajmowanym przez Yehudi Menuhina. Telefon odebrał osobisty sekretarz wielkiego artysty. Nasz kupiec powiedział, że skrzypce czekają na odbiór, a on – Tomlinson – chciałby wiedzieć, kiedy pan Menuhin zgłosi się po nie i przynieść resztę pieniędzy. Sekretarz uprzejmie go wysłuchał i poprosił, aby rozmówca zaczekał chwilę przy aparacie. On, sekretarz, wprawdzie nie wie o niczym, ale zaraz się porozumie z artystą.

Potem w słuchawce odezwał się jakiś inny głos z cudzoziemskim akcentem:

- Mówi Yehudi Menuhin. Czym mogę służyć?
- Chciałbym się dowiedzieć, kiedy mistrz przyjdzie po skrzypce.
- Po skrzypce? Przepraszam, ale z kim rozmawiam? Nic nie rozumiem.
- To ja, Tomlinson z Jermyn Street! Mówię o tych skrzypcach, które pan u mnie zamówił. Stradivariusa za 15 tysięcy funtów.
- To chyba jakieś nieporozumienie. Żadnych skrzypiec nie kupowałem i nigdy nie byłem na Jermyn Street.
- Jak to? Przecież otrzymałem od pana zadatek! Trzy tysiące funtów!
- Nic nie rozumiem i nie wiem, o co chodzi. Proszę mówić

jaśniej albo po prostu niech pan przyjedzie do hotelu „Carlton”.

Pan Tomlinson odłożył słuchawkę. Był bardzo błady. Chwycił skrzypce i wybiegł ze sklepu, nawet go nie zamykając. Wskoczył do pierwszej wolnej taksówki i kazał się wieźć do „Carltonu”. A w drodze kilkakrotnie przynaglał kierowcę. Aż zdenerwowany szofer odburknął, że nie myśli płacić mandatu lub spowodować wypadku. Wreszcie stanęli przed gmachem hotelu. Kupiec wbiegł do hallu i spytał o pokój skrzypka. Pędem pobiegł na pierwsze piętro i nie pukając do drzwi numeru podanego mu przez portiera, wszedł do środka. Znalazł się w wytwornie urządzonej gabinecie. Na jego powitanie podniósł się elegancki młody człowiek w dobrze skrojonym garniturze.

– To pan rozmawiał z panem Menuhinem? Jestem jego sekretarzem osobistym. Pan Menuhin zaraz wyjdzie. Proszę chwileczkę zaczekać.

Otworzyły się drzwi do sąsiedniego pokoju i wyszedł z niego mężczyzna ubrany identycznie i bardzo podobny do tego, który wczorajszego poranku odwiedził pięknym rolls royce'em ulicę Jermyn Street. Bardzo podobny, ale nie ten sam!

– To z panem rozmawiałem przez telefon? – spytał z miłym uśmiechem. – Proszę, niech pan zechce wytłumaczyć, o co chodzi?

Pan Tomlinson był śmiertelnie błady. Bał się, że za moment straci przytomność. Z chwilą gdy zobaczył prawdziwego Menuhina, zrozumiał, że padł ofiarą sprytnego podstępu i że ten interes ze skrzypcami kosztował go pięć tysięcy funtów. Ale co miał robić? Opowiedzieć tym dwóm panom, w jaki sposób go nabrano?

Do straty finansowej dodać jeszcze śmieszność? Ogromnym wysiłkiem opanował się i zaczął opowiadać, że ma stare skrzypce, prawdziwego Stradivariusa, słyszał też, że mistrz poszukuje dobrego instrumentu i dlatego pozwolił sobie zatelefonować i przynieść te skrzypce. Yehudi Menuhin powiedział:

– Zasadniczo nie potrzebuję skrzypiec. Mam kilka doskonałych i ułożonych już do ręki instrumentów, ale chętnie obejrzę przyniesione przez pana.

Wziął instrument do ręki, obejrzał go dokładnie i zagrał kilka taktów.

– Muszę pana zmartwić. To zwykłe skrzypce, bardzo przeciętnej jakości. Nie są więcej warte niż kilkanaście funtów. Nawet nie nadają się dla orkiestry. Chyba do nauki.

– Ale w środku jest napis: Stradivarius – bronił się resztką nadziei pan Tomlinson. – Widać przyklejoną karteczkę.

Skrzypek uśmiechnął się.

– Stary kawał! Dziesięć tysięcy skrzypiec ma takie karteczki. Nie świadczą one bynajmniej o pochodzeniu z rąk starego mistrza z Cremony, lecz tylko o tym, że są zrobione ściśle na wzór tamtych. O tym wie każdy muzyk. Ale co panu? Może wody?...

*

Mister Henry MacAreck urwał na chwilę swoje opowiadanie i wypił ostatni łyk zimnej kawy. Baczny na każdy ruch milionera kelner podskoczył z butelką starki w rękę, napełnił kieliszki i zaproponował nową porcję mokki.

- Dziękuję – odpowiedziałem – chyba na dzisiaj starczy.
- Mój przyjaciel drobnymi łyżkami popijał złotawy napój potwarzając:
 - Co za kraj! Co za wspaniały kraj, który produkuje taki napój.
 - Policja cię nie złapała?
 - Policja? Nikt nie składał na mnie żadnej skargi do policji. Sposób nabycia Stradivariusa pozostał słodką tajemnicą pana Tomlinsona. Zapewniam cię, że do dziś nikomu się nie pochwalili... jak chciał oszukać biednego robotnika i co z tego wynikło. Zarobiłem około czterech tysięcy funtów i natychmiast wyjechałem do Stanów Zjednoczonych.
 - Po co? Przecież nie było skargi, areszt ci nie groził?
 - Toteż nie tego się bałem, ale nie widziałem powodu, aby czekać, aż stary lichwiarz odnajdzie mój ślad i mimo swojego skąpstwa poświęci jeszcze kilkaset funtów, aby wysłać mnie w daleką podróż... Zresztą Anglia ze szczętem mi obrzydła. Postanowiłem zapolować na rekiny po drugiej stronie Atlantyku. Miałem mały kapitalik zakładowy i niezawodną metodę powiększania go. Dlatego pewnego dnia wylądowałem na lotnisku La Guardia w Nowym Jorku.
 - A dlaczego zmieniłeś nazwisko?
 - Wcale go nie zmieniłem, tylko sfonetyzowałem na język angielski i nadałem mu bardziej irlandzkie brzmienie. Pamiętaj, że w tych Nie Bardzo Zjednoczonych Stanach pochodzenie gra ogromną rolę, a niestety, pochodzenie słowiańskie uważa się za najgorsze. Podobnie jak włoskie. Natomiast emigranci o nazwiskach irlandzkich to najstarsza, najbardziej arystokratyczna warstwa Amerykanów. Bilet wizytowy z przydomkiem „Mac” lub

„O” otwiera w USA każde drzwi. Daje dostęp do najbardziej ekskluzywnego towarzystwa. A mnie właśnie było potrzebne wejście do tych kół. Same pieniądze nie wystarczają. Dlaczego nie miałem być MacArekiem, zamiast skromnym Makarkiem. Czy myślisz, że w Polsce, państwie o diametralnie innym ustroju, ten kelner skakałby tak koło mnie, gdybym nie był mister Henry MacArek, tylko zwykły Henryk Makarek, repatriant z Zachodu? Spokojna głowa, na pewno nie! No, ale chodźmy stąd. Czas trochę pomieszkać. Muszę jutro wcześniej wstać. Jadę do Międzydrojów. Poznałem tam dzisiaj cudowną dziewczynę. Studentka Akademii Sztuk Pięknych. Muszę przyznać, że z tych wszystkich sztuk to ona jest bezsprzecznie najpiękniejsza. Chcesz, pojedziemy razem?

– Dziękuję, a kto zrobi za mnie sprawozdanie z procesu i za-telefonuje do Warszawy, do redakcji? Może pojutrze uda mi się wyrwać nieco wcześniej. Ale teraz rzeczywiście najwyższy czas, aby uderzyć w kimono...

Rozdział III

Proces o zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama wszedł w swoje najnudniejsze stadium. Cały dzień zeznawali świadkowie – wędkarze, którzy znaleźli ciało, nurkowie, funkcjonariusze milicji opowiadający o odkryciu w krzakach walizki służącej prawdopodobnie do przeniesienia zwłok na bulwar. Te drobiazgi, bardzo ważne dla sędziów siedzących na podium, nie miały znaczenia dla nas, dziennikarzy. Nie dawały nam żadnego materiału do gazety. To wszystko już zostało opisane przy streszczaniu aktu oskarżenia. Toteż cała „ława prasowa” była pełna uznania dla prokuratury i obrony, obie strony wysłuchiwały zeznań nie zadając prawie żadnych pytań. Sprawa toczyła się więc stosunkowo szybko i około godziny dwunastej lista świadków wezwanych na dzień dzisiejszy była już zamknięta.

Wtedy prokurator wstał i złożył wniosek o odroczenie rozprawy do następnego dnia oraz o powołanie nowego świadka, którego zeznania mogą mieć decydujące znaczenie dla sprawy. Prokurator wymienił nazwisko jakiejś kobiety. Sąd przychylił się do wniosku i zamknął rozprawę. Byliśmy wolni.

Sprawozdawca sądowy z „Kuriera Szczecińskiego” próbował dowiedzieć się czegoś od prokuratora na temat nowego świadka,

ale przedstawiciel oskarżenia zasłaniał się tajemnicą urzędową, oświadczył jedynie, że kobieta, którą jutro postawi przed kratkami sądowymi, jest dobrą znajomą oskarżonego, a jej zeznania będą prawdziwą rewelacją. W ogóle, zdaniem prokuratora, jutrzejszy dzień będzie jednym wielkim atakiem oskarżenia i zapowiada się wręcz sensacyjnie. Nasz szczeciński kolega podzielił się uzyskanymi przez siebie wiadomościami z „prasą przyjezdną”. Dzięki temu mieliśmy trochę „materiału” do przekazania naszym redakcjom.

Ponieważ było jeszcze wcześniej, a pogoda dopisywała, postanowiłem jechać do Międzyzdrojów. Bez trudu odszukałem zaparkowany przed jednym z lokali popielaty wóz mojego przyjaciela. Henia zastałem na obiedzie ze „sztuką piękną”. Dziewczyna była naprawdę więcej niż przystojna. Z wdziękiem grała rolę młodej, trochę naiwnej studentki-panienki z dobrego domu. Henio wierzył wszystkiemu bez zastrzeżeń. Ja, bardziej sceptyczny, byłem skłonny przypuszczać, że jeżeli dziewczyna jest studentką, to najwyżej „polonistką”. I to nie z Uniwersytetu Warszawskiego, tylko kawiarni „Polonia”. Co zresztą nie przeszkadzało, że spędziliśmy uroczę popołudnie zwiedzając wyspę Wolin. Przed wieczorem mój amerykański przyjaciel odstawił swoją bogdanę z powrotem do Międzyzdrojów i wróciliśmy do Szczecina.

Dopiero wówczas miałem możliwość podziwiać zalety sportowego mercedesa. Drogę, która zajęła mi w jedną stronę autobusem przeszło trzy godziny, przebyliśmy teraz zaledwie w pięć kwadransów. Na niektórych prostych odcinkach szosy szybkościomierz wskazywał przeszło sto sześćdziesiąt kilometrów. A przecież Henio ani razu nie docisnął gazu do deski i nie włączył

sprężarek. Pędząc z taką szybkością czułem, jak mi na głowie włosy dęba stają. Całe szczęście, że pilnowałem mego kierowcy, aby przy obiedzie pił tylko oranżadę. Wreszcie emocje skończyły się, wjechaliśmy w granice miasta Szczecina i Henio musiał jechać przepisową sześćdziesiątką. Trzeba przyznać, że był kierowcą wysokiej klasy. Lubił i umiał jeździć bardzo szybko, lecz bezwzględnie stosował się do wszelkich przepisów i znaków drogowych. Jeździłem z nim i wówczas, i później dość dużo, nie zdarzyło się jednak, aby – na przykład – przejechał przez zupełnie puste skrzyżowanie nie zatrzymawszy się przy znaku.

Wieczorem poprosiłem dawnego szkolnego kolegę o dalszy ciąg jego przeżyć. Henio wprawdzie wolałby rozmawiać o znajomej z Międzyzdrojów, ale ostatecznie skończyło się na kompromisie. On najpierw zachwycił się dziewczyną, jej wdziękiem i inteligencją, a ja myślałem o nim: „stary i głupi”, lecz nie rozwiewałem jego złudzeń. W końcu mój przyjaciel, wyczerpawszy swój podziw dla Akademii Sztuk Pięknych w ogóle, a dla jednej jej przedstawicielki w szczególności, podjął dalszy wątek historii swojego życia.

– Gdy wylądowałem w Stanach Zjednoczonych – mówił – miałem w kieszeni przeszło 10 tysięcy dolarów. Niewiele, ale coś, z czym można już zaczynać. Nie miałem żadnych znajomości. Zatrzymałem się w Nowym Jorku, wynająłem małe, lecz w dobrym punkcie położone mieszkanie. Nawiasem mówiąc straszliwie drogie, bo w nowym „drapaczu”. Wy w Polsce nie macie nawet pojęcia, ile się płaci na Zachodzie za przyzwoite lokum. Nierzadko połowa dochodów idzie na komorne.

- A dlaczego nie zamieszkałeś w hotelu?
- Hotel, nawet najwytworniejszy, nie budzi zaufania. Pragnąc

sobie wyrobić znajomości, zacząłem regularnie chodzić na giełdę. Grałem ostrożnie, tylko na najpewniejsze walory. Nie dawałem się namówić na żadne spółki i „znakomite interesy”. Szkoła, jaką otrzymałem w Londynie na interesie z pralniami, przydała mi się bardzo. Szybko zorientowałem się w mechanizmie gry giełdowej. Nawet na Polsce udało mi się dobrze zarobić. Była to bodaj największa z moich transakcji.

– Nie rozumiem?

– Stany Zjednoczone miały po raz pierwszy udzielić Polsce kredytu. O ile sobie przypominasz, chodziło wówczas o 125 milionów dolarów. Z tego połowę miał stanowić kredyt towarowy w maszynach i urządzeniach inwestycyjnych a połowę dostawy zboża, głównie pszenicy. Prasa Stanów Zjednoczonych stosunkowo niewiele pisała o samej transakcji, podkreślając raczej jej znaczenie polityczne. Istotnie, z punktu widzenia sfer gospodarczych USA, cała transakcja nie miała zbyt wielkiego znaczenia. Natomiast prasa polska, a przede wszystkim prasa gospodarcza szeroko się rozwoziła, jakie towary i w jakich firmach zostaną zakupione. Cały czas miałem kontakt z Konsulatem Generalnym i Przedstawicielstwem Handlowym w Nowym Jorku. Nie było tajemnicą, co i gdzie mają kupić oraz jakie towarzystwa okrętowe będą przewoziły te towary. Warunkiem bowiem całej operacji było, że zakupy zostaną dowiezione przez statki amerykańskie. Jest to zresztą żelazny warunek wszystkich operacji kredytowych USA.

– Wobec tego – ciągnął dalej mój przyjaciel – kupiłem, ile tylko mogłem, akcji koncernów, które miały otrzymać zamówienia z Polski i linii okrętowych, mających przewieźć tę masę towarową.

Nie zawiodłem się. W ciągu kilku tygodni wszystkie moje walory podskoczyły o kilka, a niektóre o kilkanaście punktów. Wtedy je sprzedałem i zarobiłem kilka tysięcy dolarów. Na ogół jednak grę na giełdzie traktowałem nie jako sposób zrobienia majątku, na to miałem zbyt mało pieniędzy, ale jako zdobycie środków utrzymania bez uszczuplania swojego kapitału i zawarcia możliwie najliczniejszych znajomości wśród kół bogatych przemysłowców amerykańskich. Udało mi się w całej pełni. Zostałem nawet członkiem dwu ekskluzywnych klubów nowojorskich, gdzie nie przyjmują nikogo, kto nie może się pochlubić rachunkiem bankowym z sześcioma zerami. Moje nienaganne irlandzkie nazwisko uzupełniło ten mankament.

Tak więc po prawie rocznym pobycie w Nowym Jorku byłem już gotów do mojego pierwszego wielkiego skoku. Było to tak.

*

Już od dawna wielkie amerykańskie przedsiębiorstwo okrętowe „President's Line” reklamowało się w całej prasie. „Wycieczka milionerów”. „45 dni bez żadnych kłopotów w największym luksusie. Zwiedzanie Wysp Hawajskich, Filipin, i Japonii. Najwytworniejsze towarzystwo, najlepsza kuchnia, znakomita obsługa. Codziennie własny biuletyn giełdowy. Wszystko na statku 27 000 ton «President Roosevelt» za jedne 3 000 dolarów. Korzystajcie z okazji”.

Długi sznur eleganckich samochodów podjeżdżał pod nadbrzeże portu w San Francisco. Wysiadały z nich wytworne panie i elegancy panowie. Stewardzi zręcznie odbierali od kierowców

wypchane walizy. Goście przechodzili po trapie na wielki transatlantyk. Przy wejściu na pokład witał ich II oficer. Uprzejmym ruchem wskazywał dalszą drogę do wielkiego salonu, gdzie odbywał się powitalny cocktail. Tu uczestników wycieczki oczekiwał sam kapitan statku. Służba zręcznie roznosiła tace pełne smukłych kieliszków szampana lub mieniące się wszystkimi kolorami cocktaile. Nikt o nic się nie martwił. Każdy wiedział, że gdy statek ruszy w swoją podróż, rzeczy pasażerów będą leżały w ich kabinach rozpakowane i wyprasowane.

Wreszcie syrena odezwała się krótkim rykiem. Dwa holowniki wyciągnęły statek z basenu portowego. Minął on Golden Gate i kapitan kazał uruchomić śruby. Orkiestra grała skoczne melodie. Cały high-life zgromadził się na pomoście spacerowym, aby podziwiać piękną panoramę miasta i portu San Francisco. Wkrótce potem wytworne towarzystwo zajęło miejsca w jadalni. Pierwszy obiad był szczególnie uroczysty. Po obiedzie panowie przeszli do kilku znajdujących się na statku barów na jednego „drinka”, panie zaś udały się do swoich kabin, aby nieco odpocząć, poprawić fryzury w salonach piękności i odświeżyć się przed „balem kapitańskim” zapowiedzianym na całą noc.

Wśród publiczności wyróżniał się wytwornym wyglądem i urodą pewien mężczyzna. Wypytywana o tego pasażera służba okrętowa informowała, że jest to niejaki mister Henry MacAreck, syn bogatego plantatora z Alabamy. On sam, dodawali poufnym głosem stewardzi, ostatnio z wielkim powodzeniem grał na giełdzie w Nowym Jorku.

To wyjaśnienie wystarczało całkowicie. Wielu spośród pasażerów było przecież codziennymi gośćmi nowojorskiej giełdy.

Bez trudu przypominali sobie charakterystyczną sylwetkę mężczyzny, którego często widywano w wielkim hallu giełdowym. Widocznie jest bogaty, musiał grać szczęśliwie, jeżeli mógł znaleźć się na statku, gdzie sam bilet wynosi 3 000 dolarów, a bilet to mniej niż połowa kosztów wycieczki. Zresztą samo nazwisko „MacAreck” wyraźnie świadczyło, że nieznajomy nie jest pierwszym lepszym przybłądą, jacy ostatnio tak tłumnie dostali się z Europy do Stanów Zjednoczonych.

Panu MacAreck przypadło dobre miejsce przy stole w jadalni. Niedaleko od stołu kapitańskiego, gdzie siedzieli tylko najbogatsi i najbardziej znani businessmeni USA. Jego stół wprawdzie był mniej szacowny, ale wśród grona tu siedzących każdy chyba mógł się wylegitymować i wysokim stanowiskiem w przemyśle, i równie wysokim kontem bankowym. Byli więc i państwo Murphy – słynne „Murphy-Association”, sieć barów samoobsługowych pokrywających całą Północną Amerykę. Siedzieli również państwo Wheeler z córką, mister Wheeler był jednym z dyrektorów „Unitet Fruits Company” i miał poważny portfel akcji tegoż towarzystwa. Naprzeciwko pana MacArecka zajmował miejsce starszy pan Slade z banku „Thomas Slade and Junior” z Chicago. Za *minorum gentium* uważano w tym towarzystwie państwa Polnik. Nic dziwnego, pan Polnik przybył do USA dopiero dwadzieścia lat temu i swój pierwszy milion „zrobił” po II wojnie światowej na dostawach broni dla marszałka Czang Kai-Szeka. Z takimi nowobogackimi pani Wheeler nie chciała nawet rozmawiać. Natomiast po panu MacAreck od pierwszego rzutu oka widać było, że się urodził w złotej kołysce wśród szerokich pól Alabamy. Parę pokoleń jego przodków na pewno nie wiedziało, co to są

kłopoty finansowe lub ciężka praca. Ów dżentelmen reprezentował niewątpliwie ideał tego, co się nazywa „amerykańskim stylem życia”. Obok pana MacArecka I oficer prezydujący przy tym stole posadził starszą panią o pięknych brylantowych butonach. Pani Dufay musiała mieć najpiękniejsze brylanty na statku. Jej mąż zajmujący miejsce po lewej stronie pani Wheeler był współwłaścicielem kopalń diamentów w Południowej Afryce.

Na balu kapitańskim pan MacAreck sprawował się nienaganie. Zachował pełną solidarność ze swoim stołem. Tańczył kolejno ze wszystkimi paniami, nie wyłączając nawet Mrs Polnik. To już może było nawet pewną przesadą... Przynosił paniom z bufetu szampana, bawił najnowszymi ploteczkami z Europy, skąd niedawno powrócił. Opowiadał kapitalne historie, jak się zmywa talerze w wielkiej restauracji i jak najlepiej wyładować bele bawełny ze statku. Panie śmiały się do łez słysząc tak fantastyczne anegdotki. Panowie byli równie zadowoleni. Ich magnifiki nie skarżyły się dzisiaj na brak powodzenia. A co do młodego plantatora, to trzeba przyznać, że umiał wypić i znał się na trunkach. Jak to on z miejsca osadził kelnera, który ośmielił się podać mu zamiast whisky „Balantine” płyn nalany z butelki „White Horse”. A gdy w końcu zamówił i kazał przynieść w srebrnym wiaderku najdroższy napój, jaki był na statku – polish vodka – nawet sztywny pan Slade rozkrochmałił się i wypił toast za zdrowie „my dear Henry MacAreck”.

Jedna z pań zauważyła na ręku wytwornego dżentelmena piękny pierścień. W starą złotą oprawę wmontowany był zielonkawy kamień, rzucający silne błyski. Pan MacAreck chętnie pokazywał ten klejnot. Śmiał się, że wszyscy zwykle interesują się zielonym kamieniem. A to zwykle szkiełko! Nosi go, bo to

podobno talizman. Jego ojciec, biorąc udział w pierwszej wojnie światowej, wyniósł na plecach z pola walki pewnego Hindusa ciężko rannego w piersi. Biedak leżał prawie całą dobę między liniami amerykańskich i niemieckich okopów. Jęczał straszliwie i nie mógł skonać. Wreszcie pan MacAreck senior ruszył w nocy pomiędzy druty i mimo ostrzału dowlókł Hindusa do własnych linii. Po rannego przyszli później towarzysze jednego z kolonialnych pułków angielskich zajmujących sąsiedni odcinek frontu.

W parę miesięcy potem Hindus, który niemal cudem wywinął się śmierci, odnalazł swojego wybawcę. Długo w wyszukanych słowach dziękował ojcu Henry'ego za ocalenie życia. Zapewniał, że wszystkie dobra, jakie posiada, są do dyspozycji oficera amerykańskiego, który nie zawahał się zaryzykować życia, żeby przyjść z pomocą nie znanemu człowiekowi. Na pamiątkę Hindus wprost wmusił w starszego pana MacArecka pierścień z zielonym kamieniem, oczywiście zwykłym szkiełkiem. Skąd bowiem biedny Hindus mógł mieć coś bardziej wartościowego? Ocalony żołnierz zapewniał, że pierścień ma specjalne właściwości, to talizman o tajemniczej mocy, daje jego posiadaczowi powodzenie materialne, szczęście w miłości i chroni przed każdym niebezpieczeństwem. Oficer amerykański podziękował za dar i nie chcąc urazić Hindusa włożył pierścień na palec.

Było to nad Sommą. W parę dni później na tym spokojnym dotychczas odcinku rozgorzały straszliwe walki. Z dywizji seniora MacArecka pozostało tylko około dwudziestu ludzi, w tym siedmiu całkowicie zdrowych. Wśród nich był i posiadacz zielonego kamienia. Co ciekawsze, od tej chwili powodzenie stale towarzyszyło właścicielowi talizmanu. Nawet w wielkim krachu giełdowym w 1929 roku MacAreck senior nie stracił ani centa.

Wiedziony dziwnym przeczuciem na trzy dni przed krachem sprzedał wszystkie swoje akcje i wycofał gotówkę z banków. Sam nie wiedział, dlaczego to robi.

Nic więc dziwnego, że gdy jedynak szedł na drugą z kolei wojnę światową, ojciec wraz ze swoim błogosławieństwem włożył mu na palec pierścień z zielonym kamieniem. Talizman pomagał również synowi. Przeżył on całą kampanię bez najmniejszego draśnięcia, zdobył liczne ordery i odznaczenia, a przecież pełnił bardzo ciężką służbę: dowodził niewielkim okrętem wojennym stacjonowanym prawie przez cały czas trwania wojny na Malcie.

– Czy w miłości przynosi panu szczęście ten talizman? – zapytała jedna z pań.

Mister MacAreck tylko się roześmiał.

– Jestem bardzo nieśmiały i bardzo boję się kobiet, więc nawet nie miałem możliwości wypróbowania mocy mojego talizmanu.

Panie uśmiechnęły się. Niejedna byłaby skłonna wyleczyć przystojnego dżentelmena z nieśmiałości. Niejedna może nawet postanowiła to zrobić. Długa wycieczka statkiem na pewno stworzy taką okazję.

Potoczyła się ogólna rozmowa o klejnotach. Panie chwaliły się swoimi precjozami. Panowie opowiadali o cenach diamentów na światowych giełdach i przytaczali historie najszlachetniejszych kamieni świata. Laicy sądzą, że wszystkie brylanty są bezbarwne. Nic podobnego! Te kamienie mają różne odcienie. Najtańsze są żółte. Najbardziej pospolite zwykłe białe. Droższe od nich są „blauweissy” – bezbarwne, ale o niebieskiej grze światła. Dalej idą kamienie droższe, wyraźnie jasnoniebieskie, różowe i zielone.

Te wszystkie kolorowe brylanty są bardzo rzadkie i bardzo drogie. Malutki kamyk – różowy brylant mający zaledwie około trzech karatów jest znacznie droższy niż dziesięć razy większy żółtawy olbrzym. Najrzadsze są brylanty zielone. Te nie mają wprost ceny. Są unikatami. Ostatnio za naszyjnik ozdobiony zielonym brylantem o wadze zaledwie dwa i pół karata pani Du Pont zapłaciła 115 tysięcy dolarów.

– A może to jest również zielony brylant – zawołała pani Polnik. – Niech pan pokaże!

– Ale skądże! Zwykłe szkiełko. Hindus zapewne kupił je na bazarze w Kairze w drodze do Europy, na front. Ale proszę, chętnie pani służę – pan MacAreck zdjął pierścień z palca i podał go żonie handlarza bronią.

Pierścionek krążył wśród siedzących przy stole. Spory zielony kamień miał szeroki, nie używany dzisiaj szlif. Musiał ważyć ponad cztery karaty. Oprawiony był w czerwone złoto. Cały pierścień był pokryty dziwnymi hieroglifami wrytymi wśród wyrzeźbionych kwiatów lotosu. Niewątpliwie bardzo oryginalna robota.

Najdłużej przyglądał się ciekawemu dziełu sztuki złotniczej pan Dufay. On jeden w całym towarzystwie znał się na brylantach i wiedział, ile są warte. Przecież kopalnie diamentów to jego business. Toteż pan Dufay fachowym okiem oglądał podany mu klejnot. Wypróbował grę światła i zajął od spodu, w jaki sposób oszlifowano kamień. „Korzeń” był stosunkowo długi i można było bez dużej straty na wielkości przeszlifować klejnot, nadać mu nowoczesny wygląd i dzięki temu wzmoczyć jego piękną grę kolorów. To wszystko w lot ocenił pan Dufay, ale nic nie powiedział i zwrócił pierścień właścicielowi. Ten niedbałym ruchem włożył go na palec i roześmiał się:

– Będę w końcu zmuszony nagrać całą historię na płytę. Każdy mnie pyta o to szkiełko. Opowiadałem już o nim w swoim życiu co najmniej trzysta razy. Co ja mówię? Najmniej tysiąc razy. Tak przywykłem do tego pierścionka, że sam w końcu uwierzyłem w jego tajemniczą moc. Taki jestem głupi.

– Czy nie pokazywał go pan nigdy żadnemu jubilerowi? – zapytał pan Dufay.

– Nigdy. Po co? Pamiętam, że gdy byłem jeszcze bardzo młodym chłopcem, do naszej fermy przychodził czasami pewien stary człowiek. Nosił na plecach dziwną maszynę samogrającą – pierwowzór dzisiejszych grających szaf, tylko trzeba było ją kręcić ręcznie. Na maszynie siedziała papuga. Jeżeli dało się grajkowi 50 centów, wyciągała z pudełka kopertę. W kopercie znajdowała się przepowiednia przyszłości i podobny pierścionek. Wszystkie pracujące na farmie kobiety kupowały za półdolarówkę przyszłe szczęście. Moja siostra do niedawna miała taki pierścionek z niebieskim oczkiem. Widocznie w Indiach mężczyźni nabywają pierścionki u kataryniarzy.

Pan Dufay i tym razem nic nie powiedział.

Na drugi dzień morze dawało się we znaki mniej przyzwyczajonym do podróży morskich czy lotniczych. Na stołach pojawiły się spodeczki z pigułkami przeciw chorobie morskiej. Kilkadzieśnięt osób nie zjawilo się na posiłki do jadalni okrętowych. Ale za to inni bawili się wesoło. W basenie kąpielowym improwizowano zawody pływackie, na pokładzie spacerowym wiele osób zażywało kąpeli słonecznej. Nawiązywały się pierwsze flirty. Dużym powodzeniem cieszył się również wydawany co parę godzin biuletyn okrętowy. Podawał on pełne notowania wielkich giełd. Po ukazaniu się każdego numeru biuletynu wielu panów biegnęło na

pocztę okrętową, aby nadać radiotelegram do swojego maklera giełdowego. Pan MacAreck, który opalał się na leżaku ustawionym między fotelami zarezerwowanymi przez państwa Wheeler i państwa Dufay, niedbale rzucił okiem na trzymany przez jednego z panów biuletyn. Roześmiał się.

– To doprawdy zachwycające. Płynę, bawię się wspaniale, mam takie przemiłe towarzystwo – tu skłonił się obu paniom – a jednocześnie zarabiam. Przed wyjazdem z Nowego Jorku poleciłem, żeby kupiono dla mnie spory pakiet „Pacific Air-Lines”. Ot tak, sam nie wiem, dlaczego. Podobała mi się po prostu nazwa przedsiębiorstwa. I co powiecie? Akcje podskoczyły, jak widzę, o 17 punktów. Zarobiłem przeszło 15 tysięcy dolarów. Musimy to wieczorem oblać. I jak tu nie wierzyć w mój cudowny zielony kamień?

– Jak to – zdziwił się pan Wheeler – kupił pan akcje nie interesując się nimi zupełnie? Nie wiedział pan nic o koniunkturze na przemysł lotniczy?

– Absolutnie. Już byłem spakowany do wyjazdu. Miałem za parę godzin samolot do Frisco, a tu mój agent zaczyna mnie nudzić. A czy to sprzedać, a czy tamto kupić... Żeby odczepić się od niego jak najprędzej, kazałem mu wszystko sprzedać i za całą sumę nabyć akcje właśnie „Pacific”. Akurat tę nazwę wyczytałem z ceduły giełdowej leżącej przede mną. Widocznie podszeptała im to mój talizman.

Wszyscy się roześmieli, ale chyba nikt nie uwierzył. Natomiast panie musiały przyznać, że Irlandczykowi jest wyjątkowo do twarzy w białym golfie przy śniadej, opalanej cerze.

- A jak pan teraz zagra? – zainteresował się pan Dufay. MacAreck namyślał się przez chwilę, wreszcie zdecydował:
- Sprzedam „Pacific” i kupię „Zjednoczone Kopalnie Węgla”.
- No, na tym pan nie zarobi! Akcje węglowe regularnie spadają od paru lat. Tu pański talizman nic już nie pomoże. Na giełdzie, młody człowieku – dodał pan Dufay – trzeba się znać, a nie grać według ładnych nazw zakładów przemysłowych.

Mister MacAreck uśmiechnął się, napisał coś na kartce i przywoławszy skinieniem ręki jednego ze stewardów kazał mu natychmiast zanieść notatkę do kabiny radiotelegrafu. Na żądanie pań całe towarzystwo zmieniło przedmiot rozmowy. Panom zapowiedziano, żeby nie ważyli się mówić więcej o interesach. Posiadacz cudownego zielonego talizmanu zaczął opowiadać o Paryżu, o wielkich domach mody i organizowanych przez nie pokazach, na których był podczas ostatniego pobytu za granicą. Nawet na kawałku papieru narysował zachwyconym słuchaczkom nową linię lansowaną przez Diora.

Wydany następnego dnia biuletyn przyniósł ciekawą wiadomość. W Anglii wybuchł wielki strajk w przemyśle węglowym. Jak podawała United-Press, strajk zapowiada się na długo i bardzo trudno będzie osiągnąć jakikolwiek kompromis między żądaniami robotników a stanowiskiem właścicieli kopalń. W związku z tym na giełdzie w Nowym Jorku zanotowano gwałtowne podniesienie się kursów akcji „Zjednoczonych Kopalń Węgla”. Ostatnie notowania były najwyższymi, jakie te papiery osiągnęły w ciągu ostatnich trzech lat.

– I jak tu nie wierzyć w talizmany – śmiał się pan MacAreck pokazując panu Dufay ostatnie wiadomości z nowojorskiej giełdy.

Któregoś popołudnia, gdy panie zostawiły panów samych, ktoś zaproponował grę w karty. Malutkiego pokerka. Zaczęło się bardzo niewinnie – po dolarze. Ale już za pół godziny na stole pojawiły się banknoty 50 i 100 dolarowe. Mister Wheeler licytował spokojnie, ale tylko na pewniaka. Pan Dufay raczej bawił się kartami, pan MacAreck siedział z kamienną twarzą, na której nie odbijało się żadne uczucie. W licytacji bowiem był bezlitosny. Umiał wyżyłować swoich przeciwników do ostatka. Dwóch młodych ludzi, panowie James Brown i Carter Pierce hazardowali się coraz bardziej. Gra stawała się coraz ostrzejsza. W końcu panowie Wheeler i Dufay właściwie tylko statystowali pozostałej trójce.

Przed mister MacAreckiem rosła coraz większa kupka banknotów. Ze wszystkich większych spotkań wychodził z reguły zwycięsko. Zawsze miał, jak to się mówi, „oczko” więcej od swoich przeciwników. Ci denerwowali się coraz bardziej. Wreszcie poszły w ruch pióra i książeczki czekowe. Na próżno najstarszy z całej piątki pan Wheeler parokrotnie proponował, żeby przerwać grę – przecież wycieczka nie kończy się dzisiaj, będzie jeszcze dużo czasu, aby zagrać ponownie. MacAreck także był skłonny do zlikwidowania partii. Zapewniał swoich przeciwników, że służy im rewanżem w każdej chwili, ale teraz pora kończyć, iść do kajut i przebrać się do kolacji. Ale młodzi, zacierzeni ludzie nie chcieli nawet o tym słyszeć.

Wreszcie gdy namowy pana Wheelera nie odniosły żadnego skutku, pan MacAreck powiedział:

– Gram tylko cztery rundki! Ani chwili dłużej. Jeżeli panowie

zechcecie się odegrać, proponuję przebijanie bez ograniczeń.

– To szaleństwo – stwierdził pan Dufay. – W ten sposób można przegrać majątek. Nie gram dłużej.

– Ja także nie zwariowałem – powiedział pan Wheeler.

– No to gramy w trójkę – zawołał pan Carter Pierce. – Otwieram z tysiąca dolarów – i położył na stole czek na tę sumę.

– Ten tysiąc i jeszcze cztery – zimno powiedział MacAreck.

Karty rozdawał pan James Brown. Wszyscy trzej weszli. W puli zebrało się 15 tysięcy dolarów. MacAreck poprosił o dwie karty. Trzeba wyjaśnić, że grano w pokera europejskiego, który różni się dość zasadniczo od innej gry hazardowej, popularnej w Stanach Zjednoczonych i mającej tę samą nazwę. Brown kupił jedną kartę, zaś Pierce aż trzy. Licytację rozpoczął Pierce od tysiąca dolarów. Brown przebił do trzech, a MacAreck spokojnie przebił: „te trzy i jeszcze siedem”. Obaj pozostali dodali. Odkryto karty. Pierce miał trzy asy. Brown fuła waletowego, MacAreck czwórkę dziewiątek. Niedbałym ruchem przysunął do siebie kupkę czeków i zaproponował:

– Otwieram w ciemno z trzech tysięcy.

Naokoło graczy zebrała się pokaźna grupka kibiców. Nawet ci, z których każdy mógł podpisać czek na 100 tysięcy dolarów, dziwili się tak wysokiej grze. W USA pasjonują się grą na giełdzie, wyścigami, automatami do gry, natomiast w karty nie gra się tak hazardowo, jak przy tym stoliku.

W następnych rozdaniach gra jeszcze się zaostrzyła. Pan MacAreck parę razy przegrał po parę tysięcy dolarów, ale znacznie

częściej i więcej wygrywał. Wreszcie rzucił karty i wstał od stołka.

– Panowie wybaczą – stwierdził – ale zapowiedziałem, że nie gram dłużej jak cztery rundki.

Spokojnie policzył banknoty i rozdzielił czeki na dwie kupki. Okazało się, że pan Pierce przegrał prawie czterdzieści tysięcy dolarów, zaś pan Brown nawet 43 tysiące. Po skończonej grze obydwaj mieli niewyraźne miny.

– Może który z panów ma ognia? – zapytał MacAreck wyjmując papierośnicę.

Pan Slade, który tylko przyglądał się szaleństwu przy zielonym stoliku, usłużnie wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę i podał płomień Irlandczykowi. MacAreck nie zapalił jednak papierosa, tylko przytknął ogień do stosika niebieskich i różowych papierków – czeków panów Browna i Pierce'a.

– Co pan robi? – zawołał ze zdumieniem jeden z kibiców, patrząc, jak czeki zajmują się jasnym płomieniem.

Pan MacAreck rzucił tę palącą się kupkę papierków na stojącą przed nim popielniczkę, gdzie szybko zamieniły się w popiół.

– Po prostu palę to, co wygrałem – odpowiedział zimno Mr. Henry. – Byłoby nieuczciwością z mojej strony, gdybym skorzystał z zaślepienia młodości i ograbił tych nierozważnych dżentelmenów. Zresztą w grze ze mną nie mieli żadnych szans. Musiałem wygrać.

– Jak to? – zapytał pan Pierce. Na jego twarzy malował się wyraz ulgi, ale jednocześnie i zawstydenia. Cieszył się, że czeki, które tak nierozważnie podpisywał, nigdy nie trafią do banku, było mu jednak głupio, że został potraktowany w tym towarzystwie

jak ostatni smarkacz. Dość było spojrzeć na Mr. Browna, żeby stwierdzić, iż on również przeżywa podobne uczucia.

– Prosta rzecz – odpowiedział pan MacAreck – grałem mając na ręku mój talizman. Nie mogłem wstać od stołu przegrany.

– Bardzo pana przepraszam i bardzo dziękuję za lekcję – mister Carter Pierce wstał od stołu i wyciągnął rękę do zwycięzcy. – Nie wierzę w pańskie talizmany, lecz muszę stwierdzić, że jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Pan Brown poszedł za jego przykładem.

– Ależ głupstwo, panowie. Nie ma o czym mówić. Jestem starszy, nic więc dziwnego, że umiem lepiej panować nad nerwami. Wszystko w porządku. Zapraszam panów do baru. Przed kolacją wypijemy po kieliszku prawdziwej polish vodka. Trzeba korzystać z okazji, dopóki mają ją jeszcze w barze.

Nazajutrz, gdy pan MacAreck spotkał na pokładzie spacerowym pana Dufay, ten poprosił go o chwilę rozmowy.

– Wie pan – powiedział, gdy obaj panowie usiedli w jednym z gabinetów – nie jestem przesądny, ale doprawdy nie wiem, co myśleć o pańskim talizmanie. Gdybym nie był świadkiem rzeczy, w które trudno uwierzyć, to choćby mi najlepszy przyjaciel opowiadał, uważałbym go za największego łgarza w całych Stanach Zjednoczonych.

– Ma pan rację – zgodził się mister MacAreck. – Mnie samemu nieraz nie mieści się w głowie, ale tyle już razy wypróbowałem ten talizman i nigdy mnie nie zawiódł, że i dzisiaj wierzę w dziwną moc zawartą w zielonym szkiełku.

– Właśnie o to mi chodzi. Zwracam się do pana z wielką prośbą. Mam do rozstrzygnięcia ważne dla mnie sprawy. Od trafnego wyboru decyzji zależy, czy zarobię, czy stracę bardzo poważną sumę. Wiem, że to głupio z mojej strony, lecz czy nie mógłby pan pożyczyć mi pierścienia na parę godzin? Chciałbym podjąć decyzję, mając talizman na ręku.

– Ależ chętnie panu służę. Choćby do jutra. Nie mam zamiaru dzisiaj grać w pokera. Nie będę też dawał żadnych dyspozycji mojemu maklerowi, więc te kilka godzin przeżyję chyba spokojnie bez mojego talizmanu. Byłbym bardzo rad, gdyby siła pierścionka pomogła panu w wyborze właściwej decyzji.

Zdjął pierścionek z palca i podał go panu Dufay, który natychmiast założył klejnot na swoją rękę i wylewnie podziękował za przyjacielską usługę.

Gdy pan Dufay wyszedł, mister MacAreck udał się do swojej kajuty i zadzwonił na stewarda. Ten zjawił się prawie natychmiast.

– Mam do pana jedną prośbę – powiedział właściciel kajuty bawiąc się papierkiem studolarowym.

– Służę wielmożnemu panu – wzrok stewarda wędrował od twarzy gościa do banknotu w jego rękę.

– Sprawa jest nieco delikatna i musi pozostać w ścisłej dyskrecji.

– Zrozumiałe samo przez się – steward był już i teraz prawie pewny, że ta studolarówka nie przypadkiem znalazła się w ręku dżentelmena o irlandzkim nazwisku.

– Widzi pan, pod numerem kajuty 63 mieszka niejaki pan Dufay.

– Wiem o tym, znam pana Dufay – zapewnił steward.

– Otóż chodzi mi tylko o drobnostkę, na której niezmiernie mi zależy. Przypuszczam, że pan Dufay odwiedzi dzisiaj jubilera na statku i pokaże mu pewną rzecz. Pewien klejnot. Chciałbym mieć pewność, czy pan Dufay był w sklepie jubilerskim. Nic więcej.

– Doprawdy, to głupstwo. Oczywiście tajemnice naszych gości są dla nas święte, ale to, co pan chce wiedzieć, nie jest żadną tajemnicą. Mógłbym przecież przypadkowo zobaczyć tego dżentelmena, gdy wchodzi do sklepu jubilera.

– Właśnie zależy mi na tym, żeby pan go zobaczył. Reszta mnie nie obchodzi. Proszę na koszty – banknot błyskawicznie zniknął w ręku stewarda, który zapewniając o załatwieniu zlecenia szybko opuścił kabinę.

Po południu steward dyskretnie zbliżył się do pana MacArec-ka. Pod pozorem podania mu kieliszka cocktailu nachylił się i szepnął:

– Pan Dufay odwiedził jubilera przed dwiema godzinami. Pokazywał mu pierścień z zielonym kamieniem. Jubiler zapewniał mnie, że nigdy w życiu nie widział tak pięknego zielonego brylantu. Ocenił go, po przeszlifowaniu na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeśli nawet nie więcej.

– Bardzo dziękuję – mister MacAreck był wyraźnie ucieszony przyniesioną wiadomością i drugie sto dolarów zniknęło w zręcznej dłoni stewarda.

Tego wieczoru wszystkie panie uznały, że MacAreck jest naprawdę czarujący. Tańczy wspaniale, nigdy się nie upija, opowiada anegdoty jak nikt na świecie i ma wspaniały humor. O ileż ten mężczyzna jest bardziej interesujący od amerykańskich mężów, którzy umieją mówić tylko o samochodach i o tym, kto ile zarobił.

A wieczorami są zazwyczaj zmęczeni i czekają tylko na ostatnie wiadomości giełdowe.

Na drugi dzień pan Dufay promienny jak słońce złożył wizytę mister MacAreckowi i zwrócił mu pierścień.

– To naprawdę fenomenalne – powiedział. – Kiedy miałem pierścionek na rękę, to czułem jasność myśli. Bez najmniejszego wahania wiedziałem, jak postąpić. Decyzja, jaką powziąłem, była słuszna. Mogę teraz panu powiedzieć, o co chodziło. Proponowano mi nabycie pewnej bardzo wydajnej kopalni. Miałem do wyboru albo zgodzić się na proponowaną cenę, albo jeszcze się targować i dać niższą ofertę. Wiedziałem, że konkurencja pragnie kupić ten obiekt, ale nie byłem pewien, ile za niego ofiaruje. Zdecydowałem, że od ceny wywoławczej odejmę półtora miliona. Okazało się, że moja oferta jest o sto tysięcy lepsza od innych. Tak więc i kupiłem kopalnię, i zarobiłem ładną sumkę, chociaż byłem już gotów dać tyle, ile żądają.

– Bardzo się cieszę, że mogłem wyświadczyć panu małą przysługę. To dla mnie głupstwo – i pan MacAreck spokojnym ruchem włożył pierścionek na lewą rękę.

– Tak się przejąłem tym zdarzeniem, że postanowiłem zdobyć pana talizman. Niech pan mi go sprzeda.

– Nie mam zamiaru. Wszystko na świecie można kupić lub sprzedać. To jest kwestia tylko odpowiedniej sumy dolarów. Ale jak tu sprzedawać taki pierścionek? Ile on może być wart? Pięć dolarów będzie lichwiarską ceną. Z drugiej strony wierzę, że to szkielek i ten miedziany krążek mają dziwną moc. Dlatego ten klejnot, jeśli go w ogóle można nazwać klejnotem, nie ma dla mnie ceny.

– Mnie też nie chodzi o istotną wartość pierścionka, a jedynie

o jego czarodziejskie własności. Dlatego nie zaproponuję panu pięciu dolarów, lecz dużo, dużo więcej.

– A ile? – głos Mr. MacArecka brzmiał równie zimno i spokojnie jak w czasie partii pokera.

Pan Dufay długo myślał, wreszcie powiedział:

– Gotowy jestem zapłacić panu za ten kamień pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Mister MacAreck roześmiał się wesoło.

– To ogromna suma jak za kawałek miedzi i zielone szkiełko trochę oszlifowane. Ale zarówno pan, jak i ja wierzymy w dziwną moc tego talizmanu. Dlatego też nie opłaca mi się sprzedawać za tę cenę. Mając go na palcu zarobię więcej.

– A ile pan chce?

– To trudno powiedzieć. Gdybym usłyszał jakąś naprawdę wysoką sumę, może bym się i zdecydował na rozstanie z pierścionkiem. Pieniądzy specjalnie nie potrzebuję. Mam swoje, dość poważne dochody, nie licząc majątku ojca. I nie mam, jak to się mówi, noża na karku. W każdym razie dla mnie talizman wart jest dużo więcej.

– Ma pan całkowitą rację, lecz ja mam nóż na karku, jak pan to nazwał. Prowadzę wielkie, skomplikowane interesy. W naszej branży koniunktura zmienia się prawie co miesiąc. Kopalnia diamentów to zawsze coś w rodzaju loterii. Produkcja jednego dnia może pokryć wszystkie inwestycje i odwrotnie – można pracować dziesięć lat i nie znaleźć nic lub tylko diamenty przemysłowe. Do tego dochodzi teraz, właśnie na rynku diamentów przemysłowych, konkurencja syntetyków. Na razie są jeszcze dwa razy droższe od naturalnych, lecz któż może zaręczyć, czy nie uda się produkować ich taniej i obniżyć cenę? Wtedy wszyscy staniemy na progu bankructwa. Dlatego tak mi zależy na tym kamieniu.

– Będzie pan musiał jednak dać za niego znacznie większą cenę niż pierwotnie pan ofiarował. Przy stu pięćdziesięciu tysiącach już bym się namyślał, czy nie sprzedać. Wiara w czary również ma granicę wymierną w dolarach.

– Gotów jestem ofiarować panu tę cenę – powiedział pan Dufay.

– Pozwoli pan, że się namyślę do jutra. Proszę, niech pan zatrzyma pierścień na jeszcze jeden dzień. Jutro zdecydujemy ostatecznie. Jutro po obiedzie. Pan się namyśli i ja poweźmę decyzję.

Znowu zielony kamień powędrował na rękę właściciela kopalni i obaj panowie przeszli na pokład spacerowy, gdzie już było zgromadzone całe towarzystwo. Zaczęła się ogólna rozmowa. Jej tematem były Wyspy Hawajskie, do których statek miał przybić jutro wieczorem. A pojutrze z rana wszyscy wysiadali na ląd, żeby zwiedzić najnowszy, pięćdziesiąty stan USA.

Gdy nadszedł termin powzięcia decyzji, tak się złożyło, że w barze okrętowym siedzieli przy kawie i koniakach panowie Wheeler, Polnik, Slade, Dufay i MacAreck. W czasie rozmowy, której niezmiennym tematem przy takich męskich sjeściach były ostatnie wiadomości z giełdy, pan MacAreck zapytał pana Dufay:

- Podtrzymuje pan swoją ofertę?
- Nie mam zwyczaju zmieniać tego, co raz powiedziałem.
- Poproszę więc o pierścionek.

Pan Dufay sięgnął do kieszonki swojego jasnego ubrania i wyjął klejnot owinięty bibułą. Podał go panu MacAreckowi. Ten trzymając pierścionek w palcach tak, aby go wszyscy widzieli, oświadczył:

– Dżentelmeni! Mister Dufay chce kupić ode mnie ten pierścionek. Płaci bardzo poważną kwotę. Wie, że to zwykłe szkiełko, które nie ma żadnej wartości. Zdecydowałem się sprzedać panu Dufay pierścionek-talizman. Cenę postawił sam kupujący. Ja się tylko na nią zgodziłem. Proszę, dżentelmeni, żebyście zapamiętali te słowa. Czy to, co mówię, jest zgodne z prawdą, mister Dufay?

– Tak jest. Kupuję pierścionek nie dla jego wartości materialnych i wiem, że jest to tylko imitacja.

– A więc mister Dufay, proszę, jest on pańską własnością – z tymi słowami mister MacAreck wręczył klejnot kupującemu. Mister Dufay przyjął go z lekkim skinieniem głowy, natychmiast włożył na palec i wyjąwszy z kieszeni książeczkę czekową szybko wypisał czek, podpisał, wydarł i wręczył panu MacAreckowi. Ten sprawdził, czy czek jest prawidłowo wypisany, i chowając cenny papierek do kieszeni powiedział:

– The Chase Manhattan Bank, Madison Avenue at 57th Street, New York. Doskonale się składa, bo i ja mam rachunek w tym banku. Nie będzie kłopotu z przelaniem pieniędzy. No, mister Dufay, zrobiliśmy obaj dobry business, warto to oblać. Czego się napijemy, dżentelmeni? Whisky, koniak czy polish vodka?

W czasie kolacji zdarzył się niestety smutny wypadek. Do jadalni wszedł steward i zbliżając się do stołu I oficera powiedział:

– Pilny telegram do mister MacArecka, czekam na odpowiedź, sir.

Pan MacAreck rozerwał kopertę i przeczytał kilka słów telegramu, po czym zwrócił się do stewarda.

– Proszę odtelegrafować nadawcy, że przyjeżdżam najprędzej, jak tylko będę mógł.

– Jakieś złe nowiny? – zapytała pani Wheeler.

Zamiast odpowiedzi pan MacAreck podał jej depeszę.

Przeczytała głośno.

– Ojciec ciężko chory. Przyjeżdżaj natychmiast – Mary.

Wszyscy siedzący przy stole zaczęli pocieszać miłego towarzysza podróży, że prawdopodobnie nic groźnego. Może przyjdzie jeszcze druga depesza z lepszymi wiadomościami, ale pan MacAreck smutnie potrząsnął głową:

– Obawiam się wszystkiego najgorszego. Ojciec od dawna chorował na nadciśnienie. Boję się, że nastąpi katastrofa lub w najlepszym razie paraliż. Znam dobrze siostrę, wiem, że to zrównoważona, spokojna kobieta. Nie depeszowała by i nie przerywałaby mi wycieczki bez naprawdę ważnego powodu.

– Mister MacAreck – odezwał się I oficer – oczywiście bardzo panu współczuję i bardzo mi przykro, że musi pan nagle wracać, chociaż nasza podróż dopiero się rozpoczęła. Ale jeżeli pański powrót do Alabamy jest koniecznością, trzeba zrobić to tak: za dwie godziny staniemy na redzie w porcie Honolulu. Będziemy stali całą noc. Dopiero jutro wejdziemy do portu. Otóż trzeba wezwać motorówkę pilota, żeby natychmiast wyjechała na nasze spotkanie. Również niech pan przez radio od razu zarezerwuje sobie bilet na samolot. Wiem, że startują one prawie co godzinę przez całą dobę. Wsiądzie pan na łódź pilota i za trzy godziny będzie pan w porcie. Stamtąd samochodem prosto na lotnisko i za kilka godzin wyląduje pan w Los Angeles, skąd na pewno można złapać dalsze połączenie lotnicze. Niech pan weźmie ze sobą tylko podręczne rzeczy. Pozostałe bagaże spakuje steward i jutro

nadamy je z Honolulu przesyłką okrętową na pański adres.

– Tak. To będzie najlepiej – zgodzili się wszyscy obecni przy stole, a pan MacAreck serdecznie podziękował przedstawicielowi „President's Line” za dobrą radę.

– Pójdę do radiokabiny – zaofiarował się oficer – i nadam depeszę, aby motorówka natychmiast wyjechała na nasze spotkanie i żeby zarezerwowano panu miejsce w samolocie.

W niespełna dwie godziny smukła, szybka motorówka dobiła do potężnego kadłuba transatlantyku. Ze statku spuszczoneo trap. Pan MacAreck bez żadnej pomocy, zręcznie zszedł po nim do małej łódeczki. Wszyscy pasażerowie zgromadzili się na pokładzie statku, aby pożegnać sympatycznego pasażera, który musiał ich nagle opuścić. Długo powiewano chusteczkami na pożegnanie.

Nazajutrz przed południem dwa holowniki wprowadziły „President Roosevelt” do portu w Honolulu. Powitanie wycieczki odbyło się z całym ceremoniałem – było ono oczywiście zamówione uprzednio przez linię okrętową, a jego koszt wkalkulowano w ceny biletów. Orkiestra na molo grała „Waikiki wzywa mnie”, piękne hawajskie dziewczęta tańczyły „ukulele”, a każdemu pasażerowi schodzącemu na ląd zawieszano na szyi wieńce z kwiatów. Autokary już czekały, żeby „naszych kochanych gości” zawieźć do miasta.

Wśród doskonale zorganizowanych wycieczek, zabaw i najrozmaitszych niespodzianek i przyjemności podróży, szybko zapomnieli o współtowarzyszu podróży, który tak nagle musiał przerwać miłą wycieczkę. Po prostu nie było na to czasu. Pan Dufay z trudem znalazł wolną godzinę, aby na pocztce nadać

wysoko ubezpieczoną małą paczuszkę na adres znanej nowojorskiej szlifierni brylantów. W załączonym do paczki liście polecał przeszlifować na nowoczesny sposób duży, zielony kamień i oprawić go w platynową kolie, ozdobioną jeszcze pięcioma brylantami o rozmiarach 2–3 karaty. Pan Dufay był stałym klientem szlifierni. Znano tam już jego gust i wiedziano, że produkowane na jego zamówienie klejnoty znajdą się później w najwytworniejszych i najdroższych magazynach jubilerskich. Pan Dufay hołdował słusznej idei, że najlepiej zarabia się tylko na dobrym, drogim towarze. „Mały obrót – duży zysk” – ta zasada była dewizą właściciela kopalń diamentów.

Po parodniowym pobycie na Wyspach Hawajskich „President Roosevelt” ruszył w dalszą drogę. Jej najbliższym celem była teraz Japonia. W tym czasie mister Dufay otrzymał dwie radiodepesze. Jedna z nich donosiła, że do Chase Manhattan Banku wpłynął czek na 150 tysięcy dolarów. Czek został wypłacony. Drugi telegram, który nadszedł w dwa dni później pochodził ze szlifierni brylantów. Zapytywano w nim naszego milionera, czy nie zaszła jakaś omyłka, czy naprawdę mają przeszlifować to zielone szkiełko, które otrzymali w przesyłce z Hawajów.

Po otrzymaniu drugiej depeszy pan Dufay trzy dni nie opuszczał swojej kabiny. Żona tłumaczyła, że mąż zachorował, widocznie źle znosi upały. Lekarza jednak nie wzywano. Po powrocie do zdrowia aż do końca wycieczki właściciel kopalń diamentów był raczej w złym humorze. Całe towarzystwo nieraz próbowało go rozruszać, ale bez widocznego skutku. Przyjaciele mówili między sobą, że ich znajomy musi mieć jakieś zmartwienie.

Może poniósł stratę na giełdzie, a może koniunktura na diamenty nagle się załamała? Jednak pan Dufay nikomu nigdy nie zwierzył się ze swoich kłopotów.

Wycieczka udała się znakomicie. Wszyscy jej uczestnicy nie mogli się nachwalić sprawnej organizacji i pomysowości „President's Line”, która zapewniła swoim gościom 45 dni wspaniałego wypoczynku. Toteż nie wspomniano biednego mister MacArecka i jego pecha, nie pozwalającego mu rozkoszować się aż do końca piękną podróżą. Tylko jeden człowiek długo go pamiętał.



Gdy Henio skończył swoje opowiadanie, serdecznie się śmiał.

– Nie rozumiem tylko, skąd się wziął zielony brylant? Jakim cudem jubiler na statku wycenił go tak wysoko?

– Brylant był najprawdziwszy. Zobaczyłem go u pewnego jubilera w Nowym Jorku. Pierścień był naprawdę pochodzenia indyjskiego. Jakiś młody hulaka, syn nababa hinduskiego, zbyt wesoło zabawiał się, na plażach Florydy. Sprzedał pierścionek czy też podarował jakiejś „pin up girl”, tak że w końcu brylant trafił do sklepu. Gdy go tam zobaczyłem, przyszedł mi do głowy cały pomysł. Wypożyczyłem go więc za zresztą dość wysoką sumę od jubilera i kazałem zrobić drugi, identyczny. Tylko ze szkiełkiem zamiast oryginalnego kamienia. Miałem już poważne znajomości w Nowym Jorku; pewien bogaty Polak poręczył za mnie, że zielony klejnot zostanie w terminie zwrócony. A reszta to już tylko odpowiednia reżyseria i trochę zręczności w palcach.

– Nawiasem mówiąc – ciągnął dalej mój przyjaciel – była to

dość kosztowna impreza. Koszty handlowe wysokie. Dwaj młodzi dżentelmeni, których tak ograłem w pokera, byli oczywiście moimi asystentami. Gdyby pan Dufay nie dał się od razu schwytać na haczyk oszukańczego zarobku stu tysięcy dolarów, ci zdolni młodzieńcy mieli za zadanie nagonić mi innego frajera. Ale obyło się bez tego. Pan Dufay od pierwszego wejrzenia poznał, że trzyma prawdziwy, bardzo rzadko spotykany zielony brylant, a nie, jak mówiłem, zwykle szkiełko. Ekspertyza jubilera okręto-wego potwierdziła jego przypuszczenie. Stary rekin postanowił więc oszukać naiwniaczka i zarobić ładną sumkę dolarów. Byłem zupełnie spokojny, że nigdy nie piśnie ani słowa o całej historii.

Nie chciało mi się jeszcze spać, było zresztą stosunkowo wcześniej. Upał dający się nam we znaki przez cały dzień teraz zamienił się w przyjemny, ciepły, lipcowy wieczór. Od Odry wiał wzdłuż Wałów Chrobrego orzeźwiający wiaterek. Przed naszymi oczyma rysowała się wprost bajkowa sceneria – kolorowe domy odbudowanego Starego Miasta. Szczecin – jedyne ze wszystkich polskich miast – uniknęła przesady rekonstrukcji domów, które po odbudowie wyglądały zupełnie inaczej niż przed ich zagładą. Rekonstrukcja to największy fałsz historii. Czy można przywrócić kształty tego, co zginęło bezpowrotnie razem z naszymi wspomnieniami? Nawet najwierniejsze odtworzenie dawnych konturów nie wskrzesi złączonych z nimi uczuć.

Architekci Szczecina genialnie to zrozumieli. Nawet stary piastowski zamek nie został zrekonstruowany, tylko odbudowany. Zachowano jedynie dawny styl starej budowli, nadając jej nowoczesną treść. Również zamiast wąskich pseudośredniowiecznych

domków Starego Miasta wzniesiono śliczne, nowoczesne, pełne słońca i kolorów osiedle mieszkaniowe.

– Opowiedz, Heniu, jeszcze jakąś historię o twoich polowaniach na rekiny. Mamy jeszcze czas, aby wracać do hotelu.

Przyjaciel nie dał się długo prosić. Poprawił się wygodnie na krzeselku, polecił kelnerowi przynieść nową maszynkę kawy i rozpoczął następne opowiadanie.

Rozdział IV

– Czy nigdy nie pomyślałeś o zemście? – zapytałem przyjaciela.

Henry MacAreck zrobił zdziwioną minę.

– O zemście? Na kim?

– No, na tych cwaniakach, którzy sprzedając bankrutującą pralnię, wyzuli cię z otrzymanej od rządu angielskiego odprawy demobilizacyjnej.

– Nie tylko z odprawy. Także i z moich oszczędności. Bo stacjonując przez cały czas wojny na Malcie, po prostu nie miałem większych możliwości wydawania, bądź co bądź, wysokiego żołdu – Henio, jak zwykle, był bardzo ścisły, jeśli chodziło o jakieś sprawy finansowe.

– Właśnie – powiedziałem. – Kiedy już mocno stanąłeś na nogi, przyszedł chyba czas, żeby zemścić się za tamtą krzywdę?

– Ani mi to przez myśl nie przeszło – zaproponował mister MacAreck.

– Dlaczego? Ja na twoim miejscu policzyłbym się z tymi łobuzami.

– Cóż oni takiego nadzwyczajnego zrobili? Po prostu trafił im się, jak wy to nazywacie, „jeleni”, więc porządnie go obskubali.

– Zgoda. Ale to było oszustwo – pozostałem przy swoim zdaniu.

– To wyłącznie moja wina, że dałem się oszukać. W świecie pieniądza panują takie stosunki, że kto nie je obiadu, sam jest obiadem. Zamiast się rozejrzeć, posłuchać rady ludzi bardziej doświadczonych, połamowałem się na duże zyski i wskoczyłem w ten interes jak człowiek, który nie umie pływać, a mimo to włączył w głęboką wodę. Nic więc dziwnego, że szybko dano mi dobrą nauczkę. A że zapłaciłem za nią drogo, bo całym swoim majątkiem, to też moja wina. Za naukę trzeba płacić.

– No wiesz! Mówisz herezje.

– Nie. Takie są prawa rządzące światem pieniądza. Tam panuje wieczna wojna. Jak to ładnie nazywał profesor na wykładach prawa: „bellum omnes contra omnium”. Kto nie umie zwyciężać, musi być pokonanym. Ale patrząc z perspektywy czasu, powinienem być wdzięczny tym dwóm wydrwigroszom.

– Za co?

– Przede wszystkim za naukę. A po drugie, gdyby oni byli naprawdę uczciwymi ludźmi, miałbym do dziś dnia tę podlondyńską pralnię. Pracowałbym bardzo ciężko i kto wie, czy mógłbym sobie pozwolić na przyjazd do ojczyzny i ugaszczanie w Szczecinie gwiazdy dziennikarstwa polskiego? A już na pewno nie miałbym tego mercedesa, który stoi przed wejściem do hotelu.

– Ale byłbyś... – tu zaciąłem się i nie dokończyłem swojej myśli.

MacAreck jednak zrozumiał, o co mi chodzi.

– Jeszcze raz ci powtarzam, że nigdy nie byłem karany i sądzę, że nigdy nawet nie stanę przed sądem w charakterze

oskarżonego. Wy tu macie przedpotopowe pojęcia o wielu sprawach.

Wolałem nie dyskutować z przyjacielem na temat, w którym na pewno nie doszlibyśmy do porozumienia, przezornie zatem zmieniłem wątek rozmowy.

– Przyznaj się, Heniu, ile dołożyłeś do tej osławionej pralni.

– Ani grosza.

– Jak to? Przecież przed chwilą zaznaczyłeś, że ta afera pochłonęła zarówno odprawę wojenną, jak i wszystkie twoje oszczędności.

– Racja. Ale później ci panowie byli na tyle uprzejmi, że zwrócili mi nie tylko całą sumę, ale nawet dołożyli do tego lekką ręką sporo grosza.

– Tak z dobrego serca?

– No, niezupełnie – uśmiechnął się mój przyjaciel. – Byli jednak mądrzejsi ode mnie z mojej epoki londyńskiej. Ja za ostatnie funty jeszcze się z nimi wówczas prawowałem. Oni, w innych już okolicznościach, szybko zapłacili, żeby tylko nie dopuścić do procesu.

– Więc jednak zemściłeś się za swoją krzywdę!

– Nie. Nie myślałem o zemście, lecz o odzyskaniu swoich pieniędzy.

– W Londynie?

– Nie. W Vancouver.

– Mówisz jak Pytia. Możebyś przestał dawać mi krzyżówki do rozwiązywania.

– Bo ty mi ciągle przerywasz – to mówiąc Henio troskliwie zaopiekował się stojącym przed nim kieliszkiem ze złocistym płynem. Kelner, baczną na każde skinienie dolarowego gościa, natychmiast podbiegł i ponownie napełnił szkło.

– Trzeba ci wiedzieć – zaczął swoją historię MacAreck – że nie byłem jedyną ofiarą wydrwigroszy. Przeciwnie, wyspecjalizowali się oni w obskubywaniu takich jak ja cudzoziemców, których zaraz po wojnie nie brakowało na londyńskim bruku. W ten sposób obaj businessmeni zbili niezły mająteczek. A że byli ludźmi mądrymi i umiejącymi przewidywać, więc doszli zgodnie do wniosku, że klimat „starej kochanej Anglii” może im w przyszłości nie posłużyć. Bo to już i władze zaczęły się interesować obu dżentelmenami, i któryś z bardziej krewkich poszkodowanych spróbował dobrać się im do skóry. I to dobrać dosłownie przy pomocy noża. Dość, że obaj panowie pewnego pięknego dnia nagle zniknęli z Londynu bez śladu i wylądowali o tysiące kilometrów od Wielkiej Brytanii, bo aż w Kanadzie, w jej najdalej na zachód wysuniętym porcie.

– Właśnie w Vancouver?

– Tak. Duży port, wielkie centrale handlowe. Moi dwaj szanowni „nauczyciele” postanowili założyć tam bank.

– Bank?

– Tak. Mieli przecież sporo uciulanego grosza, więc założyli bank specjalizujący się w finansowaniu eksportu kanadyjskiej pszenicy do Chin i w ogóle na Daleki Wschód. Podobno maczali też palce w potajemnym handlu bronią, ale tego już nie sprawdzałem. Mnie wystarczyło, że ci panowie są żywi i zdrowi, a ich bank rozwija się pomyślnie. Doszedłem w końcu do wniosku, że mogę z nimi zrobić pewien interes.

– Zgłosiłeś się do nich w charakterze wspólnika?

– Nie przerywaj, bo nigdy nie skończę – Henio znowu sięgnął po kieliszek. – Wy, Europejczycy, na ogół nie znacie

geografii Ameryki Północnej. Pozwolę sobie wyjaśnić ci, że miasto Vancouver, bo jest i wyspa mająca tę samą nazwę, liczy około 800 tysięcy mieszkańców i leży nad Zatoką Puget Sound w odległości kilkunastu kilometrów od granicy Stanów Zjednoczonych. Nad tą samą zatoką, około 250 kilometrów od Vancouver, ale już w USA, leży sześćsettyśięcny port Seattle.

Byłem nieco zdziwiony tym wykładem geografii, jednak nie przerywałem, a Henio ciągnął dalej:

– Pewnego dnia w Seattle zdarzył się wyjątkowo zuchwały „racket”. Znowu muszę wyjaśnić, że „racket” to bandycki napad uliczny na transport pieniędzy. Ten rodzaj przestępstwa, początkowo specjalność amerykańskich gangsterów, staje się coraz bardziej popularny i w wielkich miastach Zachodniej Europy. Wtedy jednak i w Stanach Zjednoczonych „racket” był jeszcze nowością. Na kasjera dużej firmy budowlanej, podejmującego pieniądze na wypłatę, dokonano napadu dosłownie na stopniach gmachu banku. Przestępca ogłuszył swoją ofiarę i porywając dużą brązową teczkę, umknął czekającym przy krawężniku białym fordem.

– Nie próbowali go zatrzymać?

– Strażnik stojący w westybulu banku nawet nie drgnął. Wszystko trwało najwyżej piętnaście sekund. Zanim się zorientowano, że to napaść, po bandycie nie było śladu. Popołudniowe gazety doniosły, że zrabowano sto dwanaście tysięcy dolarów. Podawano przy tym mało dokładny rysopis napastnika: wysoki, o jasnych włosach. Uciekł białym fordem, model sprzed trzech lat. Samochód miał znaki rejestracyjne stanu Oregon, ale numeru nikt nie zanotował. Stan kasjera, ofiary napaści, bardzo ciężki.

Pieniądze znajdowały się w charakterystycznej torbie skórzanej, w jakich transportuje się zazwyczaj gotówkę. Numery części

banknotów były odnotowane przez bank, jak to w USA dość często się zdarza. Poza zwykłym zamkiem torba miała jeszcze metalową antabę i była dość mocno zużyta. Jak sam widzisz, napad udał się w niemal stu procentach i istniało mało szans, żeby bandyta został ujęty. Dlatego też towarzystwo ubezpieczeń, które musiało firmie pokryć straty, od razu zdecydowało się na ogłoszenie wysokiej nagrody, bo aż dwadzieścia tysięcy dolarów, za pomoc przy odnalezieniu sprawcy napadu.

Nawet się nie pochwaliłem, że i w Warszawie zdarzyły się aż dwa uchwały „rackety”, których sprawców do dziś dnia nie odnaleziono.

– Nazajutrz po napadzie, z Samego rana, w Vancouver, przed Kanadyjsko-Wschodnim Bankiem, tak się nazywał bank moich dawnych „nauczycieli”, zatrzymał się biały, bardzo zakurzony ford, z rejestracją Stanu Oregon. Wsiadł z niego wysoki, jasnowłosy mężczyzna, trzymający pękatą starą torbę brązowego koloru. Ten człowiek szybkim krokiem wbiegł do wnętrza banku. Bardzo zdenerwowany zbliżył się do kasy i poprosił o wymianę stu dwunastu tysięcy dolarów USA na dolary kanadyjskie. Interesant zaznaczył, że bardzo mu się śpieszy i gotów jest nawet zadowolnić się wymianą al pari, dolar USA za dolara kanadyjskiego, pomimo że kurs różni się o parę centów na korzyść dolarów Stanów Zjednoczonych.

– Kasjer chyba od razu zorientował się, że ma do czynienia z bandytą, który w przeddzień dokonał w Seattle napadu – przerwałem opowiadanie Henia.

MacAreck spojrzął na mnie z politowaniem i powrócił do opowiadania.

– Kasjer przeprosił klienta, że nie ma takiej sumy w podręcznej kasie i musi ją podjąć ze skarbca znajdującego się w piwnicy, po czym zamknął okienko i udał się zamiast do trezoru do pokoju właścicieli banku. A tymczasem klient nadal nie tając swojego zdenerwowania czekał na kanapce w sali operacyjnej. Za chwilę podszedł do niego woźny i poprosił o pofatygowanie się do gabinetu dyrektorskiego. Mężczyzna odmówił. Wyjaśnił, że nie ma czasu, wstał i chciał opuścić gmach banku. Ale woźny i strażnik zatrzymali go i siłą wciągnęli do pomieszczenia znajdującego się koło wejścia. Ten człowiek opierał się i wzywał pomocy. – Bank był chyba pełen interesantów?

– Tak, ale nikt nie interweniował, bo wyjaśniono, że właśnie ujęto sprawcę napadu w Seattle. Sprawa była oczywiście doskonale znana w Vancouver. Pisała o niej cała miejscowa prasa na pierwszych kolumnach gazet.

– Co było dalej?

– Mężczyzna wciągnięty przemocą do gabinetu dyrektorskiego błagał, żeby go wypuszczono. Ofiarowywał za to dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Akurat tyle, ile wynosiła nagroda?

– Właśnie. Dziwny zbieg okoliczności. Odebrano mu torbę i utworzono. Znajdowały się w niej paczki nowiutkich banknotów studolarowych. Razem sto dwanaście tysięcy dolarów USA. Na ten widok zatrzymany złapał się za serce i mdlejącym głosem prosił o jakieś lekarstwo, bo dostał ataku. Oczywiście nikt nie zwracał na te prośby uwagi i nikt nie udzielił pomocy. Biedny człowiek w pewnym momencie stracił przytomność i zwałił się z krzesła na dywan. Nawet wówczas nikt nie zadał sobie trudu, aby go ocucić. Tak go zastała policja wezwana przez dyrekcję banku.

Zjawiała się na szczęście dość szybko. Dopiero jeden z policjantów podniósł tego człowieka, zażądał szklanki wody i doprowadził chorego do przytomności.

– Muszę przyznać, że ten bandyta postąpił bardzo naiwnie – zauważyłem. – Musiał wpaść. Na jego miejscu należało schować się gdzieś i przeczekać pierwszy rozpęd śledztwa. A on od razu zajeżdża pod bank i chce pozbyć się trefnego towaru!

– Tak też początkowo myślał i ten oficer policji, który przybył ze swoimi ludźmi do banku. Ale szybko zorientował się w swoim błędzie, zwymyślał pracowników banku za fałszywy alarm, bardzo grzecznie przeprosił owego mężczyznę i szybko opuścił budynek.

– Nie aresztował bandyty? Co ty powiesz!

– To nie był bandyta.

– Przecież – gorączkowałem się – ten człowiek przyjechał białym fordem z rejestracją stanu Oregon, miał jasne włosy, zniszczoną skórzaną torbę z brązowej skóry, a w torbie sto dwaście tysięcy dolarów.

– Właśnie – podchwycił Henio z figlarnym błyskiem w oku. – Wszystko się zgadzało. Taki pechowy zbieg okoliczności. Na szczęście jeden szczegół zasadniczo różnił klienta banku od bandyty. W starej torbie interesanta znajdowało się wprawdzie sto dwaście tysięcy dolarów, ale w banknotach studolarowych. Ten człowiek miał szczęście, bo wprawdzie kasjerowi zrabowano taką samą sumę, ale przeważnie w pięćdziesięciodolarówkach i jeszcze mniejszych odcinkach. O tym drobnym szczególe dziennikarze piszący sprawozdanie z napadu albo nie wiedzieli, albo celowo nie napisali. Dlatego też oficerowi policji kanadyjskiej łatwo było wyjaśnić to śmieszne nieporozumienie.

– Co się stało dalej?

– No cóż? Bank znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Jego pracownicy przemocą zatrzymali niewinnego człowieka. Siłą wciągnięto go do gabinetu dyrektorów, tam zabrano mu jego torbę z jego pieniędzmi i jeszcze poddano rewizji osobistej. Nie mają do tego prawa ani pracownicy banku, ani żaden obywatel kanadyjski, oczywiście z wyjątkiem policji. Co gorsze, człowiekowi, który dostał ataku serca, nie pośpieszono na ratunek. Przeciwnie, pozwolono, żeby nieprzytomny leżał na dywanie. Za nieudzielenie pomocy ciężko choremu człowiekowi grozi przecież odpowiedzialność karna. A poza tym ogłoszenie tej całej historii w kanadyjskiej prasie mogłoby fatalnie odbić się na reputacji i interesach Banku Kanadyjsko-Wschodniego. Obaj wspólnicy zorientowali się natychmiast w swoim nieprzyjemnym położeniu.

– Co zrobili?

– Nie pozostawało im nic innego, jak tylko płacić. Płacić za przykrość wyrządzoną niewinnemu człowiekowi i płacić za jego milczenie.

– Dużo to wyniosło?

– Ten biedny człowiek, czując zbliżający się atak serca, ofiarował za zostawienie go w spokoju dwadzieścia tysięcy dolarów. Było zupełnie zrozumiałe i naturalne, że teraz bank musiał mu zapłacić dwa razy wyższą sumę.

Coś mi zaczęło świtać w głowie. Zapytałem:

– Jesteś przedziwnie podobny do tego biedaka, którego spotkała taka nieprzyjemność w Banku Kanadyjsko-Wschodnim?

Henio wzruszył ramionami.

– Nie mam zamiaru zaprzeczać, że to właśnie ja miałem tego pecha.

– A te czterdzieści tysięcy dolarów?

– Ta sumka, wprawdzie drobna, jednak pozwoliła mi z nawiązką wyrównać straty poniesione na niefortunnym interesie kupna pralni.

– Nie wiedziałem, że masz chore serce?

– Widocznie zażyłem naraz zbyt wiele lekarstw, jakie wtedy zapisał mi pewien lekarz, i to właśnie wywołało, przejściowe zresztą, niedomaganie.

– A pieniądze?

– Moje własne. Tak się dziwnie złożyło, że właśnie w tym czasie przebywałem przez parę tygodni w Seattle, gdzie oczywiście założyłem sobie rachunek w jednym z banków. Pieniądze podjąłem ze swojego konta w parę godzin po napadzie.

– A biały ford?

– W każdym mieście Stanów Zjednoczonych jest wiele przedsiębiorstw wynajmujących samochody. Można w nich dostać takiego forda, jakiego się zażąda. A w ogóle białe wozy są w Ameryce bardzo popularne.

– Numery ze stanu Oregon również? Przecież Seattle leży w stanie Washington.

Henio uśmiechnął się wyrozumiale.

– I znowu tak się złożyło, że mój biały ford miał naprawdę rejestrację stanu Oregon. Owa firma wynajmująca wozy ma swoje oddziały w obu stanach, przeto jej auta często mają inne numery niż stan, w którym aktualnie się znajdują. I nie trzeba wozu oddawać w punkcie wynajęcia go, lecz można to zrobić w dowolnie przez siebie wybranej filii przedsiębiorstwa. To bardzo wygodne, bo te firmy mają swoje stacje obsługi na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Zrezygnowałem z zadawania Heniowi pytań na ten temat, bo wiedziałem, że na niczym go nie złapię, a cała sprawa banku w

Vancouver była przygotowana do najdrobniejszego szczegółu. Powiedziałem natomiast:

– Znając pracę reporterów amerykańskich dziwi jedynie to, że nie zwrócili oni uwagi, jakie banknoty zostały zrabowane. Podziwiam też twoje szczęście, ten zbieg okoliczności, że właśnie przebywałeś w Seattle, kiedy zdarzył się ten napad.

– Mądry człowiek kieruje zbiegiem okoliczności – Henio lubił wygłaszać dziwne sentencje. – A co do tych dziennikarzy, to po prostu nie mogli o tym napisać, bo policja nie ujawniła tego szczegółu śledztwa.

– Dlaczego?

– Prasa w Stanach Zjednoczonych w ogóle wiele miejsca poświęca opisom różnych przestępstw. Daje tyle informacji, że to poważnie utrudnia pracę policji. Prowadzący śledztwo starają się więc ukryć przed ciekawością reporterów pewne szczegóły dochodzenia. W wypadku rabunku pieniędzy zazwyczaj nie ujawniają, jakie banknoty zostały zabrane przez przestępcę. To często ośmiela bandytę do puszczenia tych odcinków w obieg. Pamiętaj, że w USA, prócz obrotu pieniężnego, istnieje bardzo rozposzechniony obrót czekowy, łatwo zatem zauważyć człowieka noszącego przy sobie większą sumę w banknotach, a nie książeczkę czekową.

– A gdyby w Seattle nie zdarzył się „racket”?

– To popełniono by jakieś inne przestępstwo. W wielkim portowym mieście nigdy nie potrzeba się o nie martwić. Wystarczy przyjechać do Seattle i cierpliwie czekać. Cierpliwość bardzo często bywa wynagrodzona.

– A ten sprawca napadu?

– Wysoka nagroda zrobiła swoje. W parę tygodni później rabusia ujęto w Nowym Jorku. Sypnął go jakiś kumpel czy też

jego dziewczyna, która akurat potrzebował;! pieniędzy. A dlaczego o to pytasz?

Nie odpowiedziałem. Przecież nie mogłem się przyznać, że podejrzewam swojego kolegę szkolnego o zbyt wyraźne kierowanie pewnymi zbiegami okoliczności. Ale Henio i tym razem odgadł moje myśli i powiedział z naciskiem:

– Jeszcze raz ci powtarzam, że jestem uczciwym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Takim samym jak czcigodni panowie: Morgan, Rockefeller, DuPont i wielu innych.

Rozdział V

Na siedemnastym piętrze drapacza „Rockefeller-Center” w Nowym Jorku na drzwiach jednego z licznych apartamentów zajmowanych przez biura handlowe wisiała tabliczka „Albert Stern, Harry Bracken, James Kane – przedstawiciele handlowi”. Lokal zacnej firmy składał się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym z nich urzędowały sekretarka i maszynistka, drugi był gabinetem właścicieli i dyrektorów w jednej osobie. Trzej panowie zjednoczeni w firmie „Stern, Bracken i Kane” prowadząc najrozmaitsze interesy i ślizgając się na granicy kryminału zbili dość solidny majątek. Specjalnością „przedstawicieli handlowych” były operacje akcjami. Wykupywano, jak to się mówi, „za psi grosz” większość akcji jakiejś małej, stojącej na progu bankructwa firmy i następnie, po wprowadzeniu akcji na giełdę, sztucznie „pompowano kurs” za pomocą fikcyjnych transakcji. Z kolei na kupno akcji namawiano drobnych ciułaczy, wycofując się całkowicie z niepewnego interesu. Później następował krach i naiwni tracili całe swoje oszczędności. Poza tym trzej dżentelmeni z „Rockefeller-Center” znani byli z tego, że podejmują się każdej, nawet najbrudniejszej, transakcji, jeżeli tylko można na niej zarobić.

Właśnie w gabinecie odbywała się narada bojowa. Zabrał głos pan James Kane:

– Musimy wreszcie coś zrobić z akcjami kopalni złota w Nebrasce. Każdy miesiąc kosztuje nas przeszło 10 tysięcy dolarów. Utrzymywanie starej rudery w ruchu nie zwraca nawet trzeciej części tej sumy. Akcje wywindowaliśmy już najwyżej, jak tylko było można. Czy długo jeszcze będziemy dokładali do tego interesu?

– Mogę cię pocieszyć – odezwał się pan Harry Bracken – że mam już amatora na tę kopalnię. Jakiś naiwniaczek z Alabamy, dobrze nafaszerowany forszą tatusia. Przyjechał niedawno do Nowego Jorku i chciałby robić dobre interesy. Trochę grał na giełdzie. Podsunąłem mu parę „pewniaków”, tak że chłoptaś zarobił i ma do mnie bezgraniczne zaufanie. Mówiłem mu, że nasze biuro otrzymało zlecenie ulokowania na giełdzie większego pakietu akcji kopalni złota. Wspomniałem także, że moi wspólnicy chcą zatrzymać te akcje dla siebie. Przeprowadzone ekspertyzy wskazują bowiem, że kopalnia, która wyeksploatowała jeden pokład, stoi przed perspektywą dotarcia do następnej bardzo bogatej żyły. Mój Alabamczyk zapalił się do tych akcji. Ciągle mnie nudzi o ich kupno. Chce mieć ich większość i sam zająć się prowadzeniem kopalni. Ma wielką ochotę zostać prawdziwym dyrektorem prawdziwego zakładu przemysłowego. To dla niego coś znacznie lepszego niż siać kukurydzę w rodzinnej Alabamie.

– Nie ma się więc co namyślać – zdecydował trzeci wspólnik, pan Albert Stern. – Dawaj tego chłoptysia i niech kładzie dolary na stół.

– Poczekajcie. Nic pilnego. Lepiej jeszcze się trochę podroczyć. Niech nasz bohater jeszcze bardziej zapali się do kupna. Wtedy więcej zapłaci. A poza tym on chce obejrzeć ten cały

kram przed kupnem. Będzie więc mądrzej przetrzymać go ze dwa, trzy tygodnie, a tymczasem zrobić nieco porządku w Nebrasce. To również się opłaca. Im bardziej mu się spodoba, tym później lepiej bulnie.

– I tym prędzej przejdzie mu ta miłość – dorzucił pan Kane.

Trzej panowie roześmieli się z doskonałego żartu. Ułożono szczegółowy plan. Postanowiono, że pan Bracken nadal będzie opiekował się naiwnym Alabamczykiem i udzielał mu dobrych rad przy grze na giełdzie, a panowie Kane i Stern zajmą się uporządkowaniem kopalni i doprowadzeniem jej do stanu „na wysoki połysk”. Na giełdzie akcje miały nadal lekko zwyżkować.

Gdy już wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, pan Bracken wraz z Henry MacArekiem, tak się bowiem nazywał Alabamczyk, wybrali się do kopalni położonej w pobliżu małego miasteczka Wardcity w stanie Nebraska. Dwaj pozostali panowie z niepokojem oczekiwali wiadomości od wspólnika.

Za trzy dni pan Bracken zatelefonował, że wszystko jest w porządku. Kontrakt na sprzedaż całości akcji podpisano i pan MacArek obejmuje w posiadanie kopalnię. Po powrocie do Nowego Jorku pan Bracken ze śmiechem opowiadał wspólnikom, jak odbyła się transakcja.

Ten cały MacArek zaprosił jeszcze jednego faceta. Jakiegoś krewnego czy też przyjaciela, zresztą młodszego od niego o jakieś dziesięć lat. Jeszcze głupszy niż sam MacArek. Widocznie w Alabamie sami durnie się rodzą. Obaj faceci tylko raz zjechali na dół do kopalni, ale za to przez dwa dni kręcili się po okolicy. Mówili, że bardzo im się tu podoba i że to świetne miejsce do polowań. Najchętniej jednak łazili po starej hałdzie, gdzie

dawniej zwożono urobisko po przepłukaniu i zebraniu złotego pyłu. Ten młody mówił, że z hałdy można będzie zrobić śliczny tor saneczkowy. A obydwaj nieustannie bawili się małym wiatraczkiem.

– Wiatraczkiem?! Coś za bardzo bujasz – stwierdził mister Kane.

– Niech skonam, jeśli zełgałem. Dobrze widziałem, że gdy łązili po hałdzie, młody wyjmował jakiś wiatraczek w celofanowej oprawce. Wiatraczek kręcił się i wydawał słabe trzaski. Obaj patrzyli na to i cieszyli się jak dzieci.

– A w końcu jak to było z tą sprzedażą? – dopytywał się pan Stern.

– Drugiego dnia po południu zaczęliśmy trochę popijać. Mój chłoptaş dawaj mnie męczyć, żebym mu sprzedał połowę akcji. A ja dawałem tylko 25 procent. On jednak wziął się na sposób i ciągle dolewał mi ginu. Ja piję i udaję, że alkohol coraz mocniej uderza mi do głowy. On jeszcze dolewa i morduje – sprzedaj! Ja niby odmawiam, język mi się płącze, wreszcie rozpląkałem się i powiadam, że komu innemu bym nie oddał, ale jemu, takiemu przyjacielowi i rodakowi z Alabamy, niczego nie mogę odmówić. Bierz wszystko, mówię. Zaczęliśmy się całować i dawaj pisać kontrakt. Wtedy ten cały MacAreck też się popłakał i mówi, że nie chce mnie oszukać lub wyzyskać. Dopisaliśmy więc na końcu umowy postanowienie, że w ciągu trzech miesięcy mamy prawo unieważnić kontrakt za zwrotem wypłaconej sumy oraz wpłatą panu MacAreckowi 300 tys. dolarów tytułem odszkodowania. I jeszcze raz ucałowaliśmy się serdecznie. Tak go przy tym ululałem, że facet jak kij leżał do rana. Musiałem go przenieść na tapczan, bo inaczej zwałiły się pod stół. A gdy wytrzeźwiał, to dalej

mi dziękować i mówić, że on jest uczciwym człowiekiem i jeżeli będziemy chcieli, możemy zgodnie z umową wycofać się ze sprzedaży.

– Ha, ha, ha – zarechotał pan Albert Stern – długo będzie na to czekał.

– A jak z warunkami płatności?

– Dał mi sto dwadzieścia tysięcy czekiem i podpisał umowę na uregulowanie wszystkiego w ciągu dwóch miesięcy. Otrzymałem również gwarancję bankową i upoważnienie sprzedaży akcji, gdyby za dwa miesiące nie uregulował swoich zobowiązań. Gwarancja jest zupełnie pewna. Czek przekazałem już na nasze konto.

Pozostali wspólnicy złożyli gratulacje panu Brackenowi za doskonale załatwienie sprawy. Widzieli się już posiadaczami poważnej kwoty dolarów i zaśmiewali z pana MacArecka, który kupił wprawdzie kopalnię złota, ale wkrótce zostanie mu z niej jedynie... tor saneczkowy. Dobrze mu tak. Jale można być takim idiotą, żeby kupować kopalnię i zamiast zwiedzić ją dokładnie, sprowadzić własnych ekspertów i dokonać szczegółowej analizy pokładów, biegać tylko po okolicy i badać możliwość polowania oraz włóczyć się po starej hałdzie z jakąś dziecinną zabawką.

Dobry humor trzech zacnych wspólników trwał jedynie parę dni. W najbliższy czwartek do gabinetu „bossów” wpadł jak bomba pan Kane i już od progu rzucił podniesionym głosem:

– To ty, Bracken, jesteś starym idiotą, a nie ten Alabamczyk, z którego tak się śmiałeś. Ładnie on nas przerobił, ani słowa!

– Co się stało? – spytał zdziwiony pan Bracken.

– Sam czytaj – pan Kane rzucił na stół ostatnie wydanie „New York Herald Tribune”. – Wiatraczki! Z wiatraczków

śmieliśmy się! A teraz on nabija się z trzech starych durniów. A najbardziej z Brackena, że tak go wykiwał!

Pan Bracken sięgnął po gazetę i przeczytał na głos:

„Sensacyjne odkrycie w Nebrasce.

Młody geolog, Marty Brett, który powrócił do Stanów Zjednoczonych z Konga, gdzie pracował w słynnych kopalniach uranu, dokonał przed paru dniami sensacyjnego odkrycia. Oto zwiedzając starą, na pół nieczynną kopalnię złota w Wardcity w stanie Nebrasca stwierdził przy pomocy licznika Geigera, że urobisko tej kopalni – stara hałda – zawiera wysokoprocentowe rudy uranu. Również w całej okolicy znajdują się ślady tego cennego metalu. Odkrycie to ma kolosalne znaczenie dla przemysłu atomowego USA, gdyż uniezależnia go od importu. Nie trzeba dodawać, że właściciel tej starej kopalni, mister Henry MacAreck, jednego dnia nagle został milionerem. Zamiast kopalni złota, nie pokrywającej nawet kosztów eksploatacji, ma nieprzebrane złoża uranu i to już na powierzchni ziemi, na hałdach. «New York Herald Tribune» postanowił wysłać do Wardcity swojego specjalnego wysłannika. W najbliższych numerach będziemy więc mogli podać dalsze szczegóły tego sensacyjnego odkrycia”.

Po przeczytaniu notatki w gabinecie zapanowała cisza. Pierwszy przerwał ją pan Stern:

– Chciałbym wiedzieć, skąd on wyniuchał ten uran? Kiedy chce się kupić kopalnię złota, to nie przyjeżdża się z licznikiem Geigera w kieszeni;

– Dopiero teraz rozumiem jedną rzecz – powiedział Mr. Bracken. – Gdy przyjechaliśmy do Wardcity, mieszkaliśmy w jedynym w tym miasteczku hotelu, a właściwie gospodzie mającej parę gościnnych pokoi. Właściciel zakładu witał tego

szczeniaka Bretta jak dobrego znajomego.

– Dla mnie jest jasne, że to wszystko było z góry ułożone. Szukali uranu i znaleźli go w okolicy Wardcity. Wtedy zainteresowali się starą kopalnią złota. MacAreck niby to przypadkiem poznał się z Brackeniem i odgrywał z powodzeniem rolę naiwniaka. A ten stary cymbał dał się na to złapać. Jeszcze udzielał mu rad, jak grać na giełdzie, i zamiast sprzedać połowę akcji, jak to chciał ten oszust z Alabamy, udał, że się spił, i wpakował mu całość. Jak oni dwaj musieli się z nas śmiać!

– Nie zwalaj wszystkiego na mnie. Ty także byłeś taki mądry. Wspólnie przecież postanowiliśmy, że wtrynimy temu łobuzowi wszystkie akcje. Ja swoją rolę wypełniłem jak najlepiej. Wy mieliście odpowiednio przygotować kopalnię, żeby nie robiła wrażenia takiej strasznej rudery, i zatroszczyć się o odpowiednio dobre ekspertyzy. Gdybyście nie żalowali paru dolarów, tylko wzięli specjalistę z prawdziwego zdarzenia, to on zwróciłby uwagę na możliwości znalezienia uranu w tych pokładach. Ale wam szkoda było każdego dolara i ekspertyzę napisaliście w tym oto pokoju, a jakiś bubek mający tytuł inżyniera podpisał ją na ślepo. A teraz krzyczycie – Bracken winien, on sprzedał akcje. A co miałem robić?

– Przestańcie się kłócić – pan Stern był najspokojniejszy z całej trójki. – Stało się i nikt tego nie odrobi. Nikt też nie jest winien. Bracken chciał jak najlepiej. Któż mógł przypuszczać, że tam jest ten przeklęty uran? Ostatecznie na tym całym interesie i tak nieźle zarobiliśmy. Sprzedaliśmy przecież te akcje przeszło trzy razy drożej, niż kupiliśmy. Gdyby nie odkrycie uranu, ten sam Kane, który dzisiaj tak strasznie wrzeszczy na Brackena, gotów byłby go w rękę całować za sprytne przeprowadzenie całej transakcji.

– Ja też nie mówię, że Bracken był w zмовie z MacArec-kiem – pan Kane trochę się uspokoił. – Tylko krew mnie zalewa, że taki bałwan z Alabamy zdołał nas podejść. A gdy pomyślę, że akcje są teraz warte miliony i że mieliśmy je w naszej kasie, to szlag mnie trafia. Zarobiliśmy. Co z tego jednak, że zarobiliśmy te kilkadziesiąt czy nawet paręset tysięcy, kiedy inni bez niczego z miejsca zainkasowali w prezencie od nas grube miliony.

– Obecnie nic na to nie możemy poradzić – zawyrokował melancholijnie pan Stern.

Wiadomość podana przez dziennik nowojorski została powtórzona przez wszystkie wielkie agencje i szeroko komentowana w całej prasie. Do Wardcity ciągnęły liczne ekipy dziennikarzy ze wszystkich większych wydawnictw USA. Oto, co napisał wysłannik „New York Herald Tribune” w korespondencji, która ukazała się w cztery dni po pierwszej wzmiance.

„Osiedle Wardcity liczy około dwóch tysięcy ludności. Jest tu jeden hotel, dwa kościoły, dwie stacje, benzynowe i parę warsztatów oraz mniejszych zakładów przemysłowych. Poza tym trochę sklepów zaopatrujących w towary ludność zamieszkującą w promieniu około 50 mil. Wśród tych zakładów przemysłowych największym obiektem była stara kopalnia złota. Ma ona już około 70 lat i czasy jej świetności dawno minęły. Przez ostatnie dwadzieścia lat kopalnia była nieczynna. Bogatsze w złoto pokłady zostały wyeksploatowane. To, co pozostało, nie pokrywało kosztów produkcji. Wprawdzie fachowcy uważają, że przy zastosowaniu nowoczesnych maszyn i pogłębieniu szybów, aby dotrzeć do głębszych warstw złotoносnych łupków, produkcja nie tylko

zamortyzowałyby nakłady, lecz jeszcze nawet dała zyski. Jednakże często zmieniający się właściciele kopalni nie mogli zdecydować się na tak poważne i kosztowne inwestycje.

Ostatnio, gdzieś przed pół rokiem, kopalnię zakupiła znana firma handlowa z Nowego Jorku. Przeprowadzono powierzchowny zresztą remont starych urządzeń i uruchomiono ponownie produkcję. Jednocześnie giełda nowojorska zaczęła notować kurs akcji tej kopalni. Bardzo dziwne, ale kursy stale rosły, osiągając niedawno nigdy nie notowaną przedtem wysokość. Wtedy cały pakiet akcji nabył niejaki mister Henry MacAreck, bogaty plantator z Alabamy. Pierwszym krokiem nowego właściciela było ponowne unieruchomienie kopalni i zwolnienie wszystkich zatrudnionych, łącznie ze starymi dozorcami.

Na wiadomość o odkryciu złóż uranu przypominamy, że «New York Herald Tribune» był pierwszym, który doniósł o tym odkryciu, Wardcity zaroilo się od przedstawicieli prasy amerykańskiej i zagranicznej. Wszystkie pokoje w jedynym hotelu zostały zajęte. Wszelkiego rodzaju prywatne lokum są wynajmowane za sumy, o jakich ich właścicielom nigdy się śniło, a zjedzenie obiadu w którejś z restauracji jest prawdziwą sztuką. Nie trzeba dodawać, że cała ludność mówi jedynie o odkryciu złóż uranu i przewidywanej rozbudowie kopalni. Ceny nieruchomości gwałtownie poszły w górę.

Jak zdołaliśmy ustalić, odkrycia złóż uranu dokonał młody inżynier Marty Brett, który już kilka tygodni przed nabyciem kopalni przez pana MacArecka przybył do Wardcity i prowadził szczegółowe badania geologiczne pokładów starej hałdy. Zwożono tutaj od pięćdziesięciu lat nieużyteczne odpady. Mister Brett

zbadał również tereny przylegające do starych szybów. Mimo stosunkowo młodego wieku – inżynier ma około 30 lat – jest on doświadczonym geologiem. Po skończeniu jednej z amerykańskich uczelni studiował z kolei w Europie, a następnie praktykował w kopalniach uranu w Katandze, w Kongo.

Wasz korespondent natychmiast po przybyciu do Wardcity chciał zwiedzić kopalnię i porozmawiać z jej nowym właścicielem. Niestety, łatwiej chyba uzyskać audiencję w Białym Domu, niż dotrzeć do pana MacArecka. Cały teren kopalni wygląda zupełnie inaczej niż przed paru tygodniami. Wzdłuż granic tej posiadłości wycięto wszystkie drzewa i krzewy. Wykoszono nawet trawę. W ten sposób powstał pas wolny od wszelkiej roślinności o szerokości około dwustu metrów. Przez środek tego pasa ciągną się naokoło całej kopalni wysokie na trzy metry zasieki z drutu kolczastego. Za nimi, co 50 metrów, ustawiono wysokie słupy z reflektorami, rzucającymi światło na wszystkie strony. Co kilkaset metrów wznoszą się wysokie na dziesięć metrów wieże. Na wieży znajduje się zawsze dwóch uzbrojonych strażników.. Wzdłuż drutów kolczastych biega sfora wielkich, dzikich psów, gotowych rozszarpać każdego obcego.

Wielkie tablice postawione dość daleko od granic kopalni przestrzegają, że »teren prywatny, obcym osobom wstęp wzbroniony«, straż ma polecenie użycia broni przy próbie wtargnięcia na obszar kopalni.

Jedyna droga, jaka pozostała Waszemu korespondentowi, to udać się w kierunku budynku zarządu kopalni. Dawną portiernię zamieniono na prawdziwą fortecę. Zasieki z drutu są tu bardzo gęste, tworzą one aż trzy rzędy. Każdy z nich zamknięty jest solidną bramą. Na zewnątrz stoi uzbrojony strażnik, który informuje, że ...«żadnych informacji nie udziela się». Zarówno Wasz

korespondent, jak inni dziennikarze odpawieni z kwitkiem od bramy portierni chcieli się telefonicznie czegoś dowiedzieć. Przez cały dzień kolejno dzwoniłiśmy pod numer telefonu kopalni. Telefon odbierała urzędniczka, która na wszelkie zapytania odpowiadała stereotypowo, że »przekaze informacje panu MacAreckowi«. Jednakże podejmowane przez nas próby rozmowy z właścicielem kopalni lub mister Marty Brettem nie dały żadnych rezultatów.

Po dwóch dniach formalnego oblężenia kopalni przez dziennikarzy panu MacAreckowi widocznie znudziła się ta zabawa. Telefonistka zaczęła odpowiadać, że »dyrekcja kopalni zwołuje na godz. 17 w dniu dzisiejszym konferencję prasową, na której udzieli prasie wszelkich informacji i odpowie na wszelkie pytania«.

Gdy punktualnie o tej godzinie zjawiliśmy się przed bramą kopalni, strażnik otworzył nam potrójne wrota. Wewnątrz czekała na nas już – jak się później okazało – sekretarka zarządu oraz kilku młodych ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że jest to straż i to solidnie uzbrojona. Pod płaszczami tych dżentelmenów wyraźnie rysowały się kształty pistoletów maszynowych. Każdy z tych młodych trzymał na smyczy potężnego wilczura. Sekretarka powitała przedstawicieli prasy uprzejmymi słowami. Stały one w jaskrawej sprzeczności z zachowaniem się młodych ludzi, otaczających nas kołem. Następnie przedstawicielka zarządu poprosiła, abyśmy się udali za nią do małego budynku postawionego w pobliżu starej hałdy, gdzie, jak zapewniała, pan MacAreck już oczekuje swoich miłych gości.

Udaliśmy się w drogę małym pochodem. Na przedzie szła sekretarka, następnie dziennikarze, a po bokach i z tyłu młodzi

ludzie z potężnymi psami na smyczach. Zapomniałem dodać, że sekretarka prosiła o niedokonywanie żadnych zdjęć, a niewątpliwie straż w razie potrzeby mogła jej uprzejmą prośbę wyegzekwować choćby przy pomocy psich zębów. Szliśmy więc w milczeniu około półtora kilometra wzdłuż starej hałdy jak kolumna więźniów eskortowana przez strażników. Gdy dochodziliśmy do niewielkiego budynku, a właściwie niedawno postawionego baraku, wyszedł z niego przystojny, postawny mężczyzna. Był to nowy właściciel kopalni, mister MacAreck.

Po przywitaniach weszliśmy do środka. Budynek składał się z dwóch pomieszczeń. Jednym było obszerne laboratorium zamienione obecnie na salę konferencyjną, pozostały pokój, czego można się tylko domyślać, to po prostu magazyn tegoż laboratorium. Nasz gospodarz poprosił wszystkich o zajęcie miejsc. Sekretarka wraz z dwiema paniami roznosiła na tacach różne napoje. Gdy każdy z nas usadowił się na swoim miejscu i wybrał zgodnie z gustem odpowiedni alkohol, zabrał głos mister MacAreck.

Nowy właściciel kopalni przedstawił dość szczegółowo jej historię. Podkreślił, że w przeciwieństwie do paru poprzednich właścicieli, którzy akcje kopalni traktowali jako obiekt spekulacji giełdowych, obecny zarząd ma zamiar dokonać poważnych inwestycji w celu przebicia się do głębszych pokładów złotoносnych łupków. Już obecnie główny inżynier firmy, mister Marty Brett, prowadzi badania geologiczne i głębokie wiercenia oraz opracowuje szczegółowe plany przyszłej rozbudowy. W tym celu założono, jak to zresztą widać, specjalne laboratorium. Pierwsze wiercenia do głębokich pokładów dały, jak zapewniał nasz gospodarz, bardzo obiecujące wyniki. Będą na to potrzebne poważne

nakłady finansowe, ale niewątpliwie są one całkowicie opłacalne i za dwa, trzy lata przedsiębiorstwo będzie przynosić poważne zyski.

Niestety, stwierdził mister MacAreck, rozeszła się jakaś bezpodstawna plotka o złożach uranu. Zarówno on, jako właściciel kopalni, jak i pan Brett, jako specjalista inżynier, muszą kategorycznie zaprzeczyć tym pogłoskom. Żadnego uranu tu nie ma. Celem firmy jest wyłącznie eksploatacja pokładów złotonośnych łupków. On, mister MacAreck, bardzo prosi przedstawicieli prasy, aby jego oświadczenie zostało opublikowane dla położenia kresu niezdrowej sensacji.

Następnie zabrał głos mister Marty Brett. W fachowym odczycie naszkicował obecny stan kopalni i omówił szczegółowo warstwy geologiczne, w których znajduje się złoto. Poświęcił też sporo czasu w swoim przemówieniu sposobom rozbudowy kopalni i metodom, jakie trzeba będzie zastosować przy eksploatacji nowych pokładów. Główny inżynier zaznaczył również, że uran jest tylko tworem wyobraźni prasy.

Po tych dwóch »speechach« wywiązała się dyskusja. Wasz korespondent zadał pytanie, dlaczego cały teren kopalni zamieniono w obóz warowny i co oznaczają te wszystkie zasieki, reflektory, sfera rozjuszonych wilczurów i liczna uzbrojona straż. Fakt, że dziennikarze prowadzeni byli do tego budynku pod konwojem, jak gromada zbrodniarzy, jest rzeczą niesłychaną. Ośrodek badań atomowych w Cap Canaveral jest mniej strzeżony niż ta kopalnia.

Na to pytanie przedstawiciel zarządu odpowiedział, że każdy na swoim terenie ma prawo tak się urządzić, jak jest mu wygodniej. A mister MacAreck nie życzy sobie, aby na teren jego przedsiębiorstwa wchodził każdy, kto ma na to ochotę. Dlatego

też wydane zarządzenia porządkowe będą nadal utrzymane.

Wówczas jeden z dziennikarzy zapytał, czy będzie mógł zwiedzić kopalnię i czy mu wolno będzie pobrać próbki ziemi ze starej hałdy. Mister MacAreck kategorycznie zaoponował. Stwierdził, że kopalnia jest obecnie nieczynna, więc wjazd w głąb jest niemożliwy. Co zaś do hałd, znajdują się one na terenach należących do kopalni, są jej własnością i nikogo nie powinno obchodzić, z czego się składają.

Wtedy nastąpił najbardziej sensacyjny moment całej konferencji. Wasz przedstawiciel wyjął z kieszeni mały, ale bardzo czuły licznik Geigera i uruchomił go. Wiatraczek natychmiast zaczął się obracać, wydając lekkie, charakterystyczne trzaski. Wasz korespondent podniósł się ze swojego miejsca i zbliżył do okna budynku wychodzącego na starą hałdę. Obroty wiatraczka stały się bardziej szybkie, a ilość trzasków gwałtownie wzrosła. – Czy może pan wytłumaczyć, mister MacAreck – zapytał specjalny wysłannik «New York Herald Tribune» – dlaczego ta hałda jest radioaktywna?

Trzeba podkreślić, że pan MacAreck zaprezentował się dziennikarzom na tej konferencji jako typ nienagannego amerykańskiego dżentelmena. Był gościnny, w miarę wesoły, gdy potrzeba, przybierał ton jowialny. Na wszelkie, nawet najbardziej podchwytliwe, pytania dziennikarzy odpowiadał spokojnie, bez zdernerwowania, dając dowcipne, a zarazem wykrętne odpowiedzi. Teraz jednak opuścił go nagle cały ten spokój. Zerwał się z krzesła i wszyscy dziennikarze sądzili, że rzuci się na przedstawiciela »New York Herald Tribune« i na środku tej sali dojdzie do bójki. Na szczęście pan Marty Brett pośpieszył z interwencją i pochwywszy za rękę swojego szefa zdołał go nieco uspokoić.

Gdybym wiedział, że którykolwiek z panów – oświadczył MacAreck, kiedy przyszedł do siebie – ma licznik Geigera, nigdy nie doszłoby do tego spotkania. To bezczelność i nadużycie zaufania. Wobec takiego zachowania się panów odmawiam dalszych odpowiedzi, a naszą konferencję uważam za skończoną. Żegnam panów.

Po tych słowach właściciel kopalni wyszedł z sali. Pan Brett usiłował załagodzić nieprzyjemne wrażenie, jakie wywołało wystąpienie gospodarza. Tłumaczył, iż bardzo mu przykro, ale rzeczywiście wzięcie ze sobą licznika Geigera jest wyraźnym nadużyciem zaufania, którym obydwaj panowie obdarzyli przedstawiciele prasy. To, że hałda wykazuje pewną radioaktywność – zdaniem głównego inżyniera – wcale nie wskazuje na obecność w niej uranu. Mogą być inne powody tego dziwnego zjawiska. On, inżynier Brett, bardzo żałuje, że konferencja tak się zakończyła, lecz wina leży niewątpliwie po stronie prasy. A szkoda, bo właśnie miał zamiar przekonać mister MacArecka i uzyskać od niego zezwolenie na zwiedzenie podszybia kopalni. Po tym całym incydencie jest to zupełnie niemożliwe.

Jeden z dziennikarzy zapytał, odkąd to nie wolno nosić w kieszeni nieszkodliwych przedmiotów. Aparat Geigera nie jest ani bronią palną, ani czymś szkodzącym otoczeniu. Dlaczego więc pan MacAreck tak się zdenerwował, gdy jeden z przedstawicieli prasy stwierdził przy pomocy małego wiatraczka, że złoża starej hałdy są wybitnie radioaktywne. Na to pytanie, zresztą ostatnie na tej konferencji, pan Brett odmówił odpowiedzi, wyjaśniając, że całkowicie rozumie oburzenie swojego szefa. Pan Brett musiał wprawdzie przyznać, że każdy Amerykanin ma prawo nosić w

kieszeni licznik Geigera, ale uporczywie twierdził, że wzięcie ze sobą aparatu na konferencję, odbywającą się na terenie kopalni, jest nielojalnością ze strony prasy, która z całej sprawy zrobiła niezdrową sensację.

Gdy wyszliśmy przed budynek, nasi konwojenci już na nas czekali. Przedstawiciele straży fabrycznej było teraz znacznie więcej. Jeden z kolegów zapytał, czy można dokonać zdjęcia pana Bretta na tle baraku. Młody inżynier, choć niechętnie, ale zgodził się na to i nawet sam zaproponował, aby sfotografować go na tle starej hałdy. Przeszliśmy więc za budynek i geolog pozował do zdjęć mając za plecami wielki, chyba z pięćdziesiąt metrów wysoki kopiec, powstały tutaj przez zwałkę w ciągu co najmniej pięćdziesięciu lat odpadów kopalnianych. Po skończonych zdjęciach zostaliśmy wyprowadzeni za obręb kopalni w taki sam sposób, jak przybyliśmy.

Największa sensacja wybuchła wieczorem. Gdy przystąpiono do wywołania filmów, okazało się, że ani jedno zdjęcie nie wyszło. Wszystkie są prześwietlone. Co dziwniejsze, prześwietlone są całe rolki. Nie tylko te, które znajdowały się w aparatach, ale również te, które dziennikarze mieli w kieszeniach. To chyba najlepszy dowód, jak silna jest radioaktywność starej hałdy. W tych warunkach twierdzenie pana MacArecka i jego inżyniera, że mają zamiar rozbudowywać kopalnię tylko dla eksploatacji złoto-nośnych łupków i że nie ma w nich nawet śladu uranu, jest raczej dalekie od prawdy.”

W tym samym numerze „New York Herald Tribune” zamieścił oświadczenie profesora Johna Backera. Słynny geolog amerykański stwierdza, że formacje geologiczne w stanie Nebraska, zwłaszcza w pobliżu Wardcity, są niemal identyczne z formacjami

geologicznymi w Kongo i we Francji, tam gdzie znaleziono bogate złoża uranu. Podobne złoża znajdują się również w kilkunastu miejscowościach w Europie. W wielu z nich stwierdzono występowanie uranu, chociaż nie w tak bogatych warstwach, jak w Kongo. Reasumując, sławny uczony bynajmniej nie wyklucza możliwości znalezienia w łupkach pod Wardcity również rudy uranowej.

Inne dzienniki amerykańskie podały niemal identyczny przebieg konferencji prasowej w Wardcity, różniący się tylko drobnymi szczegółami. Co ciekawsze, „Chicago Tribune” opublikowała wiadomość, że mister MacAreck zastrzegł sobie w stanowym urzędzie górniczym w Nebrasca wyłączne prawo poszukiwania i eksploatacji złóż uranu w Wardcity i całej okolicy. Zezwolenie na te poszukiwania zostało wydane na dwa tygodnie przedtem, nim pan MacAreck wykupił akcje kopalni złota z rąk poprzednich właścicieli.

Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkie wiadomości o zdarzeniach w Wardcity były natychmiast czytane i szeroko komentowane w lokalu firmy „Albert Stern, Harry Bracken, James Kane – przedstawiciele handlowi” w ich biurze w „Rockefeller-Center”. Nie przyczyniły się one bynajmniej do dobrego humoru trzech wspólników. W tych dniach sekretarka i maszynistka starały się unikać spotkań i rozmów ze swoimi szefami.

– Co za łobuz! Co za wyjątkowy łobuz! – powtarzał pan Kane. – Już dwa tygodnie przedtem, nim wycygał od tego niedołągi Brackena nasze akcję, wykupił prawa górnicze na poszukiwania uranu. Doskonale wiedział, że tam są skarby, a nam ofiarował za to nędzne grosze. Ale kanalia!

– Nie zapominajcie – zauważył pan Stern – że ten Alabamczyk

zapłacił nam za akcję ściśle tyle, ile zażądaliśmy. Wcale się nie targował.

– To nic – upierał się mister Kane – uczciwy człowiek tak nie postępuje. Z chwilą gdy dowiedział się o istnieniu tam uranu, powinien przyjść i lojalnie nas o tym uprzedzić. A nie podstępem wykupywać akcje od biednych ludzi. Oszukał nas, a teraz, drań, urządza sobie konferencje prasowe i zgrywa się na dżentelmena. Swoją drogą dlaczego on tak zaprzeczał, że tam jest uran?

– Zupełnie zrozumiałe. Ma przecież prawa górnicze na poszukiwanie złóż uranu w okolicy. Nie chce, aby ceny gruntów nagle wzrosły. Na pewno wykupuje już przez podstawione osoby ziemie w okolicy. A poza tym boi się konkurencji wielkich koncernów. Któż to jest ten MacAreck? Zwyczajny plantator z Alabamy. Reprezentuje kilkaset, najwyżej parę milionów dolarów. A uran to interes, w którym konkurencja rozporządza setkami milionów. Dlatego MacAreck chce, żeby koło tej sprawy było jak najciszej. Dopóki nie dogada się z bankami i nie zmontuje wielkiego konsorcjum. Sam tego interesu nie zje. Na to ma za małe gardło. A im większa sensacja, tym większe możliwości, że wielkie koncerny zmówią się przeciw niemu i zamkną mu kasy wszystkich banków i prywatnych kapitalistów. Wtedy będzie musiał iść na warunki zaproponowane przez koncerny.

– Nie bój się – zauważył pan Bracken. – Na pewno nie straci na tym interesie.

– Stracić nie straci – zgodził się pan Stern – ale nie wyciągnie tylu milionów, ile będzie mógł mieć, jeżeli sam będzie grał pierwsze skrzypce w tym koncercie. Rozumiem, dlaczego tak mu zależy na nierozgłaszaniu całej sprawy i dlaczego tak się zaklina, że tam żadnego uranu nie ma.

– Ten pismak z „New York Herald Tribune” zręcznie go jednak złapał przy pomocy licznika Geigera – roześmiał się pan Bracken.

– On go zręcznie złapał, za to ty się zbłąziłeś – pan Kane był nieugięty. – Widziałeś, jak faceci biegają po hałdach z licznikiem Geigera, i jeszcze się śmiałeś, że bawią się wiatraczkami. I zabawili się, ale naszym kosztem.

– Trzeba pokonferować z jakimś sprytnym adwokatem. Może uda się unieważnić ten kontrakt – zastanawiał się pan Stern.

– Unieważnić? – powtórzył pan Bracken. – Poczekajcie! Jak mogliśmy o tym zapomnieć! Panno Joan – zawołał sekretarkę z sąsiedniego pokoju. – Niech nam pani da umowę z MacAreckiem.

Za chwilę sekretarka położyła odpowiednią teczkę przed mister Brackeniem. Ten pochwycił umowę, szybko przebiegł tekst oczyma i zawołał uradowany:

– Jest! Na śmierć o tym zapomniałem! Gdy pisaliśmy tę umowę, to MacAreck, chcąc mnie namówić do sprzedania całości, dopisał w kontrakcie postanowienie, że mamy prawo w ciągu trzech miesięcy odstąpić od transakcji, wypłacając drugiej stronie odszkodowanie 300 tysięcy dolarów.

– Pokaż! – obaj panowie poderwali się ze swoich miejsc i zagłębili w studiowaniu kartek maszynopisu.

– W porządku – zdecydował pan Stern. – Ten cwaniak z Alabamy złapał się we własne sidła. Był zupełnie pewien, że odkrycie uranu pozostanie tajemnicą przez cały ten czas i warunek umowy wyekspiruje. To przede wszystkim dlatego tak się wściekał, że prasa doniosła o odkryciu złóż i zrobiła z tego sensację.

Obawiał się, że odkryjemy prawdę i skorzystamy z klauzuli. No, teraz z nim pogadamy!

Trzej wspólnicy od razu odzyskali dobry humor. Los znowu się do nich uśmiechnął. Przywołana z drugiego pokoju stenotypistka wysłuchała polecenia szefów i niedługo potem przyniosła im do podpisu list zaadresowany do mister Henry MacArecka:

„Szanowny panie.

Uprzejmie zawiadamiamy, że rozmyśliliśmy się w sprawie sprzedaży kopalni w Wardcity. Zgodnie z postanowieniami paragrafu 15 umowy odstępujemy od tej transakcji. Jednocześnie wydaliśmy polecenie, aby nasz bank przelał na pańskie konto sumy otrzymane od niego za sprzedaż akcji i przewidziane w wyżej już cytowanym paragrafie 15 umowy odszkodowanie w wysokości 300 tysięcy dolarów.

Z chwilą otrzymania niniejszego pisma i przelewu bankowego prosimy o przekazanie kopalni jej dawnemu zarządcy, któremu wydamy dalsze szczegółowe dyspozycje. Z poważaniem (pieczęć i podpisy firmy)”.

– MacAreck na pewno dobrowolnie nie ustąpi i będzie się z nami procesował – obstawał pan Stern.

– Nic nie wygra, sprawa jest jasna jak słońce – pan Bracken mówił to z całym przekonaniem. – Nie ma sądu na świecie, który mógłby zakwestionować postanowienie tego paragrafu umowy. Wątpię, czy jakikolwiek adwokat zdecyduje się na wniesienie pozwu.

– Pozwu o unieważnienie klauzuli 15 paragrafu nie wniesie – pan Kane znał się nieźle na przepisach prawa handlowego. – Jeżeli będzie dostatecznie sprytny, to pozwie nas o odszkodowanie za poniesione nakłady już po kupnie i za ewentualne zyski,

jakie mógłby otrzymać dzięki tym nakładom.

– Choćby nie wiem jak rozdmuchał te nakłady, zawsze będą to tylko jakieś grosze – zgodzili się pozostali współpracownicy.

Jednakże ku ich wielkiemu zdziwieniu do żadnego procesu nie doszło. W dwa dni później pan MacAreck potwierdził odbiór listu spółki oraz przelewu bankowego i zawiadomił firmę o zastosowaniu się do ich poleceń, uważając całą transakcję za niebyłą.

Sprawa „uranu w Wardcity” na tym się nie skończyła. Jeszcze przez pewien czas prasa poruszała ten temat. Skłoniło to wreszcie władze stanu Nebraska do wysłania oficjalnej komisji do tych okolic. Orzeczenie komisji wypadło negatywnie. Fachowcy stwierdzili, że zarówno złoża łupków w kopalni, jak też stara hałda, zawierają bardzo drobne ilości cennego metalu i zupełnie nie nadają się do eksploatacji w tym celu. Wysoką radioaktywność hałdy komisja wy tłumaczyła tym, że dostały się tam w jakiś niewiadomy sposób resztki materiałów rozszczepialnych. Być może, resztki znalazły się w okolicy Wardcity wskutek planowego niszczenia wszelkich rakiet, które zboczyły ze swojego toru, a następnie eksplodowały w powietrzu. Możliwe też, że radioaktywność została spowodowana deszczem, który przyniósł pył radioaktywny z poligonów znajdujących się w stosunkowo niewielkiej odległości około tysiąca kilometrów od Wardcity. W każdym razie, jak udowodniła wyżej wymieniona komisja, ilość resztek materiałów radioaktywnych absolutnie nie zagraża życiu i zdrowiu mieszkańców miasteczka i okolic.

Komunikat podkreślał również, że oświadczenie inżyniera Marty Bretta złożone na słynnej konferencji prasowej o braku

śladów uranu w złożach kopalni było całkowicie zgodne z rzeczywistością. Inżynier Brett nie posiadając tak precyzyjnych aparatów, jakimi rozporządzała komisja, nie mógł wytłumaczyć powodów radioaktywności hałdy. Nie można jednak robić inżynierowi ani zarządowi kopalni zarzutu chęci wprowadzenia w błąd opinii publicznej lub ukrywania istotnego stanu.

*

Mój przyjaciel skończył swoje opowiadanie i wymownym gestem wskazał na zegarek.

Rzeczywiście zrobiło się dość późno. Mimo to nie mogłem zrezygnować z zadania mu paru pytań.

– Powiedz mi, mój drogi, co zrobiła następnie słynna firma „Albert Stern, Harry Bracken i James Kane – przedstawiciele handlowi”? Czy podali cię do sądu?

– Z jakiej racji? Przecież nie mogli mi niczego udowodnić. Czy ja kiedykolwiek twierdziłem, że w tych złożach jest uran?

– A dlaczego liczniki Geigera wykazywały zwiększoną radioaktywność?

– Komisja miała rację, że do hałdy dostały się pewne resztki materiałów rozszczepialnych. Może nie w ten sposób, jak to usiłowali sobie wytłumaczyć panowie ze stanu Nebraska, faktem jednak jest, że istotnie coś podobnego tam się znalazło.

– Oczywiście przy twoim współudziale?

– Mój kochany, nie chciej wiedzieć zbyt wiele.

– A dlaczego dziennikarze mieli prześwietlone klisze w swoich aparatach?

– To był bardzo prosty kawał. Marty Brett, zresztą naprawdę

doskonały inżynier górnik, pozując do fotografii tak ustawił przedstawicieli prasy, że stali plecami do baraku, tuż pod jego ścianą. Jak wiesz, barak składał się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym odbyła się ta słynna konferencja prasowa, a w drugim zainstalowaliśmy kilka aparatów rentgenowskich. Po prostu uruchomiliśmy je w czasie dokonywania zdjęć. Nie tylko promienie uranu prześwietlają klisze fotograficzne. Z powodzeniem mogą to uczynić na małą odległość również promienie Gamma.

– Nie rozumiem więc, dlaczego tak się zdenerwowałeś, gdy jeden z dziennikarzy zademonstrował ci licznik Geigera?

– Musiałem odegrać tę scenkę. Od początku do końca chodziło mi przecież o to, aby nikt, ani dziennikarze, ani ich czytelnicy, ani wreszcie trzej zacni przedstawiciele handlowi, nie uwierzyli w to, co mówiłem na konferencji. A mówiłem jedynie szczerą prawdę.

– A gdyby tak redaktor z „New York Herald Tribune” nie wyjął swojego aparatu?

– Tego się nie obawiałem. Byłem całkowicie przekonany, że w kieszeniach i teczkach każdego z tych dziennikarzy znajdują się takie liczniki. To źle, że nie doceniasz sprytu swoich amerykańskich kolegów. Gdyby cała sprawa działa się w Polsce, nasi przedstawiciele prasy też nie zjawiliby się z pustymi rękoma.

– W tym całym interesie było jednak duże ryzyko. Panowie z „Rockefeller-Center” mogli nie skorzystać z klauzuli 15 paragrafu umowy i pozostawić kopalnię w twoim ręku. Co wtedy?

– Ryzyko jest w każdym interesie. Nawet przy przechodzeniu przez jezdnię. W Szczecinie bodaj większe niż w Nowym Jorku, bo wasi szoferzy nie lubią zwalniać przed skrzyżowaniami

i przed zebrami. W gruncie rzeczy, znając rodzaj ludzi, z którymi zawierałem transakcję kupna-sprzedaży kopalni, ryzykowałem minimalnie. Teoretycznie biorąc mogli, oczywiście, nie odkupić ode mnie akcji. Wtedy znalazłbym się w trudnej, lecz nie beznadziejnej sytuacji. Przy pewnej pracy i nakładach można było tę kopalnię – zbadał to dokładnie inżynier Brett – doprowadzić do opłacalności produkcji, a nawet do sporej zyskowności. Naturalnie zamroziłoby to na parę lat moje możliwości finansowe i musiałbym rozejrzeć się za odpowiednim kredytem. Cała rzecz nie była jednak tak beznadziejna, jak ci się zdaje. W końcowym obrachunku nic straciłbym swoich pieniędzy, a jeszcze zarobiłbym na tym interesie nieco dolarów. Nie tak szybko i nie tak dużo, jak dzięki panom Brackenowi, Sternowi i Kane, lecz coś tam by się utargowało.

– Wytlumacz mi jeszcze jedno. Jak to się stało, że „New York Herald Tribune” zamieścił tę pierwszą wzmiankę o znalezieniu uranu?

– Nie było żadną sztuką zainscenizować małą komedyjkę. Do Wardcity najpierw przyjechał Brett, który istotnie zbadał złoża kopalni i stwierdził jej potencjalne możliwości. Jednocześnie sporo włóczył się po okolicy i to tak, aby jak najwięcej osób go widziało. Następnie przyjechaliśmy już we trzech: Brett, ja i pewien młody człowiek w charakterze naszego pomocnika. Miał on za zadanie zawrzeć jak najwięcej znajomości w Wardcity, a przede wszystkim z miejscowym korespondentem lokalnej gazety w Lincoln – stolicy stanu Nebraska. Moje kupno akcji kopalni i to po tak wysokiej cenie, a nie ukrywałem, po czemu płaciłem za akcje, przeciwnie, szeroko rozkolportowałem tę wiadomość – wywołało powszechną sensację w małym miasteczku. Wtedy

nasz młody pomocnik „wygadał się”, po paru kieliszkach wypitych z owym dziennikarzem, że podsłuchał naszą rozmowę o złożach uranu. Dziennikarz w lot pochwyił szansę, jaką dała mu ta wiadomość, i przetelefonował ją nie do stanowego dziennika, lecz do największej gazety w Stanach Zjednoczonych, właśnie do „New York Herald Tribune”.

– Widzę, że cała batalia była opracowana w najmniejszych szczegółach i wykonana bezbłędnie.

– Naturalnie. Gruntowne przemyślenie wszystkiego, opracowanie najrozmaitszych wariantów zależnie od okoliczności było tutaj warunkiem powodzenia. No, ale dosyć o tym. Jedziesz jutro ze mną do Międzyzdrojów?

– Mowy nie ma! Muszę pilnować tego, z czego mam chleb. Siedzę jutro cały dzień w sądzie na sprawie o „zbrodnię przy ulicy Vasco da Gama”. Krokiem się stamtąd nie ruszę. Jutro decydujący dzień rozprawy. Prokurator zapowiedział sensacyjną, niespodziankę.

– Szkoda – powiedział Henio MacArek. – W takim razie do widzenia. Zobaczymy się dopiero wieczorem, bo wyjeżdżam wcześniej. Z samego rana umówiłem się na plaży. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziałem i dodałem – nigdy nie przypuszczałem, że masz taki pociąg do sztuk pięknych. Nawet nie przeczuwałem w tobie takiej artystycznej duszy.

Na te słowa Henio tylko się roześmiał. Każdy z nas udał się do swojego pokoju.

Już zamykając drzwi do swojego pokoju, Henio zauważył:

– Obawiam się, że tak ładna do dzisiaj pogoda zrobi nam niemiłego figla.

– Komunikaty meteorologiczne zapowiadały, że wyż utrzyma się jeszcze przez czas dłuższy – zaoponowałem.

– Bardziej wierzę swojej nodze niż wszystkim meteorologom świata. A właśnie noga podpowiada mi, że jutro będzie padało.

– Reumatyzm?

– Nie. Po prostu złamanie. Jak to zwykle bywa, na prostej drodze. Na Praça do Comércio w Lizbonie. Nawet nie było tam tej przysłowiowej skórki od banana.

– Nic mi nie wspomniałeś o swoim pobycie w Portugalii.

– Bo byłem tam tylko dziesięć dni. Drugiego złamałem nogę, a następne osiem przeleżałem w swoim pokoju hotelowym. Co prawda z pewnymi atrakcjami, o które postarali się zarówno przedstawiciele ruchu rewolucyjnego generała Delgado* jak i agenci policji politycznej, osławionej „Pide”.

* Generał Humberto Delgado stał na czele opozycji przeciwko dyktatorowi Portugalii, Antonio de Oliveira Salazar, w tym charakterze kandydował w 1958 r. na urząd prezydenta państwa. Zmuszony do opuszczenia Portugalii, generał Delgado organizuje zbrojny ruch oporu przeciwko Salazarowi. W 1965 r. „Pide” zabiło Humberta Delgado na pogranicze portugalsko-hispańskie, gdzie zamordowano go wraz z jego adiutantem i sekretarką.

– Musisz mi to opowiedzieć.

– Nie teraz i nie dziś. Może jutro, jeżeli wrócę wcześniej z Międzyzdrojów. Dobranoc.

Rozdział VI

Noga Henia MacArecka rzeczywiście nie zawiodła. Nazajutrz od rana siąpił deszcz na całym Wybrzeżu. Toteż randka amerykańskiego milionera z polską „sztuką piękną” skończyła się szybko, niżby tego sobie Henio życzył. W dość kwaśnym humorze powrócił do Szczecina. Dużo mnie trudu kosztowało, żeby poprawić nastrój przyjaciela i nakłonić go do opowiedzenia swojej portugalskiej przygody.

– Wyobraź sobie, co za pech! Przyjechać do nie znanego sobie miasta i zaraz na drugi dzień złamać nogę. I to w centralnym punkcie Lizbony, na Praca do Comercio. W samo południe, a trzeźwy byłem jak rzodkiewka. Po prostu wyszedłem z hotelu, aby przejść się trochę po stolicy Portugalii.

– Jakim sposobem zdarzył ci się ten wypadek? Pośliznąłeś się?

– Nie. Obejrzałem Pałac Królewski zajmujący jedną stronę placu i chciałem przejść przez jezdnię ulicy da Liberdade, która właśnie bierze tutaj swój początek. Postawiłem stopę na krawędzi chodnika tak nieszczęśliwie, że noga mi się obsunęła, a ja wylądowałem na jezdni. Nawet się nie przewróciłem, lecz tylko podparłem rękoma. Coś mi jednak w lewej nodze, w kostce, chrupnęło. Szybko wstałem, otrzepałem ręce z kurzu i poszedłem dalej.

W pierwszej chwili nic mnie nie bolało, ale po przejściu około stu metrów zrozumiałem, że ta drobna przygoda nie skończyła się tak bezkarnie, jak to sobie początkowo wyobrażałem. Z największym trudem dokuśtykałem do postoju taksówek i kazałem się wieźć do najbliższego szpitala. Tam nogę prześwietlili i stwierdzili pęknięcie kości strzałkowej. Zagipsowano mi kulasa aż do kolana i karetką odwieziono do hotelu.

– Mogłeś zostać w szpitalu.

– Dziękuję za przyjemność. A poza tym wy tutaj nawet sobie nie wyobrażacie, ile kosztuje na Zachodzie jeden dzień pobytu w szpitalu. Kilkakrotnie drożej niż najbardziej luksusowy hotel. I tak już za nastawienie nogi i założenie opatrunku zapłaciłem ponad sto sześćdziesiąt dolarów. Będąc zupełnie zdrowym, a jedynie z perspektywą dwóch tygodni całkowitego unieruchomienia, wybrałem hotel. Tam zresztą, muszę to przyznać, otoczono mnie bardzo troskliwą opieką.

– Leżałeś w łóżku?

– Jedyne przez pierwsze trzy dni. Dłużej nie mogłem wytrzymać. Później wstawiono do mojego pokoju wygodny, duży fotel i na nim półleżąc spędzałem przy oknie całe godziny. Rano z pomocą pokojówki lub fryzjera, który przychodził mnie ogolić, bo nie umiem golić się na leżąco, skakałem na jednej nodze pod okno i w ten sposób zapoznawałem się z Lizboną. Na szczęście nie musiałem trzymać nogi na wyciągu, co oczywiście skazałoby mnie na pobyt w szpitalu.

– I tak nie musiało ci być zbyt wesoło.

– Nudziłem się piekielnie. A na dobitkę te potworne upały. Noga w gipsie grzała jak najlepszy piec. Piłem masę różnych

płynów i ręcznikiem wycierałem się z potu. Wielkie skrzydła wiatraka umieszczone pod sufitem niewiele pomagały, bo powietrze było tak nagrzane, że jego ruch nie dawał ochłody. Wiadomo, sierpień jest najgorętszym miesiącem na półwyspie Iberyjskim.

– Więc po cóż właśnie w sierpniu wybrałeś się do Lizbony?

– Po prostu miałem zamiar wybrać się do Norwegii, na fiordy. W Lizbonie nigdy nie byłem, więc pomyślałem, że lecąc z Nowego Yorku zatrzymam się w tym mieście na parę dni. Gdyby nie ten przeklęty upadek, uciekłbym z Portugalii po trzech dniach lub przynajmniej siedziałbym na plaży nad Atlantykiem w Sintra czy w Estoril, a nie w nagranych słońcem kamieniach centrum miasta.

– Wspomniałeś jednak o jakiejś przygodzie? – przypomniałem.

– Właśnie, ale jeżeli będziesz mi przerywał, to nigdy nie dojdziemy do tego.

– Już milczę.

– Leżę więc sobie przy oknie i obserwuję ulicę. Przechodniów, samochody, autobusy. Ładne kobiety i przystojnych mężczyzn. Bogatych i biedaków. Spieszących się i idących spacerowym krokiem. Czwartego dnia moich obserwacji usłyszałem jakieś krzyki. Za chwilę zauważyłem człowieka biegnącego drugą stroną mojej ulicy. Goniło go kilku mężczyzn. Coś krzyczeli po portugalsku. Liczny o tej porze na chodniku tłumek nie interweniował w zajściu. Raczej każdy starał się pryskać na boki.

– Zupełnie jak u nas w czasie okupacji – zauważyłem. – Wtedy też nikomu nie przychodziło do głowy, żeby zbyt interesować się takim pościgiem. Nigdy nie było wiadomo, czy

uciekającym nie jest jakiś akowiec czy alowiec, a goniącymi ci z Gestapo.

– Uciekający mężczyzna wyskoczył na jezdnię z zamiarem przebiegnięcia przez ulicę. Pewnie liczył na to, że uda mu się zgubić pościg albo że wskoczy do jakiegoś samochodu. Wtedy właśnie rozległy się strzały. Dobrze widziałem, że strzelali ci goniący. Chyba jednak nie trafili, tak wtedy przypuszczałem, bo człowiek biegł dalej i za chwilę zniknął z mojego pola widzenia. Ulica momentalnie opustoszała. Byłem niezmiernie ciekawy dalszego przebiegu całego zajścia, jednak przezornie nie wychyliłem się przez okno. Z krótkich rozmów ze służbą hotelową i z fryzjerem zdążyłem się przekonać, że w Portugalii o coś, co choć trochę zatracą polityką, lepiej nie pytać ani niczego nie dostrzegać. Policja „papy” Salazara nie lubi żartować. Wiedziałem więc, że jeśli nawet zapytam numerową, co to były za strzały, nie otrzymam odpowiedzi albo wymijającą.

– Tak się boją?

– Jedni się boją, innym jest z tym dobrze. Każdy dyktator ma swoich wrogów, ale także i swoich pretorianów. Tych drugich jest w Portugalii znacznie mniej niż przeciwników Salazara, ale za to są tym bardziej bezwzględni wobec narastającego niezadowolenia społeczeństwa. Im większe niezadowolenie, tym większy terror, co z kolei powoduje wzrost ruchu oporu. Znacie to zresztą sami najlepiej z czasów okupacji hitlerowskiej.

– Aż za dobrze – potwierdziłem.

– Siedzę więc nadal przy oknie – ciągnął MacArek – i obserwuję wyludnioną ulicę, kiedy cichy szmer kazał mi obrócić głowę w stronę drzwi wejściowych mojego pokoju. Stał w nich ten sam człowiek, którego przed chwilą goniono na ulicy.

Poznałem go od razu, chociaż był bardzo blady. Lewą rękę przyciskał do brzucha. Powiedział coś do mnie po portugalsku. Nie rozumiałem ani słowa. A on, kiedy zorientował się, że ma do czynienia z cudzoziemcem, przeszedł na angielszczynę.

– Gonią mnie. Za chwilę tu wpadną. Jestem ranny.

Milczałem. Cóż mogłem powiedzieć człowiekowi, którego w ogóle nie znam, którego nigdy nie widziałem? Zrozumiał moją powściągliwość. Wyjaśnił:

– Jestem członkiem nielegalnej Portugalskiej Partii Republikańskiej generała Humberto Delgado.

– Czy to było jeszcze za życia generała? – znowu przerwałem Heniowi jego opowieść.

– Oczywiście. To był rok 1962, bezpośrednio po krwawo stłumionych przez Salazara rozruchach w mieście Beja. Wtedy opozycja przeciwko dyktaturze była w rozsypce. Tysiące ludzi albo trafiło do więzienia, albo ukrywało się w kraju lub uciekło za granicę. Ale przestań wreszcie mi przeszkadzać! – rozgniewał się MacAreck.

– Cały zamieniam się w słuch – odpowiedziałem skruszony.

– Nieznajomy budził sympatię – podjął opowieść mój przyjaciel – i chociaż raczej nie powinienem się wtrącać do wewnętrznych rozgrywek Portugalczyków, i pomimo że mogła to być po prostu prowokacja policji, spytałem:

– Czym mógłbym panu pomóc? Chce pan tu się ukryć?

– Nie. Dziękuję. Zgubiłbym w ten sposób zarówno siebie, jak i pana. Wprawdzie na razie stracili mój ślad, ale za kilka minut tu wpadną. Znaleźliby mnie bez trudności – to mówiąc nieznajomv wyjął z kieszeni białą kopertę z jakimś adresem i

dodał – ale błagam, niech pan doręczy ten list pod właściwy adres. Tylko osobiście. Żeby tego u pana nie znaleźli. Życie wielu ludzi zależy od tej koperty. Mężczyzna – ciągnął dalej Henio – podszedł do mnie i podał mi list. Słaniając się wybiegł z pokoju. Najwidoczniej był poważnie ranny. Przyjrzałem się kopercie. Odręczne pismo i jakiś nic mi nie mówiący paryski adres. Za chwilę usłyszałem na korytarzu kroki kilku biegnących ludzi, jakieś okrzyki i znowu kilka strzałów. Jak gdyby oddanych o piętro wyżej. A ja ciągle trzymałem w ręku białą kopertę i mając złamaną nogę, nie mogłem się ruszyć. A przecież należało działać jak najszybciej. Znaleźć jakiś bezpieczny schowek. Policja na pewno będzie przeszukiwała cały hotel.

Henio umilkł i popił łyk koniaku.

– Opierając się o framugę okna, stanąłem na mojej jednej zdrowej nodze. Rozejrzałem się. Na biurku, obok papieru listowego, leżała taśma do zaklejania kopert. Dziwne, że u was tej tak wygodnej i praktycznej rzeczy nie ma w ogóle. Na Zachodzie taka taśma zastępuje obecnie sznurek... Dokuśtykałem do biurka i złapałem szpulkę z taśmą. Teraz jeszcze dwa skoki i dotarłem do kontaktu. Przekręciłem go i wielki wentylator na suficie zaczął zmniejszać szybkość swoich obrotów, by za chwilę zupełnie stanąć. Teraz, dla takiego jak ja kulasa, pozostało najtrudniejsze zadanie, tak sprytnie ukrycie koperty, żeby nikomu nie przyszło do głowy szukać jej w tym schowku. Znowu pokuśtykałem na środek pokoju, przystawiłem do stołu krzesło i najpierw wdrapałem się na nie, a później na stół. Wierz mi, nie było to łatwe. Przeciwnie, żeby dokonać tego posługując się tylko jedną nogą, trzeba było wyczyniać wprost akrobatyczne sztuki. Wreszcie udało się.

Stanąłem na stole i w zasięgu moich rąk znajdowały się skrzydła wielkiego wentylatora. Posługując się lepką taśmą, przykleiłem do jednego z nich, naturalnie od strony wewnętrznej, tę nieszczęsną kopertę. Mało nie poleciałem na pysk przy próbie zejścia. Ledwie zdążyłem odstawić krzesło pod ścianę, dokuśtykać do mojego fotela i zająć w nim zwykłą pozycję, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnęło trzech ludzi. Na pierwszy rzut oka można było w nich poznać tajniaków.

– On tu był! – krzyknął jeden z przybyłych.
– Nie rozumiem po portugalsku – odpowiedziałem. – Słyszając język angielski, tajniacy nieco zgrzecznieli! Jeden z nich wyjaśnił po angielsku:

– Tu wszedł przed chwilą pewien mężczyzna. Niebezpieczny bandyta... Ścigaliśmy go.

– Widziałem tam na ulicy. Goniliście go, on uciekał.

– Właśnie. Wszedł do pańskiego pokoju. Pod drzwiami jest ślad krwi. Został raniony w czasie pościgu.

– Rzeczywiście – przyznałem bo nie było sensu zaprzeczać – przed paru minutami jakiś mężczyzna otworzył drzwi do mojego pokoju. Zagadał coś po portugalsku, ale nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Nie wiem, czy to był ten, którego szukacie. Jak pan widzi, mam złamaną nogę i nie mogę ruszyć się z miejsca – wskazałem wymownie na swój gipsowy pancerz.

– Musimy przeszukać pokój – zauważył jeden z tajniaków.

– Po co – zaprotestowałem – przecież widać, że on tu nie mógł się schować.

– Że się nie schował, sami wiemy. Leży zabity na korytarzu, na wyższym piętrze. Ten bandyta nic panu nie zostawił?

– Nie, skądże! – zaprzeczyłem. – O ile mi wiadomo, bandyci zwykle coś zabierają, a nie odwrotnie.

– Niech pan nie będzie zbyt dowcipny – szczeknął jeden z drabów. – Takie żarty mogą się źle skończyć.

– Proszę, szukajcie – zrobiłem obrażoną minę. – Powtarzam, ten człowiek tylko przez moment stał w drzwiach mojego pokoju. Nawet nie zauważyłem, jak wyglądał. Zaprzeczam też, że coś mi wręczał. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych

– Bardzo pana przepraszamy, ale mimo to musimy zrewidować pokój – dowódca tajniaków na wiadomość o moim amerykańskim obywatelstwie stał się bardziej uprzejmy, niemniej nie zamierzał ustąpić.

– Proszę, niech panowie szukają – zgodziłem się. – Ale niech jeden z was przyniesie kilka butelek coca-coli. Nawet na pokojówkę nie mogę zadzwonić. Podła służba w tym, hotelu. Nic nie dbają o chorego. Mogłaby któraś z numerowych zajrzeć do pokoju, zapytać, czy czego nie potrzebuję. Wentylatora też nie puścili. Ale za to na napiwki będą się oglądali. Wtedy zjawią się wszyscy w komplecie.

Jeden z policjantów roześmiał się, podszedł do kontaktu i przekręcił go. Skrzydła wiatraka zaczęły się obracać.

Sięgnąłem do kieszeni szlafroka. Z portfelem nigdy się nie rozstawałem. Wyjąłem z niego banknot dziesięciodolarowy i podałem najbliższemu stojącemu tajniakowi, prosząc go o przyniesienie z bufetu butelek coca-coli. Wyszedł spełnić moje polecenie. To dobry znak. Pierwszą rundę już wygrałem. Podałem cały portfel kierownikowi tej policyjnej ekipy:

– Proszę przeszukać. Tam niczego nie ma poza moimi

pieniężmi i moimi prywatnymi papierami – powiedziałem.

Tajniak szybko, ale dokładnie przejrzał portfel. Duża suma znajdujących się wewnątrz zielonych papierków najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie.

– Bardzo mi przykro, sir, pan sam rozumie, służba nie družba, ale obowiązani jesteśmy przeprowadzić rewizję.

– Dobrze, lecz jeszcze raz powtarzam, że niczego nie znajdziecie.

– Ja też jestem tego pewien, ale musimy to zrobić – usprawiedliwiał się tajniak.

– Koperty nie znaleźli? – znowu przerwałem MacAreckowi.

– Oczywiście, że nie znaleźli – roześmiał się Henio. – Z chwilą, kiedy sami uruchomili wentylator, byłem już pewny, że jej nie znajdą. Nie przyjdzie im do głowy szukać jej na skrzydłach wiatraka. To było doskonałe psychologiczne zagranie, że nie uruchomiłem wentylatora, tylko ich o to poprosiłem.

Henio nigdy nie grzeszył skromnością. – A jaki był dalszy ciąg tej historii?

– Tajniak przyniósł całą baterię zimnych napojów. Wszyscy ratowaliśmy się nimi przed tym piekielnym upałem. Rewizję przeprowadzili bardzo grzecznie, bardzo zgodnie z wszelkimi przepisami, ale też i bardzo dokładnie. Nawet usiłowali zajrzeć pod gipsowy pancierz, aby sprawdzić, czy czegoś tam nie ukryłem. Miałem nosa, że nie skorzystałem z tej tak narzucającej się skrytki. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że gdyby nie pomysł z wiatrakiem, który sami uruchomili, wszędzie indziej znaleźliby tę kopertę. Przyznaję, ci ludzie doskonale znali swój

fach. Po skończonej rewizji przeprosili mnie i wyszli. Zrobili zresztą taki gest, jak gdyby chcieli mi oddać resztę pozostałą z zakupu coca-coli. Sam rozumiesz, że odmówiłem, co jeszcze bardziej podniosło moją opinią w ich oczach. Dostało się za to Bogu ducha winnej pokojówce, którą skrzyczeli, że nie dba o chorego Amerykanina i nie zapyta, czego mu trzeba.

– Ostatecznie zostawili cię w spokoju?

– Tak. Przesiedziałem na swoim fotelu jeszcze trzy dni. Naturalnie nikt ze służby ani słowem nie nawiązał do historii, która rozegrała się na ulicy i miała swój tragiczny epilog na jednym z korytarzy hotelowych. Po trzech dniach, za pośrednictwem portiera, zamówiłem bilet lotniczy do Paryża, kazałem pokojówce spakować moje rzeczy i usadowiony z pomocą licznej służby w samochodzie, pojechałem na lotnisko.

– Swoim systemem żegnałeś się ze służbą za pośrednictwem pięciodolarówek?

– Chyba w to nie wątpisz – roześmiał się Henio. Robiłem to tym chętniej, bo wiedziałem, że bardzo szybko znajdę się tu z powrotem.

– A to dlaczego?

– Rewizja wprawdzie nie dała pozytywnych wyników, tajniacy byli grzeczni, doskonale jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że nie zostawią mnie w spokoju. Z rozmowy z moimi gośćmi niedwuznacznie wynikało, wiedzieli o papierach, jakie powinien mieć przy sobie zabity członek ruchu oporu. A tych dokumentów przecież nie znaleźli. Byłem najbardziej podejrzanym o ich przechowywanie. Nagły wyjazd człowieka ze złamaną nogą musiał jeszcze bardziej wzmocnić te podejrzenia. Fachowcy z „Pide” byli zbyt wytrawnymi specami, żeby nie zwrócić na to uwagi.

Zresztą sam postarałem się, żeby jeszcze ich utwierdzić w tym mniemaniu.

– W jaki sposób?

– Kiedy dwie pokojówki pakowały moje rzeczy do walizek, zrobiłem taki ruch, jak gdybym coś wsunął pod mój gipsowy pancerz na nodze. Oglądałem się przy tym i robiłem wszystko, aby te panie były przekonane, że w tajemnicy przed nimi coś ukryłem w gipsowej rurze opasującej złamaną kość. Kiedy zorientowałem się, że dostrzegły moje manewry, wiedziałem już, że i drugą rundę mam wygraną.

– A naprawdę, to schowałeś kopertę zupełnie gdzieś indziej?

– Pojechałem na lotnisko. – Henio zupełnie zignorował moje pytanie. – Tam, niby przypadkiem, znajdował się już jeden z urzędników ambasady USA, którego telefonicznie poprosiłem o tę przysługę. Kiedy mieliśmy przejść przez płytę żeby zająć miejsca w gotowym do startu samolocie, podeszło do mnie dwóch panów i zabrało do osobnego pokoiku. Panowie ci wylegitymowali się znaczkami tajnej policji, wpiętymi w wewnętrzną stronę klapy marynarki. Gorąco protestowałem, prosiłem przedstawiciela ambasady o pomoc. Nic to jednak nie pomogło. Wszystkie moje rzeczy zostały niesłychanie dokładnie zrewidowane, sztuka po sztuce. Potem przyszła kolej na rewizję osobistą. Wkrótce stanąłem przed tajniakami tak, jak mnie pan Bóg stworzył, co prawda z małą poprawką, gipsowym pancerzem na lewej nodze. Ponieważ i ten sposób nie przyniósł żadnych rezultatów, tajniacy zabrali się do rozcinania gipsowej rury. Protestowałem jeszcze bardziej gwałtownie. Nawet krzyczałem, udając, że to takie bolesne. Jaką ci faceci mieli głupią minę, kiedy przekonali się, że

i w tym schowku niczego nie ma, natomiast noga jest naprawdę złamana. Na dobitek tak potraktowano cudzoziemca w obecności przedstawiciel wszechpotężnej w Portugalii ambasady Stanów Zjednoczonych.

– Jak się to skończyło?

– Panowie z „Pide” oraz przedstawiciele zarządu portu lotniczego prześcigali się w tłumaczeniach i przeprosinach. Kazałem sprowadzić sobie karetkę pogotowia, zawieźć się do znajomego już sobie szpitala i założyć nowy gips. Oczywiście już na koszt pana Salazara. A potem, udając bardzo zmęczonego, zdenerwowanego tymi wszystkimi przejściami i bardzo chorego, powróciłem do hotelu, do tego samego pokoju, który zwolniłem przez czterema godzinami. Nic się nie zmieniło, poza tym, że pokojówki, które pakowały moje walizki gdzieś zniknęły i trzeba było prosić inne panie, aby rozpakowały rzeczy.

– A koperta? Co się z nią stało?

– Nic. Cały czas przebywała w jednym i tym samym miejscu. Przyklejona do skrzydła wiatraka pod sufitem. Doskonale wiedziałem, że za kilka godzin wrócę do pokoju, wobec tego nawet jej nie ruszyłem.

– Więc pokojówki?...

Oczywiście. Jeśli nie obie, to przynajmniej jedna musiała być w kontakcie z „Pide” i donieść im, że ten podejrzany Amerykanin coś chowa w swoim gipsowym panczerzu.

– A gdybyś się omylił?

– Działalem na pewniaka. W Portugalii, w każdym hotelu co drugi pracownik to agent policji. Już pierwszego dnia, wtedy miałem jeszcze obie nogi zdrowe, za uważyłem, że w czasie

mojej nieobecności w pokoju wszystkie moje rzeczy dokładnie zrewidowano, a wszystkie papiery przejrano świstek po świstku. Zapewniam cię, że nic nie ryzykowałem.

– No dobrze, ale co dalej?

– Dalej? – zdziwił się Henio. – Już nic nie było. Na tym ta historia się kończy. Po trzech dniach stan mojego zdrowia na tyle się poprawił, że znowu dwie pokojówki zapakowały moje walizki i pojechałem po raz drugi na lotnisko. Tam, przy odprawie celnej, zaledwie pobieżnie przejrano moje rzeczy. Tym razem nikomu nawet nie przyszło na myśl rozcinać gipsową rurę i znowu dręczyć chorego Amerykanina.

– A koperta?

– Po przyjeździe do Paryża zmieniłem opatrunek na lżejszy i przy pomocy kuli mogłem się już samodzielnie poruszać. Po kilku dniach udałem się więc pod wskazany adres i panu, którego nazwisko figurowało na kopercie, oddałem powierzony mi list. Wyrażono mi słowa wdzięczności, coś tam wspomniano o zwrocie kosztów i o ryzyku, na jakie się naraziłem. Roześmiałem się w odpowiedzi i nie wziąłem ani grosza. Po paru tygodniach pobytu w Paryżu stan mojej nogi poprawił się tak, że mogłem całkowicie rozstać się z gipsem. Jeszcze trochę masaży oraz kąpeli i byłem już na tyle zdrów, żeby móc wyjechać do Hamburga.

– Dlaczego do Hamburga?

– Ceny znaczków pocztowych są najwyższe na aukcjach we Frankfurcie nad Menem i w Hamburgu. O tym wie nawet najmniejsze dziecko. Od razu widać, że nigdy nie zbierałeś znaczków.

– A ty jesteś takim filatelistą?

– Nie. Filatelistyka nigdy nie była moim hobby.
– Więc dlaczego pojechałeś do Hamburga na aukcję znaczków pocztowych?

– Bo miałem do sprzedania piękną kolekcję starych znaczków. Portugalia i jej kolonie. Prawdziwe rarytasy dla zbieraczy, bo rząd portugalski zabrania pod wysokimi karami wywozu znaczków z kraju. Wskutek tego istnieje duża różnica pomiędzy cenami światowymi i cenami w Lizbonie. Dobrze zarobiłem na tych znaczkach.

– Ale skąd je miałeś?

– Żeby zrobić dobry interes, nawet złamana noga nie jest przeszkodą. Zawsze i wszędzie znajdzie się jakiś agent, który dostarczy poszukiwany towar. A skoro i tak ryzykowałem głową, to przecież wszystko jedno, czy w mojej gipsowej rurze jechały jedna, czy dwie koperty.

Henio roześmiał się i jednym haustem wypił resztę złocistego płynu.

– Ale – dodał – cały ten zarobek i jeszcze trzydzieści tysięcy marek oddałbym bez wahania, żeby zobaczyć minę pewnego gościa.

– Jakiego znowu gościa?

– Tego w pociągu z Hamburga do Lubeki.

Rozdział VII

Pociąg z Hamburga do Lubeki właśnie ruszał w drogę. W jednym z przedziałów drugiej klasy siedziało pięć osób. Z tej grupki wyróżniało się dwóch mężczyzn. Jeden nich gruby, czerwony na twarzy i ostrzyżony krótko na „preussische Schnitt”, w wieku pod sześćdziesiątkę, był typowym przedstawicielem mieszczaństwa niemieckiego. Drugi, ubrany z wyszukaną elegancją, o śniadej cerze i jasnych włosach, już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie cudzoziemca.

Tak też było w istocie. Elegancki pan wprawdzie mówił dość płynnie po niemiecku, ale od razu poznawało się, że to język wyuczony, a nie ojczysty. Czasami, kiedy brakowało mu jakiegoś wyrazu, wtrącał angielskie słowa. Mężczyzna umieścił w siatce nad swoim siedzeniem ładną, zgrabną walizeczkę z czarnej skóry.

Pozostała trójka pasażerów: dwie przystojne dziewczyny i młody człowiek, wyglądali na mieszkańców podmiejskich okolic Hamburga. Rzeczywiście, wracali z pracy i domu i wysiedli na pierwszej stacyjce. W przedziale zostali grubas i cudzoziemiec.

Niemcy są rozmowni, a nawet często gadatliwi. Toteż po dziesięciu minutach rozmowy cudzoziemiec wiedział, że jego sąsiad posiada w Lubece niewielką fabrykę wyrobów metalowych. W zakładzie tym pracuje ponad czterdziestu ludzi. Fabryczka

kooperuje z jedną z hamburskich stoczni. Grubas zapewniał, że interes rozwija się dobrze i jeżeli tak pójdzie dalej, nosi się z zamiarem poważnego rozbudowania swojego zakładu. Ma nawet już upatrzoną pod Hamburgiem odpowiednią posiadłość. Jeśli ją kupi, przeniesie się tam z Lubeki. Oszczędność na skróceniu transportu pomiędzy jego fabryką a stoczną jest nie do pogardzenia.

Cudzoziemiec raczej przysłuchiwał się monologowi towarzysza podróży, ale z rzadkich pytań, jakie zadawał, wynikało, że również doskonale orientuje się w stosunkach gospodarczych największego niemieckiego portu, a nie jest mu obca i problematyka przemysłu okrętowego, i zagadnienia kooperacji małych zakładów z wielkimi stoczniami. Wyrażał też obawę, że te wszystkie niewielkie fabryczki są zdane na łaskę i niełaskę wielkich potentatów przemysłowych, którzy dyktują ceny i odpowiednią polityką rozdziału zamówień mogą każdego małego wytwórcę zmusić do bezwzględnego posłuszeństwa.

– To prawda – zgodził się Niemiec. – Ale ze mną to im się nie uda. Nie trzymam się kłamki jednego zamówieniodawcy, ale produkuję różny asortyment dla różnych odbiorców. W razie czego mogę sprzedawać swoje wyroby Szwedom lub Norwegom. Od czego głowa na karku i ta odrobina doświadczenia życiowego?

W pewnej chwili cudzoziemiec zdjął z półki swoją elegancką walizeczkę, położył ją na ławce obok siebie i otworzył. Na samym wierzchu leżały kanapki opakowane w celofan. Całą resztę wnętrza walizki zajmowały równo poukładane, jedna przy drugiej, paczki nowiuteńkich banknotów po pięćdziesiąt marek.

Przystojny blondyn wyjął kanapki i nie zamykając nawet walizeczki poczęstował jedzeniem swojego sąsiada.

– Tyle pieniędzy pan wozi w walizce, jakby to były zwykłe kartofle – roześmiał się grubas.

Cudzoziemiec zamknął wieko walizeczki i lekceważąco machnął ręką.

– Tam jest tylko sto tysięcy marek. Dwadzieścia paczek. W każdej paczce sto banknotów po pięćdziesiąt marek.

– Sto tysięcy marek – powtórzył z lubością fabrykant. – Ładny grosz. Umieszczony w dobrym interesie może przynieść poważne dochody. Pan musi być bogatym człowiekiem. W czym pan pracuje, wolno wiedzieć? Cudzoziemiec odruchowo rozejrzał się dokoła. Tak jak gdyby chciał sprawdzić, czy naprawdę są tylko we dwóch w przedziale kolejowym. Uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Muszę pana rozczarować. Wcale nie jestem zbyt bogaty, chociaż trudno powiedzieć, żebym cierpiał nędzę.

– Dobre sobie! Nędza ze stu tysiącami marek w walizce.

– Za te marki dostanę w Lubece zaledwie dwadzieścia tysięcy. A produkcja jest bardzo kosztowna. Dobranie odpowiednich farb i wyprodukowanie papieru kosztuje straszne pieniądze. Doliczyć do tego klisze, maszyny... A poza tym człowiek jest wyzyskiwany przez paserów. Za sto dostaję zaledwie dwadzieścia tysięcy marek. Oni bez żadnej pracy zarabiają osiemdziesiąt tysięcy. To po prostu rozbój na prostej drodze.

– Nic nie rozumiem.

Cudzoziemiec otworzył walizeczkę, wyjął jedną z paczek

banknotów i podał ją sąsiadowi. Znowu rozejrzał się dookoła i ścisząc głos wyjaśnił:

– Te marki są fałszywe. Sam je wyprodukowałem. Wiozę je do Lubeki, do pewnego faceta, który kupuje ode mnie hurtem cały ten towar, płacąc zaledwie dwadzieścia procent nominalnej wartości. A on już je rozprowadzi wśród ludzi. Tak nawiasem mówiąc, dla niego to żadna sztuka i żadne ryzyko. Ma dużą fabrykę, a jego brat jest właścicielem domu handlowego. Po prostu każdemu swojemu pracownikowi podsuną przy wypłacie jeden lub dwa fałszywe banknoty. Prawda, jak dobrze zrobione?

Grubas był zupełnie oszołomiony. Nie wiedział, czy jego towarzysz podróży kpi sobie, czy też mówi poważnie. Obracał niepewnie paczkę banknotów w rękę.

– Jeżeli pan ma pięćdziesięciomarkówkę, niech pan porówna – zachęcał blondyn.

Niemiec wyjął podniszczony, ale okazałych rozmiarów portfel z czarnej skóry. Z jego wnętrza wyciągnął kilka banknotów po pięćdziesiąt marek i porównywał je z tymi z paczki.

– Rzeczywiście są identyczne. Pan nie żartuje?

– Jestem najlepszym fałszerzem pieniędzy na świecie – w głosie nieznanego zabrzmiała słuszna duma. – Nie ma takiego banknotu, którego nie potrafiłbym podrobić. Amerykanie chwalą się swoimi dolarami Tylko jeden Bóg wie, ile falsyfikatów puściłem w obieg I to nie za granicą, ale w samym Nowym Jorku. A funty? Nie przeczę, trudna robota. Bo i papier o bardzo skomplikowanym składzie, trzeba go wyrabiać ze starych, lnianych szmat, i włos platynowy, i sam rysunek bardzo delikatny. A ile,

pomimo to, moich pięćofuntówek krąży po całym imperium brytyjskim?

– Nie widzę żadnej różnicy – fabrykant z coraz większym zaciekawieniem oglądał trzymane w ręku banknoty

– Nawet w podczerwonych promieniach są identyczne. Panie, ile ci, którzy je kupują ode mnie, robili różnych ekspertyz! Nie znaleźli żadnej różnicy. I pomyśleć tylko, że taki doskonały towar muszę sprzedawać za jedną piątą wartości. Jak myślą się ludzie, którzy myślą, że fałszerze pieniędzy robią majątki. A tymczasem, przy tych bardzo wysokich i ciągle rosnących kosztach, my z trudem zarabiamy na przyzwoite życie. Na nas bogacą się paserzy. Oni zagarniają całą śmietankę.

– Dlaczego pan sam nie puści w obieg tych pieniędzy?

Cudzoziemiec uśmiechnął się smutnie.

– Widzi pan – wyjaśniał – my, wielcy fałszerze, jesteśmy po trochu artystami. Nie mamy sprytu życiowego i nie umiemy robić dobrych interesów. Pieniądze fałszuje się w ten sposób, że wykonuje się całą partię banknotów. W tym przypadku te sto tysięcy marek w pięćdziesięciomarkówkach. Potem fałszerz niszczy wszystko co pozostało, a więc zapasy papieru, farb, maszyny. Dopiero wtedy sprzedaje swój towar hurtownikowi i natychmiast wyjeżdża z danego kraju. Tylko takie metody produkcji zapewniają maksimum bezpieczeństwa Pyta pan, dlaczego sam nie puszczę tej kwoty w obieg? Zarobiłbym wtedy pięć razy więcej, to prawda. Ale to dla mnie, jako dla cudzoziemca, zbyt wielkie ryzyko. Nie mógłbym się wytłumaczyć z posiadania takiej sumy. A poza tym jest jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo.

- Jakie?
- Fałszywe banknoty trzeba puszczać w ruch pojedynczo. Pięćdziesięciomarkówkę za pięćdziesięciomarkówkę Jedną tu, drugą gdzie indziej. Cudzoziemiec, który chodzi po całym Hamburgu i wszędzie kupuje jakiś drobiazg płacąc banknotem o wysokiej wartości, szybko zwróciłby uwagę odpowiednich władz na swoją osobę. Nie mogą przecież wpłacić tych pieniędzy do banku na swój rachunek czekowy albo na giełdzie kupić odpowiednią ilość złota.
- Jeżeli banknoty są identyczne z prawdziwymi, to nie widzę żadnych przeszkód.
- A jednak są przeszkody. Numery!
- Jak to numery?
- Widzi pan, każda z moich pięćdziesięciomarkówek ma serię i numer. Tak jak wszystkie oryginalne banknoty. W ten sposób na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej będą krążyły dwa banknoty tej samej serii i o tym samym numerze. Jeden z nich wybity w państwowej drukarni, drugi produkcji niżej podpisanego. W normalnym obrocie wśród ludności nie stwarza to żadnego ryzyka, bo nikt nie sprawdza numerów pieniędzy, jakie ma w kieszeni. Gdyby więc dziwnym trafem dwa takie banknoty z identycznymi numerami trafiły do portfela jakiegoś Niemca, on tego nawet nie zauważy. Co innego banki. Tam nie tylko ogląda się banknoty, czy nie są fałszywe, takich oględzin oczywiście się nie obawiam, ale również zapisuje się numery banknotów i nazwiska wpłacających. Zbieżność dwóch identycznych numerów zakończyłaby się dla mnie natychmiastową wyspą. Co innego mój hurtownik. On ma możliwość rozdrobnienia tej sumy na dużą liczbę ludzi. To wyklucza jakąkolwiek wpadkę. Banknoty

puszczone przez niego w obieg, zanim trafią do banku lub do kasy państwowej, najpierw przejdą przez ręce dziesiątków, jeżeli nie setek ludzi. Dlatego on zarabia krocie, a ja ledwie wychodzę na swoje. Teraz jadę do Lubeki, dostanę dwadzieścia tysięcy marek, wycofam swoje koszty. Zostanie mi na czysto nie wiele więcej, niż trzecia część tej sumy. Jutro wyjeżdżam z Niemiec. Jadę do Italii. Tam mam zamówienie na wykonanie pięciuset milionów lirów. O wiele lepsze zamówienie niż w Niemczech, bo większe. Im dłuższa seria, tym więcej się zarabia. Niestety, moi kontrahenci z Lubeki uparli się, że wezmą tylko sto tysięcy marek.

– Pan tak wszystko otwarcie mówi do nie znanego sobie człowieka. A co byliby, gdybym tak na najbliższej stacji wezwał policjanta?

– Nie robi pan tego. Znam się trochę na ludziach. W moim fachu to konieczne. Przecież sprzedając swój towar, muszę polegać wyłącznie na zaufaniu i uczciwości. Pan jest przemysłowcem, mającym swoje interesy i kłopoty. Po co zaplątywać się w aferę, która zajęłaby panu jedynie dużo czasu i nic w rezultacie nie dała. Zresztą rozmawiamy bez świadków.

– No tak – przyznał grubas. – Naturalnie, że nie będę pako-
wał się w cudze sprawy. A komu pan sprzedaje te marki?

– Tego oczywiście panu nie powiem. W każdym razie podobny do pana człowiek interesu. Jak już, wspomniałem, ten facet ma możliwość wydania tych marek w ten sposób, że część ich wypłaci jako uposażenie swoim ludziom, resztę zaś puści w handlu. Już jego w tym głowa, jak to zrobić. Mnie jutro nie będzie ani w Hamburgu, ani w Bundesrepublice. O tej porze mój samolot wylądowuje w Rzymie.

Nastała chwila milczenia. Gruby Niemiec coś sobie kombinował. Wreszcie zapytał:

– A gdybym ja chciał kupić od pana ten towar?

– Mnie tam wszystko jedno, komu sprzedaję. Wprawdzie umówiłem się z tamtymi, ale kto płaci więcej, ten jest lepszy. Nicht war?

Obaj mężczyźni roześmieli się.

– Dam panu trzydzieści tysięcy – zaproponował przemysłowiec.

Cudzoziemiec zawahał się.

– Widzi pan – zauważył. – Jest pewna trudność. Takie transakcje robi się z rączki do rączki. Gotówka w zamian za walizkę z towarem i do widzenia. Żadne czekki lub weksle. Jeden płaci, drugi od razu znika. A że, jak pan sam zaznaczył, nie znamy się, więc nie możemy tej transakcji dokonać. Umówienie się z panem na przykład na jutro to już dużo większe ryzyko niż rozmowa z przygodnie spotkanym człowiekiem w cztery oczy w przedziale kolejowym. Wtedy, obawiam się, że mógłby pan przyjść nie sam.

– Ja też bym się bał przyjść – odparował grubas. – Bo nie byłbym pewien, czy i pan nie będzie w towarzystwie.

– Widzi pan, jak to jest...

– Dlatego też myślałem o szybkiej transakcji – dodał fabrykant – tu na miejscu, w tym przedziale.

Blondyn ożywił się.

– Naprawdę ma pan przy sobie pieniądze? Trzydzieści tysięcy marek?

– Mam – w głosie grubasa zadźwięczała duma. – Tak się

składa, że właśnie wiozę z Hamburga pieniądze. Nie brałem cze-
ku ani przelewu, bo mam dzisiaj wypłatę.

– Hm... – nieznajomy jeszcze nie mógł się zdecydować. –
Hm... No dobrze, pan płaci trzydzieści tysięcy i zabiera walizkę, a
ja wysiadam na najbliższej stacji. Umowa stoi?

– Stoi!

Grubas rozpiął kamizelkę i z wewnętrznych kieszeni kolejno
wyciągnął trzy paczki banknotów stumarkowych. Na banderoli
bankowej zaznaczono, że paczka zawiera dziesięć tysięcy marek.

– Niech pan sprawdzi – cudzoziemiec wziął na kolana wali-
zeczkę i znowu ją otworzył. – Wszystkie paczki zawierają bank-
noty pięćdziesięciomarkowe.

To mówiąc wyjmował z walizki paczki z pieniędzmi i demon-
strował je grubasowi tak, aby ten widział, że pod banderolą są
rzeczywiście banknoty, a nie odpowiednio przycięty papier.

– Proszę przeliczyć pierwszą lepszą paczkę – zaproponował.

Fabrykant wziął jeden zwitek banknotów i sprawdził.

– Zgadza się. Moje pan też może liczyć.

– Wierzę na słowo.

Cudzoziemiec niedbałym ruchem schował trzydzieści tysięcy
marek do kieszeni. Pociąg właśnie zaczął zwalniać, znak, że zbli-
żał się do jakiejś kolejnej stacji. Mężczyzna wstał i powiedział:

– A więc dobiliśmy interesu. Nie mówię do widzenia, bo
więcej pan mnie nie zobaczy. Więc tylko powodzenia w intere-
sach.

Cudzoziemiec skłonił się, wyszedł na korytarz i za chwilę

grubas zobaczył go na peronie. Pociąg ruszył w dalszą drogę. Walizeczka z czarnej skóry leżała na ławce pod oknem. Fabrykant spoglądał na nią z lubością. Oczywiście, że z puszczeniem w obieg tak doskonale podrobionych pieniędzy nie będzie miał żadnego kłopotu. Już dzisiaj przynajmniej część tych marek wypłaci swoim ludziom. Resztę też upłynni się bez trudu. Siedemdziesiąt tysięcy zysku za kilka minut rozmowy i szybką decyzję. Trzeba mieć trochę szczęścia i głowę na karku. Gruby Niemiec nawet nie zauważył, kiedy pociąg zatrzymał się na następnej stacji. Jego przyjemne marzenia przerwał dopiero odgłos otwieranych drzwi. Spojrzał i zdrętwiał. Na korytarzu stał umundurowany policjant.

– To pańska walizka? – spytał surowym tonem, pokazując na czarny pakiet leżący na ławce.

Grubas tak poczerwieniał, że mało krew nie trysnęła mu z policzków.

– Nie... – jękał się. – Skądże znowu. Nie moja... Pierwszy raz ją widzę...

Policjant wszedł do przedziału i wziął walizeczkę do ręki.

– Czego to ludzie nie potrafią zapomnieć w wagonie kolejowym – roześmiał się. – Ale nie często się zdarza, żeby ktoś zostawił w przedziale walizkę ze stu tysiącami marek. Przepraszam pana, do widzenia.

Przedstawiciel władzy zasalutował i delikatnie zamknął za sobą drzwi przedziału. Za chwilę pociąg ruszył w dalszą drogę.

*

– Daję słowo – roześmiał się mój przyjaciel Henio MacAreck kończąc swoje opowiadanie – że zrzekłbym się do ostatniego

feniga mojego zysku, aby tylko zobaczyć minę, jaką miał ten grubas w tamtym momencie.

– No, a ten policjant? Nie aresztował cię?

– Przeceniłem cię przed chwilą – stwierdził mister MacA-reck. – Dlaczego miałby mnie aresztować? Po wyjściu z wagonu, bo chyba nie wątpisz, że to ja byłem tym cudzoziemcem, natychmiast poszedłem do zawiadowcy stacji i zameldowałem, że w trzecim przedziale drugiego wagonu zapomniałem małej, czarnej walizeczki, w której znajduje się sto tysięcy marek, dwadzieścia paczek pięćdziesięciomarkówek. Opisałem też, że w tym przedziale jedzie jeden człowiek. Dodałem, że ofiaruję pięćset marek nagrody, jeżeli szybko odzyskam swoją własność. Zawiadowca natychmiast chwycił za telefon, zadzwonił do następnej stacji i wszystko powtórzył swojemu koledze. Tamten posłał policjanta do wagonu i w ten sposób ci trzech dzielni ludzie zarobili trochę marek, a ja nieco więcej takich samych banknotów. Wszystko poszło tak sprawnie, że już za dziesięć minut miałem wiadomość, abym się nie denerwował, bo walizka odnalazła się i policjant wiezie ją motocyklem do naszej stacji. Nie upłynęło i następne dwadzieścia minut, kiedy była z powrotem w moim ręku.

Z emocji jednym haustem wypilem całą zawartość kieliszka. Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

– Nie rozumiem jednak, dlaczego facet nie przyznał się do tego, że walizka stanowi jego własność – zauważyłem.

– Nie mógł się przyznać do posiadania fałszywych banknotów. Na widok policjanta natychmiast przyszło mu do głowy, że przedstawiciel władzy ściga fałszerza pieniędzy i wie, że w

walizce są fałszywe banknoty. Wybrał więc mniejsze zło, wolał stracić trzydzieści tysięcy i nie być wmieszanym w aferę fałszowania lub puszczenia w obieg fałszywych pieniędzy. Za takie figle kary są przecież bardzo surowe. Po prostu, jak to z góry bezbłędnie przewidziałem, stwierdził, że walizka nie jest jego własnością. Zresztą opisałem dokładnie walizeczkę, podałem, że widnieją na niej moje inicjały „H. M.”, a wewnątrz naklejony jest mój adres. Grubas wiedział, że jeżeli nie przyzna się do własności walizki, to nikt go nie posądzi o to, że poważny przemysłowiec kupił od fałszerza sto tysięcy fałszywych marek za jedną trzecią ich nominalnej wartości. Sam widzisz, w takiej sytuacji musiał zaprzeczyć, że pakiecik jest jego własnością.

– Zręcznie – przyznałem – tylko skąd wzięłeś fałszywe banknoty? I to w takiej ilości?

Henio znowu parsknął śmiechem.

– Przecież nieraz ci mówiłem, że żeby zarobić, trzeba mieć pomysł i pieniądze. Banknoty były autentyczne. Sam je podjąłem tego ranka w banku. Na tym polega cały dowcip. Wszystko było tak zorganizowane, że niczym nie ryzykowałem.

– Jednakże ryzykowałeś – broniłem się – choćby tymi siu tyśiącami marek. Mogłeś ich już więcej nie zobaczyć.

– Nie. Z chwilą kiedy zainkasowałem trzydzieści tysięcy marek, sprawa była definitywnie przesądzona. Nie było już odwrotu. Musiałem wygrać.

– No, niekoniecznie – ciągle nie chciałem uznać się za pokonanego. – Gdyby gruby pan spostrzegł się, że marki są prawdziwe, z tobą i z twoimi pieniędzmi byłoby znacznie gorzej.

– I w tym przypadku nic nie ryzykowałem. Walizka była bezspornie moja. Mogłem na to przedstawić dowolną liczbę świadków, ze służbą hotelową włącznie. Zresztą zabezpieczyłem się w jeszcze jeden sposób. Na dnie walizeczki wklejony był mój adres. Wspominałem ci zresztą o tym. Nie, nic by nie pomogło, fabrykant musiał przegrać.

– A gdyby zaryzykował i powiedział, że kupił te banknoty za trzydzieści tysięcy marek, myśląc, że są fałszywe.

– Zaprzeczyłbym kategorię. Banknoty były autentyczne. Miałem dowód, że podjąłem je osobiście z banku. Twierdzenie przemysłowca, że kupił je za trzecią część nominalnej wartości, wyglądałoby całkowicie niepoważnie i nieprawdziwie. Wyobraź siebie w roli urzędnika policji czy nawet sędziego. Przychodzi do ciebie dwóch facetów. Jeden twierdzi, że zapomniał w wagonie walizeczki ze stu tysiącami marek, drugi zaś opowiada fantastyczną historyjkę, że ta walizeczka stanowi jego własność, bo przed chwilą kupił ją za trzydzieści tysięcy. Komu uwierzysz?

Roześmiałem się. Spryciarz ma stu procentową rację. Nie było chyba na świecie człowieka, który dałby wiarę tak naiwnemu tłumaczeniu.

– Wspaniale to wykombinowałeś – stwierdziłem i podnosząc swój kieliszek w górę dorzuciłem. – A więc zdrowie naszego kochanego fundatora z Hamburga.

Obaj wypiliśmy do ostatniej kropelki.

– Co było dalej?

– Cóż być mogło? Uradowany z otrzymanej nagrody policjant był tak uprzejmy, że odwiózł mnie na motorze do samego Hamburga, prosto do mojego hotelu. Widocznie bał się, że roztargniony cudzoziemiec po raz drugi zgubi swoją cenną walizeczkę.

W hotelu natychmiast uregulowałem swój rachunek i najbliższym pociągiem wyjechałem do Holandii. Za kilka godzin mijałem granicę.

– Dlaczego tak się śpieszyłeś? Obawiałeś się, że jednak fabrykant złoży skargę do policji o wyłudzenie trzydziestu tysięcy marek?

– Nie. Wiedziałem, że nikomu nigdy się nie pochwali, jaki to dobry interes zrobił w czasie podróży z Hamburga do Lubeki. Ale rzeczywiście bałem się. Nie zapominaj, że Hamburg jest nie tylko jednym z największych portów na świecie, wielkim milionowym miastem oraz centrum przemysłu. To także zbiorowisko rozmaitego rodzaju mętów i szumowin. Jeżeli ja mogłem dać policjantowi pięćset marek, to mój grubas mógł także poświęcić podobną kwotę w zamian za przyjemność przeczytania krótkiej notatki w miejscowej prasie o znalezieniu w jednym z kanałów portowych nieznanego obywatela amerykańskiego, Henry MacArecka, z nożem w plecach. Uważałem, że nie mam prawa narażać mojego grubasa na dalsze wydatki i wolałem opuścić Hamburg.

– A jednak mogłeś nie zarobić tych trzydziestu tysięcy marek.

– Dlaczego? – Henio był naprawdę bardzo zdziwiony. – To niemożliwe. Przewidziałem wszystkie okoliczności. Jak gracz w szachy, który oblicza trzy ruchy naprzód.

– Twój przemysłowiec mógł się nie zgodzić na kupno fałszywych banknotów.

MacAreck spojrział na mnie jak na wariata.

– Niby mógł – przyznał po chwili milczenia. – Ale nie ma tak bogatego człowieka, który nie chciałby mieć jeszcze więcej pieniędzy. Na tym się jeszcze nie zawiodłem i nigdy się nie

zawiodę. Ani ja, ani do mnie podobni. Tak jest i tak było od początku świata... – toteż z tego rodzaju przeszkodą nie liczyłem się ani przez moment. Nie zawiodłem się zresztą.

– A ty, czy nie myślałeś nigdy o sobie? Czy nie znajdzie się ktoś, kto i ciebie „przerobi” w ten sam sposób?

– Mnie? – Henio zdziwił się po raz drugi. – Mnie nigdy!

– Pamiętaj, że słowo „nigdy” nie istnieje w słowniku ludzi mądrych.

Wypiliśmy w milczeniu.

Rozdział VIII

Rozprawa o zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama rozpoczęła się następnego dnia wręcz sensacyjnie. Przed kratkami dla świadków stanęła pani Maria N., kobieta w wieku około lat czterdziestu. Po sprawdzeniu personaliów świadka i uprzedzeniu przez przewodniczącego kompletu sędziowskiego o obowiązku świadka mówienia prawdy, Maria N. rozpoczęła składanie zeznań. Potwierdziła ona, że zna oskarżonego, jak i jego zmarłą żonę, już od kilku lat. W dniu poprzedzającym znalezienie w wodach Odry zwłok zamordowanej świadek spotkał oskarżonego na nadbrzeżu Odry.

Szedł on w stronę bulwaru Vasco da Gama i niósł wielką, brązową walizkę. Paczka musiała być ciężka, bo Józef M. był bardzo zmęczony. Całe czoło miał zroszone potem. Maria N., składając te tak ważne dla oskarżenia zeznania, twierdziła, że widziała oskarżonego już z daleka, jak niosąc swój ciężar kilkakrotnie przystawał dla odpoczynku. Świadek zaczęła nawet znajomego, chwilę z nim rozmawiała, ale nie wie, co było w walizce. Świadek przypomina sobie, że spotkanie to odbyło się na pewno w dniu poprzedzającym znalezienie zwłok.

Oskarżony zapytany przez prokuratora, czy istotnie takie spotkanie zdarzyło się, kategorycznie temu zaprzeczył. Później jednak, gdy w czasie konfrontacji Maria N. podawała bardzo

dokładne szczegóły spotkania, a nawet określiła, jak Józef M, był ubrany, oskarżony zmienił taktykę i „przypomniał sobie”, że istotnie, na kilka dni przed zaginięciem żony spotkał Marię N. Tylko wówczas niósł małą walizeczkę i nie szedł w stronę bulwaru Vasco da Gama, lecz w zupełnie przeciwnym kierunku, w stronę dworca kolejowego. Na pytanie przewodniczącego sądu oskarżony wyjaśnił, że wracał do domu i wybrał trochę dłuższą drogę, żeby przejść się po całym dniu pracy w Powszechnym Domu Towarowym.

Obrona przystąpiła do huraganowego ataku na świadka. Marii N. zadawano całą masę podstępnych pytań, chcąc podważyć jej zeznania, zwłaszcza ich część dotyczącą daty spotkania. Świadek musiał więc dokładnie opisywać, jaka w tym dniu była pogoda, co grano w najbliższym kinie itp. Pomimo całego sprytu obrony świadek wyszedł zwycięsko z tego pojedynku. Żadnemu z adwokatów nie udało się wykazać w zeznaniach Marii N. jakiegokolwiek sprzeczności.

Na pytanie obrony, dlaczego tak późno zgłosiła się do prokuratora ze swoimi informacjami, świadek wyjaśniła, że początkowo nie przywiązywała żadnej wagi do tego spotkania i nie łączyła go z dokonaną zbrodnią. Dopiero po przeczytaniu w „Kurierze Szczecińskim” obszernego streszczenia dowiedziała się o odkryciu dużej, brązowej walizki w pobliżu miejsca znalezienia zwłok i fakt ten skojarzyła ze spotkaniem oskarżonego dźwigającego ciężki pakunek. Dlatego też następnego dnia zgłosiła się do komendy milicji i złożyła wyjaśnienia. Z kolei milicja skierowała ją do prokuratora oskarżającego w procesie. To spowodowało, że skomunikowała się z prokuratorem dopiero po zakończeniu pierwszego dnia rozprawy.

Na polecenie sądu woźny przyniósł na salę rozpraw dużą, brązową walizkę bez wierzchniej pokrywy. Kobieta uważnie obejrzała walizkę i oświadczyła, że jeśli chodzi o wielkość i kolor, to okazany jej przedmiot mógł być walizką, którą niósł owego dnia oskarżony. Jednakże nie może kategorycznie odpowiedzieć, że widziała właśnie tę samą walizkę.

Obrona natychmiast wykorzystwała maleńką lukę w zeznaniach Marii N. i umiejętnym stawianiem pytań zmusiła świadka do stwierdzenia, że okazana jej walizka może nie być walizką dźwiganą w pocie czoła przez oskarżonego.

– Może ta walizka, może inna, podobna, na wielkość i kolor taka sama, ale przysiąc nie mogę.

Ten drobny sukcesik obrony nie zdołał przesłonić faktu, że zeznania świadka w gruncie rzeczy przesądziły już winę oskarżonego. Wyrok skazujący nie ulegał teraz żadnej wątpliwości. Co zaś do wysokości wymiaru kary obrona była tu, jak zresztą zwykle przy poszlakówkach, w bardzo niewygodnej sytuacji. Nie mogła dezawuować zeznań oskarżonego, który twierdził, że jest niewinny zarzucanego mu czynu: zamordowania żony. Tym samym obrona nie mogła też wskazywać okoliczności łagodzących, na przykład dowodzić, że zabójstwo zostało dokonane nie z chęci zysku, lecz w czasie gwałtownej sprzeczki w uniesieniu. Obaj adwokaci występujący w procesie doskonale rozumieli swoją sytuację, z wyrazu ich twarzy widać było, że bronią beznadziejnej sprawy. Trzeba jednak przyznać, że zarówno wówczas, w czasie tych sensacyjnych zeznań, jak później, aż do końca procesu, obrona zaciekle walczyła o życie swojego klienta. Starła się złagodzić każdy atak prokuratora, podważyć każde niekorzystne

dla oskarżonego zeznanie.. Obaj adwokaci mieli ciężkie i niewdzięczne zadanie, ale usiłowali wypełnić je jak najlepiej.

Prokurator dotrzymał słowa danego prasie, że dzisiejsza rozprawa będzie jednym wielkim aktem oskarżenia. Następnym świadkiem była znowu kobieta – pani Z., przyjaciółka oskarżonego. W obawie o własną skórę, aby nie zostać wplątana do procesu jako współoskarżona lub jako ta, która namówiła męża do zamordowania żony, pani Z. nawet nie usiłowała bronić kochanka. Przeciwnie, jej słowa umacniały prokuratora w dowodzeniu, że jedynym człowiekiem zainteresowanym w usunięciu żony mógł być właśnie jej mąż.

Pani Z. przyznała, że od dwóch lat utrzymuje bliższą znajomość z oskarżonym. Ten nieraz jej mówił, że porzuci żonę. Wyrażała ona rzekomo chęć powrotu do rodziny w ZSRR. Świadek była kelnerką w jednym z zakładów gastronomicznych w Szczecinie. Dowiedziała się, że są możliwości uzyskania koncesji na otworzenie prywatnej kawiarni nad Jeziorem Głębokim, ulubionym miejscem plażowym mieszkańców Szczecina. Kiedy podzieliła się tą wiadomością z przyjacielem, ten zdecydował, że wspólnie będą starali się o koncesję. On rzuci dotychczasową pracę w PDT, ona rozstanie się ze swoją restauracją i oboje poprowadzą kawiarnię.

Na pytanie pani Z., skąd wezmą pieniądze na niezbędną inwestycję, a potrzeba było na taki interes co najmniej 50–60 tysięcy złotych, przyjaciel wyjaśnił, że jego żona ma dużo biżuterii i „to się sprzeda”, a resztę pożyczycy od kilku przyjaciół. O pieniądze zmartwienia nie ma. Na otwarcie kawiarni wystarczy, a potem będą inwestowali z pierwszych zysków dawanych przez lokal.

Pani Z. przyznała, że własnych pieniędzy nie miała i w ewentualnej spółce mogła służyć jedynie swoją pracą i doświadczeniem, jakie nabyła będąc przez kilka lat kelnerką w różnych restauracjach i kawiarniach Szczecina.

Po zeznaniach przyjaciółki oskarżony składał wyjaśnienia. Zaprzeczył, jakoby miał obiecywać pani Z. małżeństwo i mówić jej o projektach wyjazdu żony z Polski. Na założenie kawiarni część pieniędzy miał pożyczyć od znajomych, a dla zdobycia reszty zamierzał przyjąć trzeciego wspólnika z odpowiednim kapitałem. O biżuterii żony wspominał tylko mimochodem, że ewentualnie poprosi, aby dała w zastaw złoto jako gwarancję zwrotu pożyczki. Kategoriecznie też zaoponował przeciwko twierdzeniu świadka, że użył słów „to się sprzeda”.

Następnymi świadkami byli pracownicy Powszechnego Domu Towarowego w Szczecinie – koledzy i koleżanki oskarżonego. Zeznali, że w dniu poprzedzającym znalezienie zwłok zamordowanej oskarżony około południa zaczął się skarżyć na silny ból głowy, a w dwie godziny później poprosił kolegów o zastąpienie go i opuścił pracę. Oskarżony wyjaśnił, że fakt wcześniejszego wyjścia z PDT istotnie się wydarzył, ale ze względu na ból głowy nie powrócił wówczas do domu, tylko pojechał nad Jezioro Głębockie, licząc, że spacer na świeżym powietrzu usunie chorobę. W domu zjawił się dopiero wieczorem, lecz żony w nim nie zastał. Ponieważ wiedział, że wybierała się do Legnicy, nie zaniepokoiła go jej nieobecność.

Świadkowie, najbliżsi sąsiedzi oskarżonego, mieszkający w tym samym domu przez ścianę, opowiedzieli sądowi, że w przeddzień makabrycznego odkrycia wędkarzy słyszeli w mieszkaniu oskarżonego podniesione głosy, jak gdyby sprzeczki małżeńskiej.

Było to około godziny piętnastej. Potem sprzeczka przeszła w bójkę czy też szamotanie. Kobięcy głos – żony oskarżonego – wzywał ratunku. W końcu wszystko ucichło, więc nikt nie interweniował. Później odgłosy uderzeń, jak gdyby ktoś rąbał drzewo, i szmery napełniania wanny wodą nie skojarzyły się im z poprzednią awanturą. Ale od tej pory żaden z sąsiadów nie widział już żony oskarżonego. Żaden też nigdy nie widział, żeby zmarłą kiedykolwiek odwiedzali wojskowi. Również zamordowana nigdy nie opowiadała sąsiadkom i przyjaciółkom o tym, że robi interesy z oficerami. Nieraz natomiast skarżyła się na zdecydowanie złe pożycie małżeńskie i na zdradzanie jej przez męża. Zmarła była z zawodu krawcową i zarabiała dość dobrze pracą chałupniczą. Wciągnęła do tego zajęcia sąsiadki. Z kolei prokurator i obrona zadawali świadkom szereg pytań dotyczących ubiorów – sukien i płaszczy posiadanych przez zmarłą. Jak wiadomo, w mieszkaniu oskarżonego znaleziono wszystkie ubrania jego żony. Oskarżony zeznał, że wyjechała ona do Legnicy w zielonym płaszczu, czarnej spódnicy i popielatym swetrze. Żadna z sąsiadek i przyjaciółek zmarłej nie widziała u niej nigdy takiego stroju. Na dowód prawdziwości swoich zeznań świadkowie dużo mówili o ubraniach zamordowanej. Opisy dwóch płaszczy i różnych sukien oraz bluzek i swetrów zgadzały się ze spisem rzeczy zmarłej, ustalonym przez milicję w czasie rewizji w domu oskarżonego. Znowu obrona odniosła połowiczny sukces „wyduszając” ze świadków zeznanie, że nie wykluczają posiadania przez zmarłą takiego stroju, w jakim rzekomo miała wyjechać do Legnicy – tylko go nigdy nie pokazywała przyjaciółkom.

Prokurator złożył również świadectwo biegłych sądowych lekarzy. Stwierdzili oni, że zwłoki zamordowanej przebywały w rzece około 24 godzin, a śmierć nastąpiła na kilka godzin przed utopieniem. Zwłoki zostały poćwiartowane jakimś dużym narzędziem – siekierą lub tasakiem – przez osobę, nie mającą fachowych wiadomości z dziedziny anatomii. Był to dla oskarżenia bardzo ważny dokument – ustalał bowiem czas morderstwa na okres, kiedy to oskarżony opuścił pracę pod pozorem bólu głowy.

Wszystkie te zeznania i ciągłe utarczki obrony z prokuratorem oraz dodatkowe wyjaśnienia oskarżonego składane po prawie każdym przesłuchaniu kolejnych świadków zajęły sądowi cały dzień, tak że było dobrze po piątej po południu, gdy przewodniczący ogłosił przerwę do następnego ranka.

Tego wieczoru nie spotkałem w ogóle mojego przyjaciela. Zanim napisałem sprawozdanie i migawki z procesu i uzyskałem połączenie z Warszawą, aby przekazać telefonicznie te wiadomości, zrobiło się dość późno. Zjadłem coś naprędce w barze samoobsługowym i zmęczony po ciężkim dniu od razu poszedłem spać.

W ostatnim dniu postępowania dowodowego zeznawali liczni świadkowie obrony. Byli to przeważnie koledzy i przyjaciele oskarżonego. Mówili o nim raczej dodatnio, podkreślając jego uczciwość w pracy, koleżeńskość i uczynność. Kilku z tych świadków zeznało również, iż wiedziało o planach otwarcia kawiarni nad Jeziorem Głębokim i gotowych było służyć oskarżonemu pomocą materialną w formie pożyczki. Wszystkich tych świadków obrona wezwała w celu przekonania sądu, że człowiek o tylu zaletach nie może być mordercą własnej żony. Zeznania

ich nie odparły jednak bezpośrednio żadnego zarzutu aktu oskarżenia. Poza tym obrona przedstawiła sądowi, opinię z zakładu pracy, stwierdzającą, że oskarżony był dobrym fachowcem, pracował sumiennie i otrzymywał premie oraz nagrody. Po wyczerpaniu listy świadków i odczytaniu zeznań tych, którzy z usprawiedliwionych powodów nie mogli się stawić osobiście, sąd zamknął postępowanie dowodowe i odroczył rozprawę do następnego dnia. Miał to być już ostatni akord procesu o „zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama”, zawierający przemówienia prokuratora, obrony i ostatnie słowo oskarżonego. Dzięki nieocenionym znajomościom naszego kolegi z „Kuriera Szczecińskiego” wiedzieliśmy już, że prokuratura będzie żądała kary śmierci. Obronie wobec taktyki oskarżonego nieprzyznawania się do winy nie pozostawało nic innego jak polemika z oskarżeniem i domaganie się wyroku uniewinniającego. O taki wyrok miał również prosić sam oskarżony.

Gdy wróciłem do hotelu, popielaty mercedes mister Henry MacArecka stał już na parkingu. Tego dnia mój przyjaciel był trochę markotny. Aby go rozchmurzyć, zaproponowałem odwiedzenie „Szczecińskiego Klubu Tenisowego”, gdzie na pięknie zadrzewionym terenie można obserwować walki i pogonie za białą piłeczką, a jednocześnie popijać kawę podawaną przez miłą gospodynię malutkiego barku. Moje lekarstwo było skuteczne, bo Henio szybko się rozruszał i jego zły humor (czyżby spowodowany jakimś nieporozumieniem ze „sztuką piękną” w Międzydrojach?) minął bez śladu. Skorzystałem z tego i poprosiłem go o opowiedzenie jakiejś nowej przygody z jego życia.

– Widzę, że ty mnie masz tylko za łobuza i naciągacza –

powiedział mój przyjaciel. – Sądysz, że nie robiłem nic innego, tylko organizowałem różne „skoki”. A to nie jest prawda. Czasem organizowało się coś takiego, ale wyłącznie wówczas, gdy miałem do czynienia z kanciarzami i gdy pragnęli oszukać mnie tak, jak oszukiwali przede mną setki innych. Byłem tym przysłowio- wym kamieniem, na którym łamały się co najtęższe kosy amerykańskiego businessu. Poza tym, dorobiwszy się trochę grosza, handlowałem uczciwie, czasami zagrałem na giełdzie, a nieraz, nie zapominając o własnym zysku, ratowałem innych od ruiny. Taka na przykład sprawa „białego łososa” – dzięki mnie wielu ludzi nie straciło swoich oszczędności, a wielu robotników nie zostało pozbawionych pracy.

– W takim razie opowiedz mi o „białym łososiu” – nalega-
łem.

Siedzieliśmy w wygodnych fotelikach pod starym kaszł ta-
nem. Tuż przed nami, odgradzeni tylko siatką, młodzi chłopcy w
białych strojach uganiaли się po kortach z raketami w rękach. Był
miły, ciepły wieczór. Do lipcowego zmierzchu brakowało jeszcze
paru godzin, ale żar upału już zelżał. Takie piękne letnie wieczory
zdarzają się chyba tylko w Szczecinie. Dopelnieniem przyjemno-
ści, była młodzież grająca w tenisa, mocna jak samo piekło kawa
i płyn podany w smukłych kieliszkach. Henio swoim sokolim
okiem dojrzał go od razu na najwyższej półce baru.

– Co za kraj! Co za wspaniały kraj! – powtarzał w rozmarze-
niu mój przyjaciel. – O ile tu piękniej i milej niż na Alasce.

– To i na Alaskę zawędrowałeś? Nic mi o tym nie wspomina-
łeś.

– Właśnie teraz opowiem ci o „białym łososiu” i o Alasce.

*

Rzeki Alaski są bardzo rybne. Wśród wielu gatunków ryb żyjących w tych wodach najbardziej popularną jest jedna, zwana przez tubylców „białym łososiem”. Wszyscy czytelnicy książek Jacka Londona, opisujących surowe piękno Północy pamiętają, jak to „Wyga” i inni bohaterowie lodowej pustyni karmili psy suszoną, zmarzniętą rybą. To był właśnie biały łosoś.

Czasy się zmieniają? Alaskę pokryła sieć autostrad i lotnisk. Potomkowie bohaterów Londona nie używają już „na szlaku” bata do poganiania psich zaprzęgów. Przebywają odległość między Dawson z Czterdziestą Milą w wygodnych, ogrzewanych samochodach. W razie śnieżycy czeka na nich ogrzany motel przy stacji benzynowej. A samochód, jak wiadomo, nie potrzebuje białego łososa. Wystarczy mu pełen bak benzyny.

Dlatego też biała ryba jest najtańszą chyba rzeczą na północ od granicy Kanady. Gdy każdą wiosną wielkie stada łososi wędrują w głąb lądu, na łachach rzek gniją setki, a nawet tysiące tych ryb. Nie opłaca się jej po prostu wyciągać z wody.

Ktoś rzucił hasło wybudowania nad Jukonem wielkiej fabryki przetworów rybnych, pracującej na miejscowej bazie surowcowej, zajmując się przede wszystkim przetwórstwem białego łososa. Taka fabryka byłaby dobrodziejstwem dla ludności osiadłej nad brzegami rzek. Dawałaby pracę również sporej liczbie robotników. Rozwój gospodarczy Alaski opiera się głównie na kopalniach złota. Jednakże w miarę wyeksploatowania pokładów

i wobec coraz większej mechanizacji pracy zatrudniają one coraz mniej ludzi. O stałe zajęcie w miastach Alaski bynajmniej nie jest łatwo. Lata wbijania palików w złotodajne działki i zdobywanie fortuny przez zwycięstwo w wyścigu psich zaprzęgów przeszły do historii. Romantyzm Surowej Północy ustąpił przed wieżami wysokiego napięcia i mechanicznymi koparkami.

Inicjatywę budowy fabryki przetworów rybnych poparły miejscowe władze. Zawiązało się towarzystwo akcyjne, któremu przyznano koncesję na zakup i przerób białego łosia. Emitowano akcje. W większości dostały się one w ręce drobnych posiadaczy. Zwłaszcza kupowali je mieszkańcy osad nadrzecznych, aby w ten sposób, zapewnić sobie w przyszłości zbyt ryby do „własnej fabryki”. Pod naciskiem władz stanowych miejscowe banki udzieliły nowo powstałemu konsorcjum odpowiednich średnio-terminowych kredytów.

Za gwarancje bankowe zakupiono maszyny i inne urządzenia. Wzniesiono budynki, zmontowano maszyny do przerobu ryby i do produkcji puszek. Wobec wielkich odległości od innych centrów przemysłowych trzeba było na miejscu stworzyć uniwersalny kombinat, który produkowałby z cynkowej blachy puszki, przerabiał ryby na konserwy, zamykał je w puszki, a z odpadów wyrabiał mączkę rybną.

Wreszcie wszystko było gotowe i fabryka ruszyła. Niewykwalifikowani robotnicy szybko nauczyli się nowego zawodu. Samochodami, statkami zwożono ze wszystkich stron ogromne ilości białego łosia. W magazynach fabryki rosła sarta gotowych puszek.

Gotowy towar wędrował następnie do sklepów w całych

Stanach Zjednoczonych. Już po paru tygodniach wielkie hurtownie zawiadomiły zarząd konsorcjum, że wiadomości z rynku zbytu są niewesołe. Detaliści skarżą się, że towar „nie chwycił”, sprzedaż idzie bardzo opornie.

Wobec tego przeprowadzono wielką i kosztowną reklamę w całej prasie amerykańskiej. Na autostradach pojawiły się ogromne napisy „Jedź tylko łososia z Alaski”. Rezultat był równy zeru. Sprzedaż wyrobów rybnych nie tylko się nie zwiększyła, ale nawet w porównaniu z wynikami uzyskanymi w pierwszych tygodniach po uruchomieniu kombinatu – wyraźnie spadła. I mimo uruchomienia olbrzymiej i kosztownej maszyny reklamowej, nadal spadała. Po prostu amerykańscy konsumenci nie chcieli kupować wyrobów z Alaski.

Długo obradował zarząd konsorcjum. Ścierały się różne zdania. Kwestionowano jakość konserw rybnych. Dyrektor techniczny dowiódł jednak na podstawie najrozmaitszych analiz i opinii fachowców, że wyroby fabryki nad Jukonem nie ustępują w smaku najlepszym produktom rybnym innych zakładów przemysłowych – nie tylko w USA, ale fabryk europejskich, nie wyłączając najwyższej cenionego w świecie przemysłu rybnego ZSRR. Swoje porażki na rynku dyrekcja tłumaczyła silną reklamą już istniejących fabryk i koniecznością uatrakcyjnienia wyrobów „made in Alasca” na rynku amerykańskim. Wobec tego rada nadzorcza zdecydowała się na bardzo poważne obniżenie cen i udzielania specjalnych premii sprzedawcom, mogącym się poszczycić najlepszymi sukcesami w wprowadzaniu na rynek nowych wyrobów.

Upłynął znowu pewien okres i dyrektor handlowy musiał swoim kolegom z zarządu zakomunikować nieprzyjemną wiadomość

– zamiast zwiększyć się, sprzedaż jeszcze bardziej spadła. Fabryka poniosła ogromne straty. Dalsze obniżanie cen stało się niemożliwe. Już i tak sprzedawano wyroby niżej kosztów własnych. W tych warunkach banki zaniepokojone sytuacją materialną konsorcjum, mimo nacisku władz stanowych, zdecydowały się na wypowiedzenie kredytu. Business is business. Żadne względy nie mogły grać roli, gdy chodziło o opłacalność nakładów bankowych.

Konsorcjum stanęło przed widmem bankructwa. Było jasne, że można pociągnąć jeszcze dwa, trzy miesiące i trzeba będzie ogłosić niewypłacalność. W tej sytuacji najwyższy skarb państwa wyegzekwuje swoje należności za zaległe podatki, a banki – za gwarancje i kredyty.

Natomiast masa drobnych ciułaczy i rybaków nadbrzeżnych straci całe swoje oszczędności. Zarząd konsorcjum obradował prawie bez przerwy.

W czasie jednego z tych burzliwych posiedzeń, gdy rozpaczliwie szukano sposobu uniknięcia katastrofy, jeden z członków władz nadzorczych zabrał głos i wystąpił z dziwną propozycją. Oświadczył on, że ma przyjaciela – amerykańskiego finansistę – odznaczającego się wielkim sprytem i pomysłowością. Należy – zdaniem tego członka rady nadzorczej – wezwać owego dżentelmena i poprosić go o pomoc. Ostatecznie nie ma w tym żadnego ryzyka, bo i tak sytuacja firmy jest beznadziejna. Propozycję zaakceptowano i jeszcze tego samego dnia wysłano telegram do Nowego Jorku, do niejakiego pana Henry MacArecka.

Odpowiedź nadeszła również telegraficznie. Mister MacAreck zasadniczo przyjął propozycję zajęcia się ratunkiem konsorcjum rybnego, prosił jedynie o przysłanie mu szczegółowych danych,

dotyczących sytuacji firmy, jak bilans, lista wierzycieli, terminy płatności i sposób sprzedaży wyrobów firmy. Po otrzymaniu tych danych finansista zastrzegł sobie dwa tygodnie do namysłu i rozważenia się w sytuacji. Po tym terminie przybył na Alaskę i zażądał zwołania posiedzenia władz spółki.

W swoim referacie pan MacAreck dokonał szczegółowej analizy sytuacji przedsiębiorstwa. Wadą firmy było opieranie się wyłącznie na kredycie bankowym. Właśnie to stworzyło groźbę upadłości, gdy banki wypowiedziały kredyty i odmówiły dalszego dyskonta weksli. Droga emisji należało gromadzić własne środki materialne, pozwalające fabryce przetrwać krytyczny okres.

Przedstawiciele zarządu wyjaśnili, że udziałowcami spółki są przede wszystkim rybacy i drobni posiadacze miejscowi. Wielki kapitał nie interesował się tego rodzaju lokatą, a co do kredytów bankowych, to uzyskano je jedynie dzięki naciskowi władz stanowych, zainteresowanych uprzemysłowieniem tego terenu i zwalczaniem bezrobocia. Dlatego też banki skorzystały z pierwszej nadarzającej się okazji i wypowiedziały kredyt.

Pan MacAreck przyjął to tłumaczenie do wiadomości, podkreślając, że jego uwagi miały charakter teoretycznych rozważań, bo i tak nie ma żadnych możliwości odrobienia tego błędu. Gdyby się bowiem wypuściło nawet nową emisję akcji, nie znajdzie ona nabywców na rynku. Któż bowiem kupi akcje firmy, o której wiadomo, że stoi na progu bankructwa? Zresztą czy właśnie to jest główną przyczyną trudności firmy? Badania przeprowadzone przez pana MacArecka wykazały, że kupujący, mimo korzystnych cen, nie chcą nabywać wyrobów z Alaski. Jakiż tego powód? Na puszkach są napisy, zgodne z prawdą, iż wewnątrz

znajduje się konserwa z łososia. Po otwarciu puszki nabywca widzi białe mięso, a przecież każdy wie, że mięso łososia jest różowe. Wobec tego nabywca uważa, że został oszukany, bo zamiast prawdziwego łososia sprzedano mu jakąś inną, gorszą rybę, prawdopodobnie dorsza. Zmysł smaku u większości ludzi nie jest tak rozwinięty jak wzrok. Konserwa jest równie smaczna jak z różowego łososia, ale nabywca postanawia nie kupować więcej wyrobów firmy, która go tak nabrała. W przeświadczeniu, że padł ofiarą oszustwa, utwierdzają go ceny. Są one dużo niższe niż na konserwy z różowego łososia. Przeciętny nabywca orientuje się, że łosoś jest jedną z najdroższych ryb. Dlatego nie dowierza firmie sprzedającej rzekomo prawdziwego łososia po tak niskiej cenie.

Po tym przemówieniu pan MacAreck wystąpił z taką oto propozycją:

1) Zarząd firmy udzieli mu sześciomiesięcznego pełnomocnictwa do jednoosobowego prowadzenia wszystkich agend spółki,

2) nowy dyrektor będzie miał prawo prowadzić własną politykę cen i warunków sprzedaży, a także będzie mógł wycofać towar znajdujący się już w sklepach,

3) zarządca tymczasowy dostarczy w tym okresie odpowiednich środków do dalszego utrzymania produkcji w ruchu,

4) zastrzeżę on sobie również prawo przeprowadzania takich kampanii reklamowych, jakie uzna za stosowne i konieczne celem wprowadzenia wyrobów firmy na rynek,

5) tytułem zysków pan MacAreck otrzyma w ciągu 3 lat połowę różnicy między cenami dziś obowiązującymi a cenami, które zostaną przez niego ustalone,

6) pan MacAreck ponosi pełną odpowiedzialność finansową za wszelkie posunięcia w ciągu sześciu miesięcy jednoosobowego zarządzania agendami firmy.

Po długiej dyskusji wszystkie te warunki zostały przyjęte przez zarząd spółki. Właściwie nie było żadnego wyboru. Albo zgodzić się na dyktat finansisty z Nowego Jorku, albo zamknąć interes...

Jednakże widząc pierwsze pociągnięcia nowego zarządcy nie-jeden z tych, którzy głosowali za oddaniem rządów firmy w jego ręce, żałował swojego kroku. Zarządzenia te były co najmniej dziwne. Pan MacAreck przede wszystkim wycofał znajdujące się w handlu zapasy konserw i sprzedał je poniżej kosztów już nie własnych, ale nawet opakowań, do jednego z państw Południowej Ameryki. Kazał także sprzedać na makulaturę wszystkie zapasy dotychczasowych opakowań. Zamiast nich zamówił inne, u najlepszych plastików, jakich tylko można było znaleźć w USA. Nowe opakowania miały wielki napis „Biały łosoś” oraz rysunek przedstawiający stylizowaną rybę w skoku przez wodospad. Zmieniono nawet kształt używanych do tej pory opakowań. Nowe były droższe, lecz znacznie ładniejsze.

Następnie finansista z Nowego Jorku nakazał zwiększenie produkcji do maksimum. Nie sprzedano jednak ani jednej puszki. Wszystkie poszły do magazynu fabryki, a stamtąd rozsyłano je do sieci własnych hurtowni, które zostały założone w stolicach wszystkich stanów oraz we wszystkich większych miastach. Członkowie zarządu i rady nadzorczej musieli przyznać, że co jak co, ale rozmach to ten „dyktator” miał niezły. Nie liczył się też z kosztami. Chociaż ani smak, ani wygląd konserw rybnych nie

uległ żadnej zmianie, to eleganckie opakowanie znacznie polepszyło ich wygląd zewnętrzny.

Wreszcie gdy wyprodukowano dostateczną, zdaniem MacA-recka, ilość konserw, nastąpiło ostatecznie uderzenie nowego zarządcy. Ogromna kampania reklamowa przeprowadzana w prasie codziennej i periodycznej, w radio i telewizji, reklama na słupach i w autobusach, wielkie neony, specjalne zabawki – małe, białe rybki – rozdawane dzieciom bezpłatnie w sklepach i domach towarowych – wszystko prowadzone było pod jednym hasłem:

NASZ ŁOSOŚ JEST NAJLEPSZY,
BO NIGDY NIE CZERWIENIEJE

W dniu rozpoczęcia tej gigantycznej akcji reklamowej puszkę z białym łososiem pojawiły się we wszystkich sklepach spożywczych. Cena towaru była znacznie wyższa, niż, sprzedawane dawniej wyroby tej samej firmy. Cena ta była nawet wyższa niż konserw rybnych produkowanych przez „konkurencję” – puszek z różowym łososiem.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Już w dwa tygodnie później rejonowe hurtownie zażądały przesłania nowej porcji towaru. Magazyny fabryki wypróżniły się szybko. Zakład przeszedł na pracę trzymianową. Rybę skupowano z całej Alaski i ustanowiono specjalne premie dla rybaków, którzy osiągną najlepsze wyniki połowów. Napięcie akcji reklamowej wprowadziło nieco osłabło, lecz nadal wszędzie widziało się powtarzany w setkach i tysiącach odbitek slogan „Nasz łosoś jest najlepszy, bo nigdy nie czerwienieje”.

Konkurencja zażądała zdjęcia tego hasła. Zdaniem innych firm to hasło tworzyło w umyśle przeciętnego odbiorcy, niezbyt biegłego w ichtologii, domniemanie, jakoby inne rodzaje łososi

miały również białe mięso, a to białe mięso nabierało innego koloru tylko w czasie przyrządzania konserwy. Używanie więc takiego hasła było – według opinii producentów konserw z łososia – „nieuczciwą konkurencją”. Przepisy prawa handlowego w Stanach Zjednoczonych (jak zresztą również w innych państwach) uważają „nieuczciwą konkurencję” za przestępstwo karne, pociągające za sobą wysokie odszkodowanie dla pokrzywdzonego takimi niedopuszczalnymi metodami działania.

Mister MacAreck kategorycznie odrzucił żądania konkurencji, aby zaprzestać stosowania dotychczasowej reklamy. Doszło do długotrwałego procesu. Zakończył się jednak zwycięstwem fabryki z Alaski. Jej adwokaci dowiedli, że słowa „nigdy nie czerwienieje” bynajmniej nie świadczą o tym, że wyrobom innych firm zarzuca się nieuczciwość lub nieumiejętność produkcji. Biegli ichtiologowie stwierdzili, że zanim małe łososie osiągną odpowiednią wielkość, mają, podobnie jak inne ryby, mięso białe. Dopiero w miarę rozwoju mięso tej ryby przybiera znany różowy kolor. I właśnie do tego okresu – dowodzili obrońcy firmy – odnosi się slogan „nasz łosoś jest najlepszy, bo nigdy nie czerwienieje”. Sąd wydał wyrok uniewinniający zarządcę firmy i oddalił pretensje o odszkodowanie, zgłoszone przez konkurencje.

*

– Jak się to wszystko skończyło? – zapytałem Henia, gdy przerwał swoje opowiadanie.

– Prowadziłem firmę nie przez sześć miesięcy, ale prawie przez półtora roku. Nie mogłem wycofać się z interesu wcześniej, bo nie chciano mnie puścić. Gdy już konsorcjum stanęło na

własnych nogach, uciekłem z Alaski z powrotem w cieplejsze strony Stanów Zjednoczonych. Boże! Jak ja tam marzyłem nad tym Jukonem! Gdy zimą człowiek splunął na mrozie, to słyszał trzask. Zanim ślina spadła na ziemię, zamieniała się w grudkę lodu. Żadne futra mi nie pomagały. Gdy przychodziły większe mrozy, takie po pięćdziesiąt stopni, kazałem przynosić do mojego gabinetu w fabryce tapczan i całymi tygodniami nie wychodziłem na dwór. Upał znoszę dobrze, ale do zimna nigdy nie mogłem się przyzwyczaić. Nawet w Polsce, kiedy temperatura spadała do dwudziestu stopni, to już miałem dosyć.

– A rozrachunki z firmą?

– Panowie z zarządu i rady nadzorczej okazali się bardzo uczciwymi i solidnymi ludźmi. Tylko trochę fajtłapami, no i nie mieli potrzebnego doświadczenia w prowadzeniu wielkiej fabryki. Rozliczyli się ze mną bardzo przyzwoicie. Zwrócili wszystkie dokonane przeze mnie nakłady, z własnej inicjatywy przyznali wysoką pensję za cały czas pracy w firmie, a następnie, zgodnie z umową, przez trzy lata płacili wysokie tantiemy. Kiedy rozstawałem się z nimi, wręczyli mi specjalny adres dziękczynny oraz wysoką premię. Ofiarowałem ją na cele dobroczynne w stanie Alaska.

– To bardzo pięknie z twojej strony.

– Nigdy nie traktowałem i nie traktuję pieniędzy jako cel sam w sobie. Raczej pasjonuje mnie ich robienie niż posiadanie. Gdy otrzymałem wtedy tę premię, byłem już dostatecznie bogaty, aby pozwolić sobie na taki gest.

– Ten pomysł z hasłem reklamowym, a właściwie nie pomysł, a po prostu dowcip, musiał ci przynieść sporą sumkę pieniędzy?

– Nie narzekam. Jeżeli chodzi o reklamę, to w Ameryce

dobry pomysł czy dobre spostrzeżenie w tej dziedzinie łatwo zamienić na pieniądze. Nie wyobrażasz sobie nawet, jaką potęgą jest amerykańska reklama. Szef reklamy to w każdym przedsiębiorstwie osoba najważniejsza po naczelnym dyrektorze. Przy ogromnej, nie przebierającej w środkach konkurencji, produkcja jest tam sprawą łatwiejszą niż organizacja sprzedaży. Ponieważ wydatki na reklamę odliczane są od podatków, niektóre gałęzie przemysłu wydają na różnego rodzaju kampanie: inseraty, audycje radiowe i telewizyjne, konkursy itp., nawet 50 procent swojego obrotu. Jedno spostrzeżenie, jakie zrobiłem w pewnym wielkim domu towarowym w Nowym Jorku, przyniosło mi dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Spostrzeżenie?

– Pewnego razu kupowałem prezent dla znajomej. Szukałem jakichś oryginalnych perfum. Stojąc przed ladą zauważyłem, że wśród klientów my, mężczyźni, znajdujemy się w ogromnej większości. Amerykanka, a jestem pewny, że również Polka, rzadko sama sobie kupuje perfumy. Znacznie częściej otrzymuje je w prezencie od mężczyzny. Zainteresowało mnie to spostrzeżenie. Sprawdziłem je w innych domach towarowych oraz w sklepach specjalnych. Jedynie w Instytucie Heleny Rubinstein kobiety stanowiły większość wśród kupujących. Nic dziwnego zresztą – kupowały kosmetyki po zabiegach w Instytucie, namówione do tego przez lekarzy i kosmetyczki. W innych sklepach była wyraźna przewaga mężczyzn.

– Nie rozumiem jednak, w jaki sposób mogłeś tę swoją, zresztą ciekawą, obserwację zamienić na dolary?

– Bardzo proste. Cztery piąte sum przeznaczonych na reklamę perfum przemysł kosmetyczny umieszczał w czasopismach

kobiecych i audycjach telewizyjnych przeznaczonych wyłącznie dla kobiet. Zgłosiłem się więc do największego koncernu tego przemysłu z propozycją sprzedania im sposobu zwiększenia sprzedaży perfum i bardziej celowego wykorzystania pieniędzy przeznaczonych na reklamę. Za tę poradę zażądałem dwudziestu tysięcy dolarów.

– I co im poradziłeś?

– Zmniejszyć inseraty w prasie kobiecej, a zwiększyć ogłoszenia perfum w pismach ogólnych i wprowadzić reklamę perfum w tygodnikach czytanych przeważnie przez mężczyzn, na przykład w różnych pismach fachowych i popularnych. Jako dowód podałem im cyfry moich obserwacji. Na stu kupujących perfumy przypadało 72 mężczyzn i zaledwie 28 kobiet. Zatem ogłoszenia perfum w pismach kobiecych to po prostu wyrzucanie pieniędzy przez okno.

– Co na to koncern?

– Sprawdzili i zapłacili nie mrugnawszy nawet okiem. Natychmiast też zmienili cały plan kampanii reklamowej. W pismach kobiecych zostawili jedynie reklamy pomadek, pudru i innych kosmetyków, a perfumy i wody kolońskie przerzucili do „prasy męskiej” i ogólnej. Razem z czekiem dostałem podziękowanie za udzieloną poradę. Do dzisiaj nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zażądałem zbyt niskiego wynagrodzenia. Można było od nich wycisnąć przynajmniej dwa razy tyle.

– I tak nie przepracowałeś się zarabiając te pieniądze.

– Pomysł jest nieraz ważniejszy od pracy. Za pomysł się płaci. Dam ci przykład, że umiejętnie użyta „przeciw-reklama” może być zabójczym środkiem dla konkurencji.

– A przepisy o „nieuczciwej konkurencji”? Przecież sam mówiłeś, że w USA są one specjalnie surowe?

– Trzeba umieć je obejść. Choćby w taki sposób, jak to zrobiłem z „białym łososiem”. Albo jak to zrobiono Fordowi, gdy przed kilku laty wypuścił swojego słynnego „Falcona”.

– Nie słyszałem o tym. Jak to było?

– „Falcon” miał stać się rewelacją rynku amerykańskiego. Był to pierwszy samochód, jak na amerykańskie warunki, małolitrażowy i wyjątkowo oszczędny w eksploatacji, a jednocześnie, jak na swoją cenę, luksusowo wykończony. Ford podjął pracę nad takim typem samochodu stosunkowo wcześniej niż jego najpoważniejsi konkurenci, przede wszystkim General Motors, i miał nadzieję zaskoczyć inne firmy. Prace nad „Falconem” prowadzone były w najgłębszej tajemnicy. Próby odbywały się tylko w nocy, na własnym torze Forda. Usuwano wszystkich z obrębu zabudowań fabrycznych. Wreszcie wszystko zostało przygotowane, ruszyła produkcja taśmowa i w tym samym czasie ruszyła kampania reklamująca nowy samochód. Postanowiono rzucić go na rynek w dniu 1 stycznia 1959 roku jednocześnie we wszystkich stanach USA.

– A tymczasem konkurencja ubiegła Forda i wcześniej pokazała podobny wóz?

– Nie! Tajemnica została zachowana. Pierwsze doniesienia, że Ford wykańcza nowy, rewelacyjny typ samochodu zaskoczyły General Motors, który planował wypuścić podobną maszynę dopiero za rok, bo właśnie zajęty był rynkiem europejskim: wykupywał zakłady Opla w Niemieckiej Republice Federalnej i szykował tam słynnego opel record.

– W jaki więc sposób można było przeszkodzić Fordowi w wejściu na rynek nowego samochodu?

– Przeszkodzić nie było można, ale ośmieszyć się udało.

Jak już mówiłem, „Falcon” miał się ukazać w sprzedaży 1 stycznia 1959 roku. O tym epokowym wydarzeniu doniosła cała prasa amerykańska wielkimi ogłoszeniami: „Od dziś kupisz «Falcona» w każdym sklepie fabrycznym firmy Ford”. A na drugi dzień w jednym z pism amerykańskich ukazał się dopiero inserat: „Używanego «Forda-Falcona» sprzedam za połowę ceny”. Prasa powtórzyła i skomentowała to dziwne ogłoszenie, zaś 180 milionów Amerykanów śmiało się z doskonałego kawału. Henry Ford szalał z wściekłości. Prowadził nawet specjalne dochodzenie, aby dowiedzieć się, kto dał to „przeklęte ogłoszenie”. Nic nie działo. Konkurencja także umiała dochować tajemnicy, a nowy samochód został ze szczętem ośmieszony. Jaka może być wartość wozu, który już nazajutrz po otwarciu sprzedaży można kupić za połowę ceny?

– Na tym pomysłe też ktoś musiał dobrze zarobić.

– Och! Na pewno więcej niż ja na perfumach. Zresztą nie tylko na reklamie można zrobić pieniądze. Przy dzisiejszych najrozmaitszych zakazach i „listach prohibicyjnych” oraz skomplikowanym handlu clearingowym nie trzeba nawet zbyt wiele rozumu, aby robić dobre interesy.

– Na przykład?

– Na przykład sprawa beczek. Zwykłych, solidnych beczek dębowych. Takich jakich używa się do wina, starki lub marynowanego mięsa. Wielkich ilości takich beczek stale potrzebują państwa Ameryki Południowej, zwłaszcza Argentyna i Brazylia. Stany Zjednoczone i Kanada mają wprawdzie trochę dębiny, ale ich produkcja starcza zaledwie na pokrycie własnych potrzeb. Zresztą jest to towar produkowany mechanicznie o stosunkowo niskiej jakości. Zbyt łatwo przepuszcza wodę.

– Dlaczego nie robi się tych beczek z innego drzewa? Ani Brazylii, ani Argentynie lasów nie brak.

– Drzewo podzwrotnikowe nie nadaje się do tego celu. Jest albo za miękkie, albo żywicuje. Zaletą dębiny jest jej niesłychana twardość, potęgująca się jeszcze z biegiem czasu, dzięki czemu zawartość beczki nie zmienia swojego wyglądu i smaku. Dlatego też beczki dębowe są niczym nie zastąpione przy pewnego rodzaju produkcjach.

– Ale co ty miałeś wspólnego z beczkami?

– Właśnie. Pewien mój znajomy przemysłowiec brazylijski potrzebował koniecznie dużej ilości tych beczek. Przyjechał aż do Nowego Jorku, ale i tutaj ich nie znalazł. Zwrócił się przeto do mnie o pomoc. Ofiarował cenę bardzo wysoką. Można było dobrze na tym zarobić. Wiedziałem, że najlepsze na świecie beczki dębowe produkuje pewne państwo w Europie. Państwo to ma przedstawicielstwo swojego przemysłu drzewnego w Anglii. Zwróciłem się więc tam z zapytaniem o możliwości nabycia beczek. Długo czekałem na odpowiedź. To już reguła, że instytucje handlowe tego państwa bardzo nie lubią odpowiadać na listy. Wreszcie po telefonicznych ponagleniach otrzymałem odpowiedź odmowną. W państwie tym istnieje ściśle reglamentowanie dębiny i zakaz jej wywozu. Wobec tego beczek nie mogą dostarczyć.

– I co dalej – zapytałem.

– Inny załamałby się i dał spokój – mówił Henio – ale nie ja. Postanowiłem choćby dla sportu, że beczki dostanę. I dostałem.

– Uzyskałeś u odpowiednich władz prawo wywozu pewnej ilości dębiny?

– Nie. Do nikogo nawet się nie zwracałem o takie zezwolenie. Po prostu zwróciłem się do innej centrali handlowej tego

samego państwa z propozycją nabycia większej ilości soli. Trzeba ci wiedzieć, że ten kraj ma ogromne zasoby soli i stare, sławne, mające kilkaset lat kopalnie. Mogą one produkować znacznie więcej, niż wynosi zapotrzebowanie rynku wewnętrznego. A przecież soli nikt prawie nie kupuje za granicą. Niemal każde państwo jest pod tym względem samowystarczalne. Otóż owo państwo bardzo się ucieszyło, że nareszcie znalazło amatora na swoją sól. Ja postawiłem tylko jeden warunek – kupię sól, lecz pakowaną w beczki dębowe. Wyrażono na to zgodę, żądając jedynie dodatkowej zapłaty za koszty opakowania.

– I jak się skończyło?

– Towar kazałem skierować do jednego z portów brazylijskich. Tam wyładowaliśmy beczki na brzeg i całą ich zawartością osoliliśmy morze! W ten sposób opróżnione beczki ładowało się i odsyłało do miejsca ich przeznaczenia. Co śmieszniejsze, beczki wraz z solą były tańsze niż pierwotna moja oferta, jaką złożyłem za beczki bez soli. Przez dwa miesiące statki woziły tę sól do Brazylii.

– Przypuszczam – powiedziałem tknięty pewną myślą – że wiem, o jakim kraju mówisz. Czy zgadłem?

– Za dużo chcesz wiedzieć – odpowiedział mój przyjaciel. – Istnieją pewne tajemnice handlowe i nikomu się ich nie zdradza. Ale... robi się już mrok. Czas opuścić ten uroczy zakątek i z kortów tenisowych wrócić do hotelu na kolację. Zresztą ta historia z beczkami była już bardzo dawno.

Rozdział IX

– Nie uznaje filantropii – stwierdził mister Macareck, kiedy wieczorem siedzieliśmy w pięknej sali kawiarnianej Szczecińskiego Zamku i kontemplowaliśmy widok na płynącą w dole Odrę oraz samotną wyniosłość Baszty Siedmiu Płaszczy. – Nigdy nie dają jałmużny. Wolę postać czek jakiejś fundacji lub domowi starców. Pomagam jedynie ludziom, którzy sami chcą sobie pomóc, a nie takim, którzy liczą tylko na cudzą litość. Do dziś dnia nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie dałem tamtemu facetowi pięć dolarów. Chociaż, prawdę mówiąc, to on nie zebrał, a właściwie to zebrał, ale w dość dziwny sposób, jak na amerykańskie stosunki.

– O kim mówisz? – zapytałem.

– O pewnym facecie, który w Central Park, na asfalcie drogi, kolorowymi kredkami rysował twarze kobiece. Bardzo piękne twarze. Powiedziałbym, że te portrety miały cukierkową urodę. Obok faceta leżał jego kapelusz, a w nim kilka półdolarówek i jakieś centy. W Paryżu takich malarzy widuje się sporo i tam nie budzi to żadnej sensacji. W Nowym Yorku była to nowość, nic więc dziwnego, że malarza otaczał mały tłumek przyglądający się Jego pracy. Czasem ktoś wrzucił do kapelusza dziesięciocentówkę i szedł dalej swoją drogą. Najczęściej ludzie przystawali,

wzruszali ramionami i odchodzili. Jeżeli wśród gapiów zdarzył się ktoś hojniejszy i zasilił kapelusz półdolarówką, malarz przerywał swoją pracę, odkładał kolorowe kredki i biorąc do ręki szkicownik, kilkoma pociągnięciami ołówka rysował portrecik ofiarodawcy. Umiejętność uchwycenia podobieństwa była rzeczywiście dość duża i budziła uznanie zarówno sportretowanego, jak i widzów.

– Właśnie jemu dałeś swoje tradycyjne pięć dolarów?

– Tak. Do dziś dnia nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Taki głupi odruch. Przechodziłem właśnie tamtędy i przystanąłem na chwilę przed malarzem, a potem zabawiłem się w filantropa. Kiedy facet zobaczył w kapeluszu zielony papierek, omal mnie w rękę nie pocałował. Przynajmniej zrobił ruch w tym kierunku, a następnie zaczął mnie ustawiać do sportretowania. Ponieważ nie miałem czasu, przerwałem te ceremonie i oświadczyłem, że wystarczy mi taki sam rysunek, jak za pięćdziesiąt centów, lecz żeby był zrobiony szybko. Chłopina uwinął się z tym w niecałą minutę, ale z podobieństwem zupełnie spudłował. Nie wiem, czy z pośpiechu, czy ze wzruszenia, że trafił mu się tak poważny klient. Kiedy odbierałem zarysowany świstek papieru, spojrzałem na podpis, bo muszę ci nadmienić, że malarz podpisywał swoje portreciki, opatrywał datą i jako miejsce wykonania pracy umieszczał „New York”. Już miałem odejść nie słuchając dalszych podziękowań, gdy zerknąwszy na podpis, zatrzymałem się. Imię i nazwisko było polskie. Nie będę go wymieniał, bo ten pan żyje, dobrze mu się powodzi i nawet w panteonie amerykańskiego malarstwa zajmuje dość poczesne miejsce. Nazwijmy go umownie Adamem Adamskim.

– Pan Polak? – zapytałem po polsku. – Facet potwierdził –

mówił dalej MacAreck. – Zainteresowałem się rodakiem, który w kilku słowach streścił swoją, dość zresztą banalną historię. Przed wojną studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wiosną 1939 roku wyjechał do Paryża. Tam go zastał wybuch wojny. Tam też przesiedział całą okupację. Pracował na roli gdzieś na południu. Trochę działał w Ruchu Oporu, a po wyzwoleniu Francji trafił do jednej z polskich formacji, chociaż na front już nie zdążył, bo wojna się skończyła. Dalszy ciąg jeszcze mniej ciekawy: demobilizacja, bezowocne próby zrobienia kariery artystycznej we Francji, Anglii i na końcu w Stanach Zjednoczonych. Do tego żona i dwoje dzieci. Postanowiłem dopomóc temu fajtłapie.

– Dlaczego fajtłapie? Po prostu nie udało mu się wybić. Mało to wielkich malarzy oceniono dopiero po ich śmierci?

– Nie ten ciężar gatunkowy. Zapewniam cię, że Adamski, tak umówiliśmy się go nazywać, to nie Van Gogh czy Gauguin. Co najwyżej salonowy malarz pięknych pań. Ale żeby zostać takim wziętym, salonowym malarzem, trzeba posiadać umiejętność robienia wokół siebie odpowiedniego ruchu. Można nie mieć wielkiego talentu, ale wybić się, jeśli ktoś zdoła zdobyć „publicity”. Kto nie ma „publicity”, ten nie może nawet marzyć o karierze w Stanach Zjednoczonych.

– Co to jest „publicity”?

– W polskim języku brakuje odpowiednika tego terminu. To reklama, a zwłaszcza autoreklama, umiejętność zainteresowania swoją osobą ogółu i umiejętność zdobywania sympatii. Przede wszystkim sympatii tłumów i zwrócenia ich uwagi. Dam ci przykład. Niezbyt znany aktor Yul Brynner miał grać rolę Dżyngiz

Chana czy też jednego z jego wodzów. Przedstawiana przez niego postać historyczna była łysa. Gdyby Yul Brynner zagrał tego łysonia posługując się odpowiednią peruką, dzisiaj nikt by nie słyszał o takim aktorze. Ale Yul Brynner postąpił inaczej. Po prostu ogolił głowę brzytwą. Tym jednym gestem zdobył „publicity”. Setki tysięcy młodych bałwanów poszło za przykładem aktora i ogoliło sobie łby do skóry. Jednego dnia Brynner stał się sławny. A za rozgłosem idzie w Stanach Zjednoczonych i kariera, i majątek. Zrozumiałeś?

– Tak. Powiem ci, że nawet w Polsce Yul Brynner miał trochę naśladowców.

– Sam więc rozumiesz, że nie zdobędzie się „publicity” zebrząc w jednej z alejek Central Park, a najwyżej trafi się do więzienia za „włóczęgostwo”. Od razu zorientowałem się, że facet jest fajtą, nie ma wielkiego talentu, ale postanowiłem mu pomóc. Może dlatego, że był moim rodakiem? A może aby jeszcze raz sprawdzić, czy znam mechanizmy rządzące społeczeństwem w Ameryce?

– Co zrobiłeś?

– Wziąłem od Adamskiego adres i umówiłem się, że go odwiedzę za parę dni. Mieszkał za Central Parkiem, w dzielnicy przylegającej do Haarlemu. To najnudniejsza dzielnica Nowego Yorku. Z żoną i dwojgiem dzieci zajmował mały pokój na piętrze rudery, której istnienie zaprzeczało wszelkim prawom fizyki. Kiedy zobaczyłem to mieszkanie, nie potrzebowałem o nic pytać. Nędza straszliwa i perspektywa albo głodowej śmierci, albo zdeklasowania się. Innych możliwości nie widziałem. Żona, dość miła kobiecina, ale zabiedzona, zahukana i też życiowa nedorajda. Pod tym względem dobrali się idealnie.

– Sądzę, że jesteś trochę niesprawiedliwy.
– Być może. Ale każdy sędzi po sobie. Ja też byłem na samym dnie nędzy ludzkiej, ale umiałem wypłynąć. Ludzie, którzy tego nie potrafią, nie budzą mojego współczucia. Każdy jest kowalem własnego losu.

– Ale łut szczęścia znaczy więcej niż funt rozumu.

– Dla Adamskiego tym łutem szczęścia było to, że właśnie przechodziłem przez Central Park i zauważyłem malarza i jego pacykowanie. Nawet po wizycie u niego w domu może bym jeszcze się wycofał z całego interesu, ale jedna rzecz przeważała.

– Dzieci i ta kobieta?

– O nie! Jeśli trzeba, umiem mieć twarde serce. Gdybym wyszedł zostawiając dwadzieścia czy pięćdziesiąt dolarów, i tak błogosławiono by mnie, bo i to nędzne mieszkanie nie było opłacone, i Adamskim groziło wyrzucenie dosłownie na bruk. Cały dom był potwornie brudny. Tak się zazwyczaj dzieje, że bieda kojarzy się z brudem. W tym mieszkanku było jednak inaczej. Było bardzo nędznie, ale idealnie czysto. To zadecydowało, że ostatecznie postanowiłem zająć się tymi ludźmi.

Uśmiechnąłem się. Motywacja była dość niezwykła, ale zbyt dobrze znałem Henia, aby wiedzieć, że nigdy nie przyzna się do tego, iż jego czynem mogłoby kierować zwykłe ludzkie uczucie litości lub współczucia.

– Malarz zgromadził w tym pokoiku cały stos najrozmaitszych swoich „arcydzieł”. Ten facet miał przedziwne zdolności upiększania wszystkiego. Kobiety rysowane przez niego mogły konkurować z Wenus, a przy mężczyznach Apollo Belwederski był zwykłym zamiataczem ulic.

A krajobrazy to raj nie zaśmiecony jeszcze stworzeniem człowieka. Nie zadałem sobie trudu obejrzenia całego tego kramu.

Wystarczyło mi kilkanaście próbek, żeby zorientować się w całości. Zaproponowałem Adamskiemu następujący interes: kupuję wszystkie te obrazy. W zamian własnym kosztem wylansuję malarza i będę pokrywał koszty utrzymania jego i jego rodziny aż do momentu, kiedy dochody pacykarza przekroczą tysiąc dolarów miesięcznie. Zażądałem tylko bezwzględного posłuszeństwa.

Tę manię wodzostwa znałem dobrze. Jeszcze w szkole Henio (nie MacAreck, lecz zwykły Makarek) nie znosił, jeżeli ktoś nie chciał podporządkować się jego zdaniu. Nawet w brydżu tylko on mógł rozgrywać, choćby nie miał figury w karcie, a jego partner same asy i króle. Pod tym względem mister Henry MacAreck pozostał wierny ideałom młodości, jeśli w miarę powodzenia nie zrobił się bardziej apodyktyczny.

– Oczywiście malarz nie wniósł żadnych sprzeciwów. Bez dyskusji zgodził się na wszystkie moje warunki. To było już w czasach, kiedy miałem duże pieniądze i mogłem iść na całego. Bo jedynie w ten sposób mogłem zapewnić powodzenie swojemu pomysłowi. Przez najbliższe parę dni moja sekretarka miała pełne ręce roboty. Obwoziła po magazynach panią Adamską i jej dzieci dla skompletowania odpowiedniej ilości ubrań na późniejsze pokazanie tej trójki nie tyle światu, co prasie. Z malarzem było znacznie prościej. W pierwszym lepszym domu towarowym kupiłem mu kilka ubrań i smoking. Na szczęście miał typową figurę i nie było z tym większych kłopotów.

– Sądzę, że i ze strojami kobiecymi również nie ma trudności. Amerykańskie domy towarowe przechwalają się, że można do nich wejść nago, a wyjechać własnym samochodem z kompletną wyprawą, która wystarczy aż do śmierci i to po

najdłuższym życiu. Nie rozumiem więc twoich kłopotów.

– Naturalnie, wybór w tych domach jest ogromny. I nie o to mi chodziło. Trudność polegała na tym, że trzeba było panią Adamską przedstawić jako dobrze ubraną Europejkę. Nie za elegancko i zbyt krzycząco, a jednocześnie nie za skromnie. Moda amerykańska dość poważnie różni się od tego, co noszą w Paryżu lub Londynie. Naturalnie dotyczy to warstw średnio zamożnych, bo high life ubiera się w słynnych domach paryskich, mających swoje filie na Manhatanie.

– Więc mogłeś po prostu ubrać twoją podopieczną właśnie w jednej z takich filii.

– Nie. Przede wszystkim w moim planie nie należało przedstawiać Adamskich jako milionerów, bo to mogłoby do nich zrazić te sfery, które widziałem jako potencjalnych nabywców dzieł malarza. A poza tym takie toalety są zawrotnie drogie, a ja wcale nie miałem zamiaru bez potrzeby szastać pieniędzmi. Ostatecznie, przy pewnych zachodach mojej nieocenionej pomocnicy, poradziliśmy sobie dużo niższym kosztem z zupełnie przyzwoitym skutkiem.

– Ciągłe nie rozumiem, po co to wszystko było potrzebne?

– Kiedy cała wyprawa była już skompletowana, pewnego dnia przed rudere, dotychczasowe mieszkanie Adamskich, podjechały dwa samochody. Jeden mój, drugi wydęty. W tym pierwszym pomieściła się cała rodzina malarza, drugi załadowano walizami, opatrzonymi najrozmaitszymi naklejkami eleganckich hoteli europejskich. Takie drobiazgi można kupić na Siódmej Ulicy w sklepie Ze sztukami magicznymi. Nie zapomniałem zaopatrzyć tych kufrów w dyskretnie postawione krzyżyki,

międzynarodowy znak portierów i chłopców hotelowych, że właściciel tych rzeczy nie jest zbyt skąpy w dawaniu napiwków. Oba samochody skierowały się prosto do Waldorf Astoria Hotel, gdzie już czekał na nich zarezerwowany apartament. Nie za drogi, ale i nie najtańszy.

– Najelegantszy hotel Nowego Jorku! – przerwałem.

– Może nie tyle najelegantszy, bo dobrych hoteli tam nie brakuje, ale zakład z wielką tradycją. Miejsce słynnych bankietów politycznych, siedziba ministrów, a nawet królów i prezydentów w czasie ich pobytu w Stanach Zjednoczonych. A poza tym naprawdę dobry, renomowany hotel. Idealny start dla człowieka, który chce zrobić karierę nad Hudsonem.

– Sądzę, że wszystkie „niebieskie ptaki” przyjeżdżające do Stanów Zjednoczonych startują właśnie w Waldorf Astoria Hotel.

Henio oburzył się nie na żarty.

– Wcale nie szykowałem afery z jakimś niebieskim ptakiem, a po prostu miałem zamiar wylansować malarza. A po drugie, jeśli chodzi o sam hotel, to oni mają dobre sposoby pozbywania się niepożądanych gości. Strzeliłeś jak kulą w płot. Nie jest łatwo otrzymać tam apartament. Trzeba mieć albo nazwisko, albo odpowiednie polecenie.

– Dobrze, dobrze – przerwałem – przecież wiem, że dla ciebie znalezienie wolnego pokoju nie tylko w Waldorf Astoria Hotel, ale nawet w „Orbisie” w Szczecinie nie stanowi problemu. Sam się o tym przekonałem.

– Kiedy całą rodzinę ulokowałem w hotelu, po paru dniach w nowojorskiej prasie ukazało się następujące ogłoszenie:

POSZUKUJE SIĘ MODELKI DO NAMALOWANIA OBRAZU ŚWIĘTEJ JUSTYNY. OFERTY WRAZ Z FOTOGRAFIĄ NALEŻY NADSYŁAĆ POD ADRESEM: ADAM ADAMSKI, WALDORF ASTORIA HOTEL. WYBRANA KANDYDATKA OTRZYMA TYTUŁEM HONORARIUM ZA POZOWANIE, NAJWYŻEJ PIĘĆ SEANSÓW, KWOTĘ DZIESIĘCIU TYSIĘCY DOLARÓW.

– Ogłoszenie ukazało się nie wśród drobnych anonsów, ale na dobrym miejscu w tekście. Nie było za duże, ale i nie za małe. Tak wycyrklowałem, żeby zrobiło odpowiednie wrażenie. Za te anonsy, które powtarzano przez parę dni, zapłaciłem przeszło siedem tysięcy dolarów. No, ale mówi się trudno. Na reklamę nie można żałować, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

– Nic nie rozumiem – przyznałem się. – Po co to ogłoszenie i skąd ta święta Justyna?

– Święta Justyna dlatego wpadła mi do głowy, że jej dzień figuruje w kalendarzu pod datą pierwszego sierpnia. W dodatku rzadkie imię i nikt nic nie może powiedzieć na temat jej osoby.

– Dlaczego takie honorarium za pięć seansów pozowania?

– Dlatego, żeby wszyscy tak się dziwili, jak ty to robisz w tej chwili. Nie omyliłem się, już w parę godzin po ukazaniu się anonsu, w Waldorf Astoria Hotel urywały się telefony. Każdy chciał rozmawiać z „mister Adamsky”, a przynajmniej dowiedzieć się czegoś na temat tego niezwykłego ogłoszenia. Telefonistka odpowiednio pouczona wyjaśniała, że pan Adamski nie może podejść do aparatu, ale że jest to sławny malarz, który przed kilkoma dniami przyjechał z Europy do Stanów Zjednoczonych.

– Dużo napłynęło ofert?

– Ponad czterdzieści tysięcy. Od młodych i starych. Ładnych i brzydkich. Ale nie o to nam chodziło. Moim celem było

zainteresowanie prasy. I tu także się nie zawiodłem. Reporterzy zaczęli węszyć sensację, coraz więcej kręciło się ich koło apartamentu zajmowanego przez Adamskich. Nikt jednak nie mógł uzyskać nawet najmniejszej wiadomości, jedynie różne ploteczki od pokojówek i windziarza. A za parę dni sławny artysta-malarz urządził konferencję prasową. Zebrało się tylu pismaków co w Białym Domu na tygodniówce u prezydenta.

– Bardzo ci dziękuję za tych pismaków – powiedziałem chłodnym tonem. – Znakomite określenie.

MacAreck roześmiał się serdecznie.

– Przecież nie mówię o sławach polskiego dziennikarstwa, lecz o amerykańskich łowcach sensacji, reporterzynach płatnych po dziesięć centów od wiersza.

– Dobra, dobra. Już ja wiem. No, wal dalej.

– Adamski doskonale odegrał swoją rolę. Co prawda specjalnie wynająłem pewnego starego aktora, żeby dał mu kilka lekcji i nauczył zachowania się wobec widowni. Malarz wyglądał więc w miarę dostojnie, przedstawił zebranym żonę i swoje dzieci. To w Ameryce ważny szczegół propagandowy, dzięki temu Kennedy pokonał Nixona w wyborach prezydenckich, bo Jacqueline i dzieci bardzo fotogenicznie wypadły na ekranach telewizorów... Kiedy już reporterzy natraskali swoimi aparatami, Adamski opowiedział dziennikarzom wzruszającą historyjkę, jak to na wojnie, w 1944 roku we Francji, cudem uniknął niechybnej śmierci. To ocalenie niewątpliwie zawdzięcza świętej Justynie. Dlatego też ślubował, że po wojnie namaluje wielki obraz świętej i ofiaruje go jednemu z nowojorskich kościołów. Artysta również zademonstrował kilka ze swoich prac. Podkreślił, że dlatego ofiarował tak wysokie wynagrodzenie dla modelki, bo chce zdobyć

jak najwięcej ofert, aby wybrana przez niego osoba była jak najbardziej podobna do czcigodnej świętej. Amerykanie w gruncie rzeczy lubią takie sentymentalne opowiadanka, więc przez kilka następnych dni prasa bardzo szeroko trąbiła o sławnym malarzu i jego bogobojnym ślubie. Nie muszę chyba dodawać, że w czasie konferencji prasowej bufet był obficie zaopatrzony zarówno w jadło, jak i w napitki.

– Co się stało później?

– Dalej ciągnąłem tę historię. Wybraliśmy odpowiednią modelkę i Adamski przystąpił do pracy.

– Ładna dziewczyna i rzeczywiście podobna do świętej Justyny?

– Nie wiem czy podobna, bo świętej Justyny nikt nie widział, natomiast była dość przystojna, a co najważniejsze, była córką jednego z nowojorskich bogatych przemysłowców. Wybraliśmy najbogatszą ofertę, jaką udało się nam wynaleźć.

– Chciałeś zaoszczędzić dziesięć tysięcy dolarów?

– Wprost przeciwnie. Po skończeniu obrazu znowu zaprosiliśmy prasę i pokazaliśmy im „arcydzieło” Adamskiego oraz na tym samym zebraniu uroczyście wręczyliśmy modelce czek na obiecaną sumę.

– Rozumiem. Znowu zyskałeś bezpłatną reklamę. Ale dlaczego wybrałeś córkę jakiegoś milionera zamiast innej dziewczyny?

– To proste. Poza obrazem świętej, Adamski zrobił także cukierkowy portret dziewczyny i ofiarował go jej Papie. Ten portrecik i cała historyjka z pozowaniem były wielką sensacją dla rodziców dziewczyny, sporego koła ich znajomych i przyjaciół. Ludzi także nie najbiedniejszych. Posiadanie portretu żony lub

córki pędzla „mister Adamski” szybko stało się w tych kołach wymogiem mody. Mój podopieczny zdobył „publicity”. A o to mi chodziło.

– A obraz świętej?

– Adamski ofiarował go kardynałowi Nowego Yorku wraz z prośbą o umieszczenie w kościele „do uznania Jego Eminencji”. Kardynał nie tylko podziękował odręcznym listem za ten dar otrzymany od tak przykładnego, gorliwego wiernego, ale na dodatek osobiście asystował przy zawieszeniu obrazu w kościele i przy tak stworzonym ołtarzu świętej Justyny odprawił uroczyste nabożeństwo. Odbędzie się to w obecności ofiarodawcy i przedstawicieli prasy. Ten moment upamiętniła ona licznymi fotografiami, a nawet audycjami telewizyjnymi. W Stanach Zjednoczonych kościoły to ogromna potęga. Nie tylko moralna, ale przede wszystkim finansowa. Bodaj większa od General Motors i Forda razem wziętych. „Publicity” zdobyte na tym terenie jest prostą drogą do dalszej kariery i ładnie zaokrąglonego konta bankowego. Adamski okazał się pojętym uczniem i w lot uchwycił swoją szansę. Jest dzisiaj cenionym w odpowiednich kołach malarzem kościelnym, specjalistą od malowania kościołów i przyozdabiania ich licznym poczem Świętych Pańskich. Mieszka w dobrej dzielnicy na Long Island, pewnie już we własnej willi. Piękne kobiety i wspaniali mężczyźni, jacy wyszli spod jego pędzla, zdobiją nie jeden pałac nie tylko w Nowym Yorku, ale i innych skupiskach bogatych amerykańskich businessmenów. Dalsza jego droga życiowa rysuje się prosto, spokojnie i szeroko. Mam też nadzieję, że pani Adamska obecnie nosi nie kupione jej przeze mnie w domu towarowym na Five Avenue futerko z kanadyjskich wiewiórek,

lecz prawdziwe norki. Może nie te popielate za dwanaście tysięcy dolarów, ale jednak norki.

– Wszystko to bardzo piękne, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego wyszastałeś taką kupę forsy po to jedynie, żeby wylansować jakiegoś nie znanego, jak sam go nazwałeś, fajtłapę.

– Ja tego też nie rozumiem. Przecież na początku mojego opowiadania zastrzegłem się, że nie uznaję filantropii i sam nie wiem, co mnie skłoniło do wrzucenia pięciodolarówki do kapelusza pacykarza.

– W końcu ciekaw jestem, ile tysięcy dolarów władowałeś w ten interes.

– Dość sporo. W każdym bądź razie ponad dwadzieścia pięć tysięcy. Naturalnie zarobiłem znacznie więcej.

– Ty?!

– Ja. Przecież wspomniałem ci, że w zamian za zrobienie facetowi „publicity”, zabrałem wszystkie bohomyzy, które napacykowałem przed naszym spotkaniem się. W miarę jak rosło powodzenie „mister Adamsky”, rosły w cenie i te płótna, akwarele i szkice. Kiedy mój malarz został już wziętym portrecistą bogatych ludzi, zacząłem puszczać w ruch jego śliczne malowanki. Poszły co do jednej sztuki. Gdybym dłużej poczekał, może bym jeszcze więcej z tego businessu wyciągnął, ale bałem się zbyt ryzykować. A nuż wyskoczyłby ktoś z jeszcze lepszym pomysłem i przerwał drogę do sławy i pieniędzy mojego podopiecznego. Na pamiątkę całego interesu został mi gdzieś w szufladzie biurka ten portrecik rysowany wtedy w Central Parku. Chyba najgorsze „dzieło” Adamskiego.

– Często go widzujesz?

– Od tamtej pory tylko raz. Przyszedł do mnie.

– Żeby podziękować ci za to, co dla niego zrobisz? Wyobrażam sobie, jaki jest ci wdzięczny.

– Właśnie! Coś w trzy czy cztery lata po tej całej historii, kiedy już dawno o niej zapomniałem, raptem zjawił się w moim biurze mister Adamski w towarzystwie swojego adwokata. Ni mniej, ni więcej, tylko zażądał zwrotu; swoich arcydzieł, bądź wysokiej za nie zapłaty. W razie odmowy zagroził mi procesem o wyłudzenie, wykorzystanie przymusowego położenia, oszustwo i jeszcze z tuzin najrozmaitszych przestępstw.

– Jak cię znam, wyrzucił go za drzwi.

– Taki głupi nie byłem. W Ameryce w ten sposób nie załatwia się swoich spraw. Przeciwnie, spokojnie, chociaż mało mnie szlag nie trafił, wysłuchałem tych bredni i zaproponowałem, żeby adwokaci obu stron porozumieli się co do polubownego załatwienia sporu. Kiedy doszło do takiej konferencji, mój przedstawiciel pokazał formalną umowę zawartą pomiędzy Adamskim i mną. Umowa była tak sporządzona, że, jak to się mówi, „mucha nie siada”. Poza tym mój mecenas napomknął, że w czasie procesu mogłoby się ujawnić, iż klient strony przeciwnej w ogóle w wojsku nie służył, a jedynie zakpił sobie zarówno z władz kościelnych, jak i z czcigodnej świętej Justyny. Dodał nawet, że pewien dziennikarz bardzo się interesuje tą sprawą i chciałby ją wyciągnąć na światło dzienne. Adwokat strony przeciwnej szybko zrozumiał, co w trawie piszczy, i wycofał swoje żądania. A ja nigdy więcej nie zobaczyłem pana Adamskiego. I wcale tego nie żałuję.

Rozdział X

– Obiecywałeś mi opowiedzieć historię swojego popielatego mercedesa – przypominałem Heniowi MacAreckowi, gdy spotka-
liśmy się nazajutrz.

– Z mercedesem to był niewinny figielek. Zainscenizowałem go po prostu, aby nie wyjść z wprawy i aby zwrócić sobie koszty pobytu w Europie. Dlaczego mam płacić za urlop, skoro mogą to zrobić inni? Mam zasadę, że gdziekolwiek pojedę, muszę tam zarobić na swój pobyt. Byłem we Francji, więc paru Francuzów musiało trochę za to zapłacić.

– W Polsce również myślisz o zarobku?

– Oczywiście! I tutaj na pewno zrobię jakiś lepszy interes. Może coś kupię na eksport? Może coś sprzedam? Jeszcze nie wiem, ale jestem absolutnie przekonany, że okazja się zdarzy.

– Żebyś tylko nie zarobił na dłuższy pobyt u nas z bezpłatnym wiktem i opierunkiem – zauważyłem złośliwie.

– O, nie bój się. Nic z tych rzeczy. Nigdy nie zadarłem z kodeksem karnym. A że czasem wykorzystywałem czyjąś chciwość i chęć oszukania mnie, robiłem to w taki sposób, że prawo było po mojej stronie, a ten, który chciał mnie wyzyskać, grubo za to płacił i nigdy ani słówkiem o niczym nie pisał.

– No, ale wracajmy do twojej historii z mercedesem.

W dyrekcji policji w Nicei zadzwonił telefon. Dyżurny policjant podniósł słuchawkę. Szybko notował w bloczku.

„Telefonogram z Paryża. We Francji pojawił się znany oszust amerykański. Jego nazwisko Mac. Rysopis: wysoki, postawny, szatyn. Specjalność: oszustwa za pomocą czeków bez pokrycia. Według wiadomości posiadanych przez Generalną Policję w Paryżu oszust ma zamiar udać się na Riwierę”.

Policjant potwierdził przyjęcie telegramu i zaniósł swojemu dyrektorowi. Ten przeczytał i roześmiał się:

– Zaczyna się sezon. Niebieskie ptaszki zlatują do nas ze wszystkich stron świata. Ale srodze się zawiodą. Zamiast niebieskiej manny znajdą tu solidne klatki. Swoją drogą trzeba zwrócić uwagę na tego faceta. Gdy tylko się zjawi, wziąć pod obserwację.

W tym samym czasie w recepcji wytwornego hotfelu „Ambador” toczyła się rozmowa. Dyrektor przedsiębiorstwa informował portiera o ostatnich rezerwacjach. Anglicy i Amerykanie mieli zwyczaj rezerwować pokoje na cały sezon.

– Tylko patrzeć, jak się hotel zapełni. Sezon już się rozpoczyna. Za dwa, trzy dni powinni zjawić się pierwsi przybysze.

– Wszystko mamy przygotowane. Pokoje odnowione. Restauracja czeka. Mogą się zjawić choćby dzisiaj. O! Pierwszy przybył – zauważył portier na widok samochodu zatrzymującego się przed wejściem. Posłał więc swojego pomocnika, aby ten powitał gościa i zajął się jego bagażami.

Przybysz reprezentował typ Amerykanina. Wysoki, postawny, ciemny blondyn. Ubrany elegancko, ale od razu można było

odróżnić, że jego garnitur kroił krawiec z tamtej strony Atlantyku. Przybysz mówił po francusku z akcentem cudzoziemskim i miał pewną trudność z doбором niektórych słów oraz z prawidłowym użyciem czasów.

- Chciałbym dostać jakiś pokój.
- Szanowny pan na długo? – zapytał portier.
- Na kilka dni. Zanim inaczej się nie urządzę.
- Rozumiem – pokiwał głową portier. Wielu cudzoziemców zatrzymywało się w hotelu, a później szukało pokoju lub nawet całej willi prywatnie w mieście. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na mieszkanie w „Ambasadorze”, gdzie pokój kosztował od 15 dolarów na dobę, a były tu też apartamenty, za które liczono i po 30 lub 40 dolarów.

- Służę szanownemu panu. Pokój nr 142. Na pierwszym piętrze z widokiem na morze. Cena 80 nowych franków.

- Doskonale. Ponieważ mam tylko asygnaty, zapłacę za tydzień z góry – przybyły bynajmniej nie zląkł się tej sumy. – Proszę tam zanieść moje rzeczy – zwrócił się do pomocnika portiera, wynoszącego właśnie walizy z taksówki.

Spostrzegawcze oko służącego zauważyło mały, dyskretnie postawiony krzyżyk na jednej z waliz. Międzynarodowy znak, którym portierzy wszystkich hoteli świata informują się wzajemnie o swoich gościach. Ten krzyżyk oznacza, że przybyły nie jest skąpy, nie oszczędza na napiwkach i nie ma z nim większego kramu. Postawił go prawdopodobnie portier z hotelu w Londynie, bo walizka miała zupełnie świeżą, umieszczoną na pokrywie, naklejkę. Zresztą wszystkie walizy były bardzo solidne i musiały nieźle kosztować.

– Proszę o wpisanie się do książki. Poproszę również o paszport dla zarejestrowania w policji.

Nowy gość wyjął z kieszeni eleganckie wieczne pióro i wypisał dużym, zamaszystym charakterem swoje dane w księdze hotelowej: „Henry MacAreck, New York”, po czym prowadzony przez pikolaka udał się do swojego pokoju. Po dobrej godzinie pojawił się znowu w hallu hotelowym. Tym razem ubrany był w lekki popielaty garnitur. Ubranie szył krawiec w Europie albo jakiś mistrz igły ze Stanów Zjednoczonych wzorujący się na modzie włoskiej. Garnitur uszyty był bez zarzutu i przybysz stracił w nim, tak przedtem charakterystyczny, amerykański wygląd.

– Proszę, oto mój paszport – z tymi słowami Amerykanin położył na ladzie recepcji swój dokument. – Chciałbym porozmawiać z dyrektorem hotelu.

– Pan będzie uprzejmy – informował portier – pierwsze drzwi na lewo.

Przybysz skierował się w tamtym kierunku, otworzył drzwi i znikł za nimi.

– Czym mogę panu służyć? Czy nie jest pan zadowolony z pokoju? – zapytał dyrektor witając gościa.

– Ale skądże! Pokój jest doskonały, ze wspaniałym widokiem na boulevard des Anglais i na morze. Jestem z niego zupełnie zadowolony. Znajomi w Nowym Jorku zachwalali pański hotel i widzę, że w niczym nie przesadzili. Chciałbym, jeśli ma pan chwilę czasu, porozmawiać i poradzić się w paru sprawach.

– Z całą przyjemnością służę panu. Bardzo proszę, niech pan siada. Może papierosa lub cygaro? Wino czy kieliszek koniaku?

– Dziękuję. Alkoholu prawie nie używam, a wasze papierosy

są dla mnie za mocne. To raczej ja pozwolę sobie poczęstować pana cygarkiem. Prawdziwe Hawana.

– Uprzejmie pana słucham – powiedział dyrektor przyjmując ofiarowane cygaro.

– Widzi pan – zaczął mister MacAreck – jestem przemysłowcem amerykańskim, ale interesy zmuszają mnie do częstych wizyt w Europie. Ciągłe podróże, mieszkanie w hotelu, dziś tu, jutro tam, już mi się sprzykrzyły. To nie na mój wiek. Postanowiłem zdobyć w Europie jakiś stały punkt oparcia, gdzie byłbym równie u siebie jak w Nowym Jorku. Pan mnie rozumie?

– Doskonale! Wielu amerykańskich businessmenów postępuje podobnie.

– Mój wybór padł na Riwierę. Trudno się zresztą temu dziwić. Pięknie tutaj i łagodny klimat. Nie to co nasz śmierdzący benzyną Nowy Jork. Pracując w Europie chciałbym korzystać z tego piękna i odpoczywać w wolnych chwilach.

Dyrektor hotelu pochylił głowę w niemym ukłonie, dziękując w ten sposób za słowa uznania dla Lazurwego Wybrzeża. Amerykanin ciągnął dalej:

– Dlatego postanowiłem kupić dom. Niedużą willę. Najwyżej 10–12 pokoi. Taki jednorodzinny domek z ogrodem i garażem, blisko morza, aby mieć w pobliżu żaglówkę i motorówkę. Trochę się pływało w życiu. Nawet w czasie tej wojny przesiedziałem niedaleko stąd jako dowódca okrętu wojennego na Malcie. Chciałbym nabyć nie jakiś rzucający się w oczy pałac, ale rzecz ładną, aby można było i samemu wygodnie mieszkać, i czasem przyjąć przyjaciół.

– Całkowicie pochwalam pańskie zamiary. Oczywiście, własny dom zawsze jest wygodniejszy niż najlepszy apartament w

najdroższym hotelu. Mówię to całkowicie bezinteresownie, bo gdy kupi pan willę, to stracę klienta. Powiem panu w zaufaniu, że kupno nieruchomości na Riwierze jest teraz dobrą lokatą kapitału. Długotrwała wojna algierska i ciągle niepewna sytuacja wewnętrzna Francji sprawiły, że ostatnio ceny domów bardzo się obniżyły. Przepowiadam panu, że kupiona dzisiaj nieruchomość za trzy, cztery lata będzie droższa o przynajmniej pięćdziesiąt procent. Tylko trzeba poszukać czegoś naprawdę dobrego.

– Widzę, że dobrze trafiłem przychodząc do pana ze swoimi kłopotami. Pan mnie świetnie rozumie. Właśnie chodzi mi o znalezienie czegoś odpowiedniego. Tylko w jaki sposób znaleźć? Jako cudzoziemiec nie orientuję się ani w terenie, ani w panujących stosunkach. Może pan wie o czymś, co odpowiadałoby moim wymaganiom?

– Ostatnio nie interesowałem się nieruchomościami, ale mogę panu z całym spokojem polecić firmę braci Le Chaps. To bardzo solidne przedsiębiorstwo zajmujące się handlem i pośrednictwem kupna sprzedaży nieruchomości. Na pewno znajdą coś, z czego będzie pan zadowolony, przy czym muszę podkreślić, że nie są to kanciarze. Nie zrobią żadnej „górkę” i nie wykorzystają pańskiej nieznajomości stosunków i cen. Zapłaci pan tylko normalną prowizję. Oto ich adres.

– Za dobrą rzecz chętnie zapłacę podwójną czy nawet potrójną prowizję. Chwała Bogu, nie potrzebuję się specjalnie liczyć z groszem i targować o każdego franka. Chcę tylko, żeby znaleziono coś odpowiadającego moim gustom – mister MacAreck zapisał adres firmy „Le Chaps” w swoim notatniku. – Dziś jeszcze porozumiem się z nimi.

– Gwarantuję za uczciwość i solidność tych ludzi – powiedział dyrektor.

– Skoro pan taki miły, to poproszę o jeszcze jedną, a nawet dwie rady.

– Chętnie panu służę.

– Gdy kupuje się nieruchomości i gdy chce się prowadzić w Europie duże interesy, to potrzebny jest dobry adwokat. Komu mógłbym powierzyć stałą obronę moich interesów?

– Pan mnie zaszczyca swoim zaufaniem – dyrektorowi coraz bardziej podobał się ten Amerykanin. – Sądzę, że najlepszy będzie mecenas Jean Charbonneau. To młody adwokat, nie mający jeszcze zbyt wielkiej praktyki, ale bardzo zdolny. Otrzymanie radcostwa prawnego będzie dla niego niewątpliwie doskonałym startem do wielkiej kariery prawniczej. Z tym większą sumiennością i pracowitością będzie pilnował pańskich interesów. Zbyt ważne to będzie dla niego, aby lekceważyć takiego klienta. Powierzenie spraw panu Charbonneau będzie dla pana korzystniejsze niż oddanie spraw w ręce mecenasa Antoine de Cressy, byłego ministra.

– Całkowicie się z panem zgadzam. W ogóle stwierdzam, że pan jest nieocenionym człowiekiem – mister MacAreck zapisał w swoim notesie drugi z kolei adres, podyktowany mu przez dyrektora hotelu, który skromnie przemilczał, że wschodząca gwiazda palestry francuskiej jest bratem jego żony.

– Czy nie nadużyję pana grzeczności, jeżeli zapytam o to, jaki bank pan mi poleci? Przecież muszę mieć swoje konto czekowe.

– Jest w Nicei między innymi filia wielkiego francuskiego

banku Crédit Lyonnais. Parę kroków od naszego hotelu. My również mamy tam swój rachunek.

Amerykanin serdecznie podziękował za te, jak powiedział, bezcenne rady, zaproponował dyrektorowi jeszcze jedną hawanę i już wychodząc zapytał:

– A gdzie można wynająć samochód? Za kilka dni kupię sobie jakieś auto, ale już dzisiaj chciałbym się trochę przejechać po Riwierze. Marzę o kupnie sportowego wozu ferrari. Gdybym mógł znaleźć taki, nawet używany...

– Nasz hotel chętnie służy panu autem. Z kierowcą czy bez? Mamy tu sporo firm handlujących używanymi wozami. Za stosunkowo niską cenę można nieraz dostać doskonały, luksusowy samochód. Nie wiem, czy akurat znajdzie pan ferrari, ale coś dobrego na pewno się trafi. Tutaj są kasyna gry, a nie każdemu kulka rulety sprzyja. Dlatego trafiają się okazje, jakich nie ma gdzie indziej.

Pan MacAreck znowu podziękował za informację i oświadczył, że chętnie skorzysta z wozu bez kierowcy. Prosi o przygotowanie maszyny za jakąś godzinę. Dyrektor zapewnił go, że samochód – jasny renault – będzie czekał. Obaj panowie pożegnali się uprzejmie i Amerykanin opuścił dyrektorski gabinet, przeszedł przez hall hotelowy i wychodząc zapytał stojącego przy wejściu pikolaka:

– Gdzie jest Crédit Lyonnais?

– O, tam, proszę szanownego pana – służący wskazała widoczny z dala okazały budynek.

Mister MacAreck podał woźnemu w banku swój bilet prosząc o zameldowanie go prezesowi. Po paru minutach woźny, uprzejmie wskazując drogę, zaprowadził Amerykanina do przestronnego,

ze smakiem urządzonego pomieszczenia. Zza biurka, założonego rozmaitymi papierami, podniósł się wytworny, siwy mężczyzna.

– Jestem dyrektorem tutejszego oddziału Crédit. Pan chciał ze mną mówić? Czym mogę służyć? Proszę, niech pan siada.

Przybysz rozsiadł się wygodnie we wskazanym fotelu przyjął zaproponowanego mu papierosa i zaciągnąwszy się dymem zaczął mówić swoją Cudzoziemską francuszczyzną.

– Jeśli panu wygodniej, niech pan mówi po angielsku – zaproponował dyrektor nienagannym oksfordzkim akcentem, zaprzeczając tym samym złośliwej plotce o lingwistycznym nieuczwie Francuzów.

– Dziękuję bardzo, ale raczej zostanę przy języku francuskim. Chciałbym jak najszybciej go opanować, a to jest możliwe tylko przy stałym posługiwaniu się tą piękną mową. Mam taką sprawę, panie dyrektorze. Jestem przemysłowcem amerykańskim, stale mieszkam w Nowym Jorku, ale prowadzę duże interesy w Europie, między innymi we Francji. Toteż postanowiłem stworzyć sobie drugi dom tutaj, na Riwierze, w Nicei. Mam zamiar kupić willę i stąd kierować europejskimi interesami. Oczywiście, muszę mieć konto bankowe. Polecono mi pański bank.

– Bardzo dziękuję za zaszczyt. Chętnie powitamy w panu naszego klienta. Czy pan ma akredytywę, na podstawie której moglibyśmy otworzyć konto czekowe?

– Niestety. Wyjeżdżałem dość pośpiesznie ze Stanów Zjednoczonych i nie mam akredytywy. Posiadam swój rachunek w The Chase Manhattan Bank w Nowym Jorku. Książeczkę czekową mam ze sobą, więc po prostu złożę wam czek.

– Można i tak zrobić, ale to opóźni utworzenie rachunku. Będziemy musieli posłać czek do realizacji naszemu

korespondentowi w Ameryce, a dopiero po potwierdzeniu pokrycia uznamy sumę z czeku na pana dobro.

Amerykanin skrzywił się.

– To straszna biurokracja. Potrwa ze dwa tygodnie, a ja będę bez grosza. Mam „travelerchecków” zaledwie na głupie tysiąc dolarów. Czy nie dałoby się to jakoś szybciej załatwić? Możecie przecież zadzwonić do The Chase Manhattan Bank i telefonicznie zablokować sumę, podając numer czeku.

– Możemy tak zrobić, ale to pociągnie za sobą dodatkowe koszty, którymi obciążymy pana. Będą to wydatki na rozmowę telefoniczną i zwiększoną prowizję bankową, bo wówczas będziemy mieli do czynienia nie z inkasem, ale z dyskontem czeku.

– To głupstwo – Amerykanin machnął ręką. – Chodzi mi o jak najszybsze uzyskanie pieniędzy. Powiedziałem panu, prowadzę tu duże interesy, chcę sobie kupić dom i jestem bez samochodu. Czuję się jak bez ręki. A propos, nie słyszał pan, dyrektorze, o jakimś sportowym ferrari. Marzę o takim wozie.

– Obawiam się, że pan nie dostanie. O ile się orientuję, tego rodzaju wozy są robione jedynie na zamówienie, i to w niezbyt wielkiej ilości. W każdym razie na Riwierze nie ma przedstawicielstwa tej firmy.

– Gotów jestem kupić nawet używany. Ten samochód to moja pasja. Muszę go mieć.

– Może pan znajdzie w przedsiębiorstwach handlujących używanymi wozami, lecz wątpię. Wracając jednak do naszych interesów, to proponuję, aby zostawił pan nam swój czek. My zadzwonimy do USA i jutro rano możemy panu przysłać gotową książeczkę czekową. Czy odpowiada panu takie załatwienie sprawy?

- Najzupelniej, panie dyrektorze.
- A więc poproszę o czek. Gdzie pan mieszka?
- Chwilowo w hotelu „Ambasador”. Ale szukam domu i mam nadzieję, że w ciągu paru dni przeprowadzę się do swojej willi.
- Życzę panu szczęśliwej okazji.
- Dziękuję, mam nadzieję, że dam sobie z tym radę. Polecono mi jako pośredników firmę braci Le Chaps.
- Bardzo dobry wybór! – zgodził się dyrektor. – To nasi klienci.

Tymczasem mister MacAreck wyjął wieczne pióro i podłużny bloczek – książeczkę czekową. Wypełnił, wydarł jedną niebieską kartkę i wręczył ją dyrektorowi. Żegnając swojego gościa dyrektor odprowadził go aż do drzwi wyjściowych banku. Nawet w Credit Lyonnais nie co dzień zdarza się, że klient prosi o zdykontowanie czeku na sto tysięcy dolarów. Dyrektor solennie więc obiecał amerykańskiemu przemysłowcowi, że jutro z samego rana książeczka czekowa znajdzie się u niego w pokoju, w hotelu „Ambasador”.

Po wyjściu Amerykanina zamówiono natychmiast rozmowę z Nowym Jorkiem. Gdy w słuchawce rozległ się głos jednego z dyrektorów The Chase Manhattan Bank, szef miejscowego oddziału Crédit zawiadomił, że otrzymał do dyskonta czek mister MacArecka na 100 tysięcy dolarów i pyta o pokrycie oraz prosi o zablokowanie tej sumy. Po drugiej stronie oceanu rozległ się śmiech.

– Dziwne pytanie, czy czek pana MacArecka ma pokrycie? Na sto tysięcy dolarów? Wyplacimy i pięć razy więcej. A blokować nie mamy potrzeby. Włóżcie czek w zwykłą kopertę i wyślijcie go na nasz adres. My natychmiast wydamy telefonicznie

dyspozycji naszemu korespondentowi, Bankowi Anglo-Amerykańskiemu w Paryżu, o uznanie was na tę sumę.

W dwie godziny później odezwał się w Crédit Lyonnais telefon z Paryża. Bank Anglo-Amerykański zawiadamił, że zgodnie ze zleceniem z Nowego Jorku zapisał na dobro oddziału Crédit w Nicei sumę pół miliona nowych franków, odpowiadającą stu tysiącom dolarów. Dyrektor banku był bardzo zadowolony, że trafił mu się tak dobry klient i osobiście dopilnował, aby książeczka czekowa mister MacArecka była wykonana jak najszybciej, a woźny odniósł ją nazajutrz do hotelu „Ambasador”.

Tymczasem nasz Amerykanin wrócił do hotelu. Portier poinformował go uprzejmie, że zgodnie z dyspozycją samochód czeka. Otrzymawszy kluczyk pan MacAreck wsiadł do wozu i pojechał do firmy braci Le Chaps. Obaj panowie uważnie wysłuchali klienta i pochwalili jego decyzję. Twierdzili, że mając odpowiednie kapitały można na handlu nieruchomościami na Wybrzeżu zrobić doskonały interes. Wkrótce ceny na pewno pójdą w górę. Jednakże klient wyjaśnił, że nie ma bynajmniej zamiaru lokować kapitałów w kupnie domów. Potrzebuje odpowiedniej willi dla siebie. Prowadzi w Europie rozległe interesy i chce mieć własne lokum. Być może, że gdy za kilka lub kilkanaście lat wycofa się z interesów, to na stałe opuści Stany Zjednoczone i osiedli się na Riwierze. Podobnie jak to już zrobiło wielu jego przyjaciół i znajomych.

Właściciele firmy obiecali panu MacAreckowi wyszukać coś odpowiedniego. Jutro przygotowują kilka obiektów do obejrzenia. Jeżeli ich szanowny klient mógłby się pofatygować z rana, to wspólnie objadą Niceę i pobliskie Cannes. Pan MacAreck odrzekł, że niestety, rano ma parę spraw do załatwienia, lecz może

umówić się na pierwszą po południu i wybrać na wizytację tych obiektów, które panowie Le Chaps uznają za godne uwagi. Z własnej inicjatywy Amerykanin wyjął portfel i położył na stole tysiąc nowych franków.

– My, businessmeni – powiedział – zwykliśmy zaczynać interes od wpłacenia zaliczki. Druga strona musi być pewna, że poważnie ją traktujemy. Bardzo mi przykro, że nie mogę w tej chwili służyć panom większą kwotą, lecz jeszcze nie załatwiłem wszystkich formalności potrzebnych dla otwarcia konta w Credit Lyonnais. Mam tylko pieniądze, jakie wziąłem na drobne wydatki.

Przedstawiciele firmy handlu nieruchomościami odpowiedzieli, że żadnej zaliczki nie wymagają, ale jeśli już szanowny klient był tak uprzejmy i wypłacił ją, to są bardzo zobowiązani i wystawią odpowiednie pokwitowanie. Jeden z braci Le Chaps wyszedł do drugiego pomieszczenia, aby przygotować kwit, a Amerykanin zagadnął drugiego współnika:

– Czy nie wiedzą panowie o jakimś samochodzie sportowym? Jestem kompletnie chory na punkcie sportowego ferrari. Dla jego zdobycia gotów jestem poświęcić poważną sumę. Ten wóz jest moją pasją.

– Musi pan poświęcić nieco czasu – radził pan Le Chaps – i odwiedzić wszystkie firmy handlujące używanymi samochodami. Na Riwierze Francuskiej i w Monaco jest co najmniej piętnaście takich firm. Handel używanymi wozami jest bardzo rozpowszechniony. Często za jedną trzecią ceny fabrycznej można kupić ładny wóz od kogoś, komu bardzo pilno do zielonego stolika, aby się odegrać. Przypuszczam, że w tych garażach znajdzie pan coś dla siebie; Czy akurat uda się trafić na ferrari? Sprawa

szczęścia. Jeżeli jednak ma pan zamiar osiedlić się u nas, to można zamówić nowy samochód w fabryce. O ile wiem, robią jedynie na zamówienie. Można też dać zlecenie wszystkim firmom, aby wyszukały dla pana już używany wóz.

– Francuzi są wspaniałym narodem – stwierdził mister MacAreck opuszczając lokal panów Le Chaps. – Z taką uprzejmością i życzliwością dla cudzoziemców można się spotkać tylko u was. Od rana nadużywam dobroci Francuzów i każdy z zapytanych daje mi doskonałe, praktyczne rady.

Z kolei nowy mieszkaniec Lazurowego Wybrzeża odwiedził pana mecenasa Jean Charbonneau. Młody adwokat widocznie przypadł mu do gustu, gdyż Amerykanin po krótkiej rozmowie zdecydował się na powierzenie mu wszystkich swoich interesów na terenie Francji.

– W tej chwili nie mam wprawdzie żadnych spraw – powiedział mister MacAreck – ale proszę przyjąć tysiąc franków na poczet naszych przyszłych rozliczeń. O, niech pan się nie krępuje, roboty ze mną będzie pan miał co niemiara. Właśnie w najbliższych dniach kupuję dom. Nie wiem jeszcze jaki, ale sądzę, że wystarczą trzy dni, żebym coś wyszukał i pragnął sfinalizować transakcję. Najpóźniej we wtorek, środę chcę się przeprowadzić na własne śmieci.

Adwokat uprzejmie odpowiedział, że we Francji dzisiejszy dzień piątek uważają za pechowy. On, mecenas Charbonneau, skłonny jest od tej chwili uważać piątki za najszczęśliwsze dni w tygodniu. Przecież właśnie dzisiaj zyskał tak dobrego klienta, który nie obciążając go żadną sprawą, już zapłacił honorarium.

Obaj panowie roześmieli się. Amerykanin spytał swojego

nowego radcy prawnego, czy nie słyszał przypadkiem o samochodzie ferrari przeznaczonym na sprzedaż. Również i adwokat poradził panu MacAreckowi, aby szukał swojego wymarzonego auta w miejscowych garażach, zajmujących się zbytem używanych wozów.

Po opuszczeniu kancelarii adwokackiej mister MacAreck wstąpił do pobliskiej kawiarni. Zamówiwszy kawę poprosił jednocześnie kelnera o informator handlowy. Gdy go otrzymał, zanotował adresy wszystkich firm zajmujących się handlem używanymi samochodami na Riwierze Francuskiej. Następnie nasz bohater odbył przejażdżkę samochodową wzdłuż całego Wybrzeża. Po drodze zatrzymywał się przed firmami samochodowymi i oglądał wozy do sprzedaży wystawione na placach. Do hotelu „Ambasador” powrócił dopiero wieczorem. Widocznie był bardzo zadowolony z wyników osiągniętych w dzisiejszym dniu, bo ze smakiem zjadł w hotelowej restauracji wystawną kolację, zapijając ją doskonałymi winami, które wybierał z dużym znawstwem. Kelner musiał przyznać, że ten Amerykanin jest chyba pierwszym jankesem tak znającym się na winach i tak umiejącym zażądać butelki mało znanej, lecz cenionej przez prawdziwych smakoszy. Również wysokość napiwku nie za duża, ale i nie za mała, kazała kelnerowi uznać w przybyłym prawdziwego dżentelmena, a nie kogoś z nowobogackich, którzy co roku tysiącami najeżdżają Francję, aby imponować swoimi dolarami.

W tym samym czasie paszport pana MacArecka trafił do dyrekcji policji w Nicei. Przeglądając, stemplując i podpisując całą stertę podobnych dokumentów dyrektor policji wyłowił ten jeden, odłożył go na bok i polecił wezwać swojego zastępcę, komisarza André Lesou.

– Nie wiem, czy czytałeś telefonogram z Paryża – zapytał

dyrektor. – Ostrzegali nas przed jakimś sławnym oszustem amerykańskim.

– Tak. Przeglądałem. Dziwne, krótkie nazwisko „Mac”.

– Ten bałwan Gareau musiał się omylić przy notowaniu treści telefonogramu albo źle usłyszał. Facet nie nazywa się „Mac”, tylko „MacAreck”. Mam tu jego paszport. W rubryce zawód ma napisane „przemysłowiec”. Oni wszyscy podają się za przemysłowców albo handlowców. Już nas zaszczycił swoją obecnością.

– Gdzie się zatrzymał?

– Oczywiście w hotelu „Ambasador”. Zawsze mieszkają w najdroższych hotelach. Służący, który przyniósł paszport, mówił, że to bardzo hojny gość. Zaraz po przyjeździe dał wszystkim wysokie napiwki. Opowiada, że chce sobie kupić dom i osiedlić się tu na stałe.

– Domu nie kupi, ale co do osiedlenia, to być może zostanie tutaj kilka lat i to na koszt państwa – roześmiał się komisarz. – Ci amerykańscy oszuści zawsze liczą na nieudolność policji francuskiej i niejeden już się przeliczył. Trzeba chyba ostrzec dyrekcję hotelu, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia.

– Właśnie chciałem cię o to prosić. Jutro na odprawie dzielnicowych również powiem im o tym ptaszku. Jego specjalność to fałszywe czek i czek bez pokrycia. Niech ostrzegą, kogo trzeba, żeby nie sprzedawano mu inaczej, jak tylko za gotówkę. Dopóki go na niczym nie nakryjemy, nic mu nie możemy zrobić, nawet ruszyć go z hotelu.

– Z dyrektorem „Ambasadora” chętnie porozmawiam – zgodził się komisarz. – I tak miałem do niego parę spraw w związku z rozpoczynającym się sezonem. Poradzę mu, żeby wymówił

gościowi hotel. Inne hotele również się ostrzeże. Na całej Riwièrze facet nie dostanie czterech gołych ścian, aby się przespać, i będzie musiał zwinąć żagle. Niech szuka szczęścia gdzie indziej.

Następnego dnia z samego rana woźny Crédit Lyonnais przyniósł panu MacAreckowi zapieczętowaną kopertę. Znajdowała się w niej książeczka czekowa i uprzejmy list zawierający podziękowanie dyrekcji banku za otwarcie rachunku bieżącego oraz zawiadomienie, że Crédit Lyonnais uznał na dobro mister MacArecka pół miliona franków (nowych franków) i w razie potrzeby chętnie otworzy mu również kredyt w odpowiedniej wysokości.

Amerikanin uważnie obejrzał książeczkę czekową i schował ją do kieszeni, a pismo podarł na drobne kawałki i wrzucił do kosza. Natomiast książeczkę czekową amerykańskiego banku schował na dno jednej z waliz. Gwiżdżąc jakąś melodię opuścił pokój i zszedł do hallu.

Portier powitał go uprzejmym, ale nie tak uniżonym ukłonem jak wczoraj i zwrócił mu paszport.

– Bardzo szanownego pana przepraszam – powiedział szef recepcji. – Ale jak długo zamierza pan być gościem naszego hotelu?

– Pobyt mam przecież opłacony z góry za cały tydzień.

– Bardzo ubolewamy, lecz zaszła fatalna pomyłka. Przez nieuwagę wynajęliśmy panu pokój zamówiony już przez kogoś innego.

– Nie szkodzi. Nie jestem grymaśny ani obraźliwy. Możecie mnie przenieść do innego numeru. Wszystko mi jedno.

– Tak nam przykro, ale wszystko mamy zamówione. Nie rozporządzamy ani jednym wolnym pokojem. Gdyby szanowny

pan mógł się wyprowadzić, to chętnie zwrócimy mu całą wpłaconą sumę.

– Panowie, nie zwracajcie mi głowy – głos mister MacArecka brzmiał gniewnie. – Szukam willi do kupna. Gdy ją znajdę, od razu wyprowadzę się z waszej budy. Jeżeli nie, to będę tutaj mieszkał przez cały tydzień i żadna siła stąd mnie nie ruszy. Zrozumiano?

Portier ukłonił się lekko i powiedział z pewnym przekąsem:

– Różne rzeczy się zdarzają, proszę szanownego pana. W każdym razie uprzedzamy, że nie będziemy mogli przedłużyć panu pobytu nawet na jedną godzinę ponad to, co zostało opłacone. A radzimy szanownemu panu wcześniej stąd wyjechać. Tutaj klimat nie dla wszystkich zdrowy.

– Niech pan przestanie zwracać głowę i nie będzie taki bezczelny. Czy wóz dla mnie jest przygotowany?

– Niestety, nie rozporządzamy samochodem. Motor się zepsuł.

– Pojadę taksówką. Proszę wezwać – wszystkie te przeciwności nie zdołały zamącić spokoju Amerykanina. Wprost odwrotnie, wydawał się całkowicie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Gdy nareszcie zamówiona taksówka podjechała pod wejście do hotelu, pan MacAreck kazał się wieźć na przystań. Tam wynajął motorówkę i przez parę godzin zażywał przyjemności opalania się w łodzi sunącej wzdłuż wybrzeża. Punktualnie o pierwszej po południu, jak to było umówione, wkroczył do siedziby firmy braci Le Chaps.

– Niestety – powiedział po przywitaniu – nie mam dzisiaj samochodu. Wóz hotelowy podobno zepsuł się, a mojego wymarzonego ferrari jeszcze nie kupiłem. Po załatwieniu naszych

interesów wybieram się na obchód firm samochodowych i mam nadzieję, że w najbliższym czasie sfinalizuję obydwie sprawy.

– My również mamy nadzieję – odpowiedział jeden z panów Le Chaps. – Wyszukaliśmy dla pana pięć interesujących obiektów. A co do samochodu to niewielkie zmartwienie. Moje auto stoi przed domem. Czy możemy już iść?

– Obaj panowie wsiedli do niebieskiej simci i trzy godziny Amerykanin oglądał obiekty polecane mu do kupna przez zawodowo wymownego pana Le Chaps. Jeden z domów szczególnie podobał się mister MacAreckowi. Ładna, w nowoczesnym stylu willa położona w dużym, pełnym kwiatów ogrodzie. Znajdowała się nieco na wzgórzu, około trzech kilometrów od centrum Nicei. Od morza dzieliły ją dobre dwa kilometry.

– O! Gdyby pan miał coś podobnego nad brzegiem morza, a przynajmniej tylko kilkaset metrów od brzegu, kupiłbym nie namyślając się ani chwili. Ta jest położona nieco za daleko, a ja muszę czuć słony zapach wody. Chcę mieć motorówkę i łódź żaglową tuż koło domu, aby w każdej chwili móc nią wypłynąć.

Na próżno pan Le Chaps zachwalał uroki willi z widokiem na panoramę całej Nicei. Na próżno tłumaczył, że przy posiadaniu samochodu odległość paruset metrów czy dwóch kilometrów nie gra żadnej roli. Amerykanin uparł się i prosił o poszukanie dla niego jeszcze innego obiektu. Jeśli się taki nie znajdzie, to dopiero wówczas pomyśli o kupnie tego domu. Natomiast słysząc dość wygórowaną cenę – pan Le Chaps podał ją z pewną nadwyżką, aby później mieć z czego opuszczać – przybysz z USA nawet się nie skrzywił. Oświadczył jedynie, że skoro zdecyduje się na któryś z pokazywanych mu obiektów, wszelkie pertraktacje prawne,

łącznie z ustaleniem ceny, prowadzić będzie jego radca prawny, mecenas Jean Charbonneau.

Przy pożegnaniu ustalono, że obaj bracia postarają się przygotować coś nowego do obejrzenia na wtorek rano, po czym pan Le Chaps odwiózł swojego klienta do centrum Nicei. Amerykanin nie udał się do hotelu, tylko zjadł obiad w jednej z restauracji na mieście, a następnie odwiedził upatrzone duże przedsiębiorstwo, zajmujące się handlem używanymi samochodami.

– Chciałbym kupić sportowego ferrari – oznajmił właścicielowi firmy.

– Niestety, nie dysponujemy w tej chwili takim wozem.

– A może wiecie, gdzie można znaleźć ten typ samochodu?

– Przykro mi, ale na Wybrzeżu nigdzie nie znajdzie pan ferrari. Te wozy bardzo rzadko trafiają do handlu. Czasem pod koniec sezonu coś się złapie. Ale taka okazja należy do wyjątków.

Amerykanin miał wyraźnie zmartwioną minę.

– Gdyby szanownego pana interesował inny podobny typ, to mamy naprawdę wyjątkową okazję. Popielaty mercedes 300 SE. Wspaniały wóz. Zupełnie nowiutki. Ma na liczniku mniej niż trzydzieści tysięcy kilometrów. Należał do bogatego hodowcy bydła z Argentyny. Facet kochał się w samochodach i to auto robiono mu w zakładach mercedesa na specjalne zamówienie. Dał za nie 12 tysięcy dolarów. Miał zamiar przejechać nim całą Europę. Zjechał tylko Austrię, Niemcy i kawałek Francji. Gdy utknął w Nicei, to grał tak długo, aż wreszcie musiał sprzedać wóz za pół ceny, żeby popłacić długi i mieć na powrót do Argentyny. Pewnie pasie teraz bydło i wspomina dobre czasy, jak się grało w ruletkę na Lazurowym Wybrzeżu.

MacAreck uważnie oglądał piękny samochód, a kupiec widząc zainteresowanie klienta ciągnął dalej:

– Miałem zamiar przetrzymać to auto do kulminacyjnego punktu sezonu. Przypuszczam, że udałoby mi się wtedy wyciągnąć za niego co najmniej dziewięć tysięcy dolarów. Ale tak się składa, że gwałtownie potrzebuję gotówki na inne interesy, więc na dobry początek sezonu gotów jestem oddać tę maszynę bez targów, tak jak stoi, za siedem tysięcy.

Kupujący namyślał się chwilę. Usiadł za kierownicą i podanym mu kluczykiem uruchomił motor. Minutę przysłuchiwał się jego równej pracy, kazał otworzyć maskę, obejrzał opony, wreszcie zdecydował:

– Dobrze. Biorę ten wóz. Marzyłem wprawdzie o ferrari, ale to także niezła maszynka.

Amerikanin wyjął z kieszeni wieczne pióro i książeczkę czekową.

– Siedem tysięcy dolarów to trzydzieści pięć tysięcy nowych franków – powiedział i zaczął wypisywać czek na tę sumę.

– Bardzo pana przepraszam – sprzedawca był wyraźnie zmieszany. – Zasadniczo nie przyjmujemy czeków, jedynie od naszych stałych klientów.

– Dziwne zwyczaje w tej Europie. U nas w Stanach Zjednoczonych wszystko kupujemy i sprzedajemy przy pomocy czeków. Któż by tam zawracał sobie głowę i obciążał kieszenie papierkami. To czek Crédit Lyonnais – oddział w Nicei. Pośle pan chłopca do banku i przyniesie panu gotówkę.

– Szanowny pan ma rację. Tylko dzisiaj jest sobota. Wszystkie

banki o tej porze już zamknięte. Jutro niedziela, a pojutrze poniedziałek – święto bankowe. Dopiero we wtorek mógłbym zrealizować czek.

– Przecież nie ucieknę z wozem, zbyt jest znaczny – roześmiał się mister MacAreck. – Zresztą jak pan uważa. Jak nie, to nie.

Wziął ze stołu wypełniony czek, włożył go do książeczki, a tę z kolei schował do kieszeni marynarki, podniósł się i sięgnął po kapelusz.

– Doprawdy nie wiem, co robić?! – sprzedawca był w wielkiej rozterce. Nie codziennie trafia się kupiec płacący z zimną krwią i bez najmniejszego targu siedem tysięcy dolarów.

– Nic na to nie poradzę. Szkoda, bo rzeczywiście podoba mi się ten wóz.

Kupiec zdecydował się.

– Zaryzykuję – powiedział. – Proszę, oto kluczyki i papiery wozu. Cesja już wypełniona, pan ją tylko potwierdzi kładąc swój podpis w tej oto rubryce. Życzę przyjemnej jazdy.

Amerikanin wyjął czek. Wręczył go właścicielowi i pożegnawszy się wyprowadził wóz na ulicę. Za chwilę zniknął na zakręcie drogi.

Popielaty mercedes szybko posuwał się ulicami Nicei. Wyjechał na bulwar nadmorski i zwiększając szybkość podążył w kierunku Cannes. Tu stanął przed jedną z kawiarni, gdzie jego nowy właściciel posilił się nieco i „oblał” swój nowy nabytek filiżanką czarnej, mocnej kawy. Po czym znowu ruszył w drogę, aby zatrzymać się przed garażem z używanymi samochodami, gdzie na wystawie stał śliczny, czerwony wóz – sportowy ferrari. Zaparkowawszy swojego mercedesa przed wejściem do garażu, mister MacAreck wszedł do środka.

– Ten wspaniały ferrari jest do nabycia? – zapytał.
– To jedyna okazja chyba w całej Francji – odpowiedział właściciel firmy. – Te samochody trafiają się w sprzedaży tylko wyjątkowo.

– Wiem o tym, bo od dawna szukałem takiej maszyny. Jeszcze w Ameryce. Czy można obejrzeć?

– Bardzo proszę. Otworzyć motor?

– Jeśli pan uprzejmy. Cudowna maszyna. Ciekaw jestem, czy szybsza od mojego mercedesa?

Kupiec spojrział na auto stojące przed wjazdem do garażu. Coś na kształt zdziwienia przebiegło po jego twarzy, lecz odrzekł spokojnie:

– Mercedesy, nie powiem, dobre wozy. Ale ani im się umywać do ferrari. To prawdziwa sportowa maszyna. Jeśli pan chce, to może pan całymi kilometrami jechać obok chorej, kulawej staruszki idącej piechotą i podpierającej się swoim kijkiem. A skoro to się panu znudzi, wystarczy jeden ruch nogą i już na liczniku wyskakuje dwieście kilometrów na godzinę. Można jeździć i po mieście, i startować w najsławniejszych wyścigach świata bez specjalnego przygotowania wozu. Nigdy się nie psuje i nigdy nic się w nim nie zużywa. Są takie ferrari, które przejechały po sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów i ani razu nie zaglądano pod maskę.

– Trochę pan przesadza – zauważył mister MacAreck.

– Trochę przesadzam – zgodził się sprzedawca, który jak każdy Francuz miał rozwinięte poczucie humoru – ale niewiele.

Mister MacAreck z upodobaniem oglądał maszynę wypytujac

o najrozmaitsze szczegóły techniczne motoru i karoserii. Wreszcie zapytał:

- Jaka jest cena tego samochodu?
- Czterdzieści pięć tysięcy – powiedział kupiec.
- A ostateczna? Tak aby wyjąć pieniądze, zapłacić i odjechać wozem?

– Niżej czterdziestu dwóch nie oddam. Tylko dlatego tak tanio, że to początek sezonu. Za dwa miesiące dostałbym nawet pięćdziesiąt.

- Albo został z wozem na następny rok.
- Dlatego mówię 42 tysiące franków.
- Dobrze – zdecydował MacArek – kupuję. Widzi pan mojego mercedesa? Ile jest wart dla pana?

Sprzedawca przelotnie spojrzął na popielaty samochód i bez namysłu rzucił cenę dwadzieścia tysięcy franków.

- Zaliczy ją pan do kupna.
- Proszę bardzo – zgodził się sprzedawca. – Da pan wóz i dwadzieścia dwa tysiące franków, a ferrari jest pański.

– W porządku – zgodził się MacArek i wyjąwszy książeczkę zaczął wypisywać czek na tę sumę. Kupiec przyglądał się temu przez chwilę, a potem zauważył:

– Kupuje pan wóz, a nawet nie uruchomił pan motoru, żeby sprawdzić, jak chodzi. Jestem uczciwym handlarzem i nie chcę, aby później miał pan do mnie pretensje o wtrzygnięcie złego towaru. Niech pan przejedzie się trochę po mieście i zobaczy, jak auto chodzi.

– Tak mi się ten samochód spodobał, że nawet zapomniałem o próbnej jeździe – roześmiał się pan MacArek. – Zawsze marzyłem o takim aucie. Chętnie się nim przejadę dla uspokojenia pańskiego kupieckiego sumienia.

– Dam panu kierowcę, który zna maszynę. Będzie siedział obok i w razie czego dopomoże panu. To jest cholernie zrywny wóz. Trzeba bardzo uważać z gazem i hamulcami. Jeden nieopatrzny ruch i można się wpakować w jakąś kabałę. A mój mechanik zna ten wóz jak własną kieszeń. Rozebrał maszynę, sprawdził wszystko do ostatniej śrubki.

– Doskonale – zgodził się Amerykanin.

Właściciel firmy wywołał z warsztatu pracownika w granatowym kombinezonie i wydał mu odpowiednie polecenie. Mister MacAreck usiadł za kierownicą, mechanik obok niego i ferrari wyjechał powoli za wrota garażu, wykręcił na zachód i zwiększając szybkość zniknął z oczu właściciela firmy. Ten natychmiast chwycił za słuchawkę telefoniczną.

– Słuchaj, Pierre – powiedział, gdy z drugiej strony rozległ się głos. – Czy sprzedałeś tego swojego popielatego mercedesa po tym Argentyńczyku?

– ...

– Co ty mówisz? Przed godziną? Za trzydzieści pięć tysięcy franków? A wiesz dlaczego dzwonię?

– ...

– Właśnie zjawił się u mnie Amerykanin i kupił mojego ferrari. Przyjechał tym popielatym mercedesem i zaproponował, abym wziął go sobie w cenie dwudziestu tysięcy franków, a na resztę ofiarował czek Credit Lyonnais.

– ...

– Tobie też zapłacił takim samym czekiem?! A to doskonały kawał. Był dzisiaj u mnie dzielnicowy i ostrzegął, że zjawił się jakiś oszust z Ameryki, który wszystko kupuje, a płaci czekami bez pokrycia. Gdy zobaczyłem tego mercedesa, od razu coś mnie

tknęło. Wyprawilem więc faceta w próbną jazdę i natychmiast dzwonię do ciebie. Zawiadam policję, aby zaraz przyjeżdżali, sam bierz wóz i wal do mnie. Postaram się gościa jakoś przetrzymać aż do waszego przyjazdu. Nakryjemy ptaszka na gorącym uczynku oszustwa. Jaki hojny! W ciągu godziny sprzedał za 20 tysięcy franków wóz, za który dopiero co zapłacił 35 tysięcy. Ale czekiem. Na czekanie na święty nigdy! No, do widzenia, bo słyszę, że już jadą. Dzwon na policję! – Ledwie właściciel firmy położył słuchawkę, gdy do pokoju wszedł mister MacAreck.

– Doskonały wóz – pochwalił. – I wcale nie tak strasznie czuły, jak pan mówił. Zupełnie dobrze mi się jechało, chociaż ten typ samochodu prowadziłem pierwszy raz w życiu. Muszę przyznać, że jest fantastycznie zwrotny.

– Proszę – powiedział kupiec. – Tu jest cesja. Pan podpisze potwierdzenie i z kolei pozwoli papiery i klucze pańskiego wozu.

Amerikanin bez słowa spełnił tę prośbę. Kupiec wahał się chwilę, wreszcie rzekł:

– Właściwie to i ja wziąłem pański wóz bez oglądania. Pan pozwoli, że każę mechanikowi go obejrzeć i wypróbować?

– Ależ proszę – zgodził się mister MacAreck. – Ja też jestem uczciwym automobilista i nie mam zamiaru pana oszukać.

Mechanik wszedł do wozu i odjechał, a panowie zostali sami.

– Może papierosa – zaproponował właściciel firmy. – Pan dawno we Francji?

– Dziękuję, chętnie zapalę. We Francji jestem dopiero niepełne dwa tygodnie. Przyjechałem z Nowego Jorku, ale chcę tutaj

się osiedlić. Szukam jakiejś willi do kupna. Na razie kupiłem samochód. Skoro zobaczyłem pańskiego ferrari, od razu zdecydowałem na niego. Nawet nieco straciłem na tym interesie, lecz ostatecznie jestem na tyle bogaty, że mogę sobie pozwolić na zaspokojenie moich zachcianek.

Panowie uprzejmie wymieniali zdania jeszcze kilkanaście minut. Mercedes jakoś nie wracał. Wreszcie pojawił się na końcu ulicy i stanął przed wejściem do garażu. Tuż obok niego zatrzymał się samochód policyjny i wysiadło z niego trzech przedstawicieli porządku publicznego. Weszli do biura.

- Gdzie jest ten oszust? – zapytał jeden z policjantów.
- To właśnie ten – kupiec wskazał mister MacArecka.
- Dobra! Zabieraj się z nami!
- Przepraszam! Nie rozumiem, o co chodzi. Dokąd mam iść.

Jestem obywatelem amerykańskim. Oto mój paszport.

Policjant niedbałym ruchem zagarnął podawany mu dokument i nie patrząc nawet do środka schował do kieszeni.

– Już my ci wytłumaczymy, o co chodzi. Dobrze zrozumiesz. A nie myśl, że to Ameryka. U nas takie numery nie przechodzą. Dla różnych „orłów” mamy dobre klatki. – No, idziesz, czy mam ci w tym pomóc – to mówiąc wyjął pałkę gumową.

– Protestuję! – zawołał oburzony Amerykanin. – Jak pan mnie traktuje!

– Dosyć tej zabawy. Wstawaj i do samochodu. Bo inaczej rodzona matka cię nie pozna. Brać go!

Dwie silne ręce chwyciły mister MacArecka za ramiona. Nie próbował nawet się bronić. Wyszedł w milczeniu z towarzyszącymi mu policjantami. Tymczasem trzeci, widocznie dowódca

tego małego patrolu, zwrócił się do właściciela garażu:

– Pan dyrektor prosił, aby pan zaraz przyjechał dla sporządzenia protokołu. Pan Pierre Malin jest już u nas.

– Zaraz tam przyjadę, tylko zamknę firmę.

Tymczasem pan MacAreck brutalnie poszturchiwany znalazł się w samochodzie policyjnym. W parę minut później wprowadzono go do gmachu dyrekcji policji. Dyrektor kazał go natychmiast przyprowadzić do swojego gabinetu.

– No cóż, panie MacAreck – roześmiał się szef policji. – Zabawa prędko się skończyła. Chciało się zrobić niezły interesik. Ale teraz trzeba będzie zapłacić. Nie lepiej było siedzieć w Nowym Jorku? Gościnne występy we Francji jakoś panu nie służą. Myślało się, że policja w staruszcze Europy taka głupia, co? A my złapaliśmy ptaszka i to na gorącym uczynku!

– Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu mnie! Żądam natychmiastowego porozumienia się z konsulem generalnym Stanów Zjednoczonych. Panowie odpowiedzą za to bezprawie.

– Słuchaj, MacAreck – zabrał głos komisarz przysłuchujący się dotychczas w milczeniu. – Ty mi tu nie skacz i protestów nie zakładaj. Twojego konsulatu też się nie boimy. Żaden konsul nie upomni się o oszusta. Bądź spokojny. Wcale nie będą tam zmarzwieni, kiedy się dowiedzą, że wrócisz do Ameryki dopiero za kilka lat.

– Jak pan śmie!

– Milcz, łobuzie! – komisarz podskoczył do Amerykanina i wymierzył mu mocny cios w twarz. Uderzony MacAreck zachwiał się i byłby stracił równowagę, gdyby nie zdołał uchwycić

za poręcz stojącego obok krzesła. Z rozbitej wargi obficie płynęła krew.

– Zapłacicie mi, panowie, za to, i to dobrze mi zapłacicie – spokojnie powiedział pobity, ocierając chusteczką krew z twarzy.

– Chłopcy – zakomenderował dyrektor – weźcie go na dół do aresztu. On chce, żebyście mu zapłacili dobrze. Więc dołóżcie mu po drodze!

Jeden z policjantów chwycił Amerykanina za rękę i szarpnął w stronę wyjścia. Drugi wyjąwszy pałkę przyłożył ją z całej siły do pleców prowadzonego. Uderzony krzyknął głośno. Posypały się następne razy...

Obaj właściciele garaży złożyli jednobrzmiące oświadczenie. Do ich przedsiębiorstw przybył nie znany im osobnik, podający się za obywatela amerykańskiego, Henry MacArecka, i usiłował kupić od nich używane luksusowe samochody, płacąc czekami bez pokrycia. Ponieważ byli już ostrzeżeni, natychmiast zawiadomili policję, która przyjechała i aresztowała oszusta na gorącym uczynku. Na dowód tego obydwaj przedsiębiorcy załączyli do swoich zeznań чеки otrzymane od oszusta. Najlepszym dowodem próby wyłudzenia było to, że oszust kupił samochód mercedes płacąc czekiem 35 tysięcy franków, a za godzinę usiłował go sprzedać za 20 tysięcy, aby w ten sposób wyłudzić od drugiego kupca znacznie droższy samochód ferrari.

Dyrektor policji podziękował obu kupcom za szybkie zawiadomienie władz, co pozwoliło na bezzwłoczne ujęcie oszusta. Wiza włoska i jugosłowiańska w paszporcie niebieskiego ptaszka wyraźnie świadczyła, że chciał on uciec wraz ze skradzionym autem przez Włochy do Jugosławii, skąd już ekstradycja złodzieja była prawie niemożliwa wobec odpowiednich porozumień prawnych.

– Sądzę – zauważył komisarz, gdy już kupcy opuścili gabinet – że najlepiej przetrzymać na dole naszego niebieskiego ptaszka aż do poniedziałku. A w poniedziałek, gdy się trochę przegłodzi, to mina mu zrzednie. Wtedy weźmiemy go na górę i zapewne przyzna się do wszystkiego.

– Trzeba by uzyskać sankcję prokuratorską – zauważył dyrektor.

– Nic pilnego. Sprawa bezsporna. Ani dzisiaj, ani w niedzielę prokuratora się nie złapie. Skoro będziemy mieli protokół z przesłuchania aresztowanego, to po prostu prześlemy do prokuratury.

– Słusznie! Niech się łobuz przyzwyczaja do francuskiego więzienia – zgodził się dyrektor. – Trzeba też będzie wziąć w poniedziałek z banku Crédit Lyonnais oświadczenie, że чеки są bez pokrycia. Wyglądają na oryginalne, a nie podrabiane. Ciekaw jestem, skąd ten oszust potrafił tak szybko zaopatrzyć się w książeczkę czekową. Przecież dopiero wczoraj przyjechał do Nicei.

– W poniedziałek niczego się nie dowiemy. Święto bankowe. Dopiero we wtorek Crédit Lyonnais będzie otwarty – zauważył komisarz.

– Nie szkodzi. Najwyżej dzień dłużej posiedzi ptaszek w naszej klatce, nim trafi do więzienia. Tym lepiej oceni jego komfort w porównaniu z aresztem w piwnicach gmachu dyrekcji policji. I tym bardziej będzie tęsknił do swojej ukochanej Ameryki lub choćby do hotelu „Ambasador”. Trzeba również dopilnować, aby ci dwaj samochodziarze bulnęli trochę forsy na nagrody dla policji. Dzięki naszemu ostrzeżeniu uchronili się przed poważną stratą. No, ale na dzisiaj starczy. Czas skończyć z urzędowaniem. Znam przyjemniejsze miejsca spędzania sobotniego popołudnia

niż w dyrekcji policji. Już słyszę, jaką awanturę robi mi żona. Obiecałem jej, że najpóźniej o czwartej będę w domu.

– Trudno. Służba nie drużba – zauważył smętnie komisarz żegnając swojego zwierzchnika i również opuszczając gmach dyrekcji.

W poniedziałek dwóch policjantów znowu wprowadziło MacArecka do gabinetu dyrektora. Piękny popielaty garnitur Amerykanina był w stanie godnym pożałowania. Pognieciony, z dużymi ciemnymi plamami od leżenia na brudnej podłodze i rozdarty w paru miejscach, widocznie w czasie szamotania się jego właściciela z policją. Sam mister MacAreck przedstawiał także żałosny widok. Nikt by w nim nie poznał teraz wytwornego dżentelmena, tak dobrze znanego w najelegantszych lokalach Nowego Jorku. Pod lewym okiem widniał wielki, czarny siniak. Rozbita wargą potwornie napuchła, nadając twarzy aresztanta jakiś dziwny, murzyński wyraz. Śnieżnobiała niedawno koszula robiła wrażenie brudnej szmaty rozchełstanej pod szyją. Amerykanin szedł podtrzymując obu rękoma spodnie, gdyż policjanci oberwali mu wszystkie guziki i zabrali szelki.

– No co, draniu – powitał go dyrektor – nabrałeś już chęci do śpiewania?

– Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu obywatela Stanów Zjednoczonych – odpowiedział mister Henry MacAreck.

– A ten znowu swoją piosenkę. Widocznie za dobrze ci było na dole. Chcesz tam wrócić. Gadaj, pókim dobry!

– Odmawiam wszelkich zeznań, dopóki nie będę miał możliwości skomunikowania się z konsulem Stanów Zjednoczonych i moim radcą prawnym, mecenasem Jean Charbonneau.

– Patrzcie go. Co za filut. Ma swojego radcę prawnego. I ciągle się dąsa. Ostatni raz pytam, MacAreck, przyznajesz się do kradzieży samochodów?

– Odmawiam wszelkich zeznań, dopóki nie porozumiem się z moim adwokatem i dopóki nie skontaktujecie mnie z konsulem USA – powtórzył aresztowany.

– No to trudno – stwierdził dyrektor policji. – Sam tego, bratku, chciałeś. Mamy sposoby przywracania ludziom zdolności mówienia. Gdy zechcemy, to u nas nawet głuchoniemi śpiewają. I tò jak śpiewają! Ty także odzyskasz władzę w języku. Mamy czas.

A zwracając się do policjantów, którzy przyprowadzili więźnia, rozkazał:

– Wziąć go jeszcze do piwnicy. Niech Jean, Antoine i Michel zajmą się nim specjalnie. Na jutro ma być gotów. Już i tak zbyt długo cackamy się z tym przybłądą amerykańskim. I niech mu wybiją z głowy chęć porozmawiania z konsulem i adwokatem.

Popychany przez policjantów MacAreck powędrował z powrotem do piwnicy.

We wtorek dyrekcja policji miała pracowity dzień. Zdarzyło się parę katastrof samochodowych i dwie kradzieże. Wszyscy mieli pełne ręce roboty. Dopiero około południa komisarz przypomniał swojemu szefowi o sprawie samochodu.

– Co z tym oszustem amerykańskim? – zapytał. – Czy przekażemy go dzisiaj prokuraturze? Trzeci dzień już u nas siedzi.

– Chyba go ugnietli na dole. Weź go na przesłuchanie, niech podpisze przyznanie się do winy. A gdy będziesz już to miał,

to pošlij akta do prokuratora, żeby dal sankcję na areszt i odeślij ptaszka do więzienia. Niech się tam nim już prokuratorzy zajmują. My swoje zrobiliśmy.

– Trzeba wziąć jeszcze oświadczenie z Credit Lyonnais, że чеки nie mają pokrycia i wyjaśnić, skąd ten drań zdobył książeczkę czekową.

– Zaraz to załatwię – powiedział szef policji. – Zadzwońię do banku. Dyrektor jest moim dobrym znajomym. Poproszę, żeby nadesłał nam takie pismo w ciągu pół godziny. Nakręć mi, mój drogi, numer banku.

Komisarz podniósł słuchawkę, wykręcił numer centrali banku i poprosiwszy dyrektora oddał słuchawkę swojemu przełożonemu.

– Mówi dyrektor policji. Drogi panie Favier, złapaliśmy w sobotę ciekawego ptaszka. Usiłował wyłudzić od jednego właściciela garażu samochód wartości 35 tysięcy franków i płacił pańskim czekiem. Na szczęście mieliśmy o nim meldunek i nakryliśmy oszusta na gorącym uczynku. Niejaki Henry MacAreck z Nowego Jorku. Niech pan nam przyśle pismo, że чеки są bez pokrycia, i wyjaśni, skąd ten łobuz zdobył wasze blankiety.

– ...

– Co pan mówi? Że mister MacAreck to znany milioner amerykański i ma w waszym banku pół miliona? Pan żartuje, dyrektorze. Crédit Lyonnais, twierdzi pan, gotów jest honorować чеки tego Amerykanina do wysokości paru milionów franków? Straszna historia! To okropne! Przecież złapaliśmy go na gorącym uczynku, gdy kupił mercedesa za 35 tysięcy franków i w godzinę później usiłował kupić drugi wóz ferrari, oddając tego mercedesa za pół ceny. Czy uczciwy człowiek tak postępuje?

– ...

– Pan twierdzi, dyrektorze, że ten Amerykanin opowiadał, że marzy o kupnie samochodu ferrari i gotów jest za taki wóz zapłacić każdą cenę? Mówi pan, że tego jankesa stać na to, aby dla własnej fantazji stracić w ciągu godziny kilkanaście tysięcy dolarów? I co my teraz zrobimy?

Dyrektor bladej jak ściana położył słuchawkę na widełki.

– Słyszałeś!?! – powiedział do swojego zastępcy. – Czeka się dobre, a my trzymamy w karczerze amerykańskiego milionera. Ty mu na dodatek rozciąłeś pięścią wargę.

– A ty kazałeś go zbić i w sobotę, i w poniedziałek. Obawiam się, że ta sprawa weźmie bardzo niemiły obrót. Taki nafaszerowany dolarami gość na pewno ma dobre stosunki, gdzie trzeba. Podniesie teraz krzyk na cały świat.

– Co robić? Co robić? – denerwował się szef nicejskiej policji. – Dawajcie mi tych dwóch łotrów, którzy mnie wpakowali w tę całą kabałę. Tego Amerykanina wziąć natychmiast na górę. Do pierwszego lepszego wolnego pokoju. Wyczyścić mu ubranie, sprowadzić fryzjera, żeby go ostrzygł. Położyć mu na oko kompres i przynieść z restauracji obiad. Ja oszaleję!

– Chyba kompres na oba oczy – zauważył ironicznie komisarz. – Wczoraj znowu kazałeś go zbić, więc ma i drugie oko podbite i kuleje na prawą nogę, bo mu kolano przetrącili kopniakiem.

Dyrektor tylko jęknął.

– Ja tych policjantów wyrzucę z pracy na zbitą mordę.

– Sam kazałeś, żeby Jean, Michel i Antoine zajęli się gościem przed dzisiejszym przesłuchaniem. A co do wyrzucenia ich z policji, to wątpię, czy zdążymy to zrobić. Najpierw zabiorą się do nas. O to bądź spokojny! Starasz się o awans i o przeniesienie do Paryża. Obecnie nie będziesz miał żadnych przeszkód, żeby

wyjechać do stolicy. Jako wolny, niczym nie skrępowany obywatel francuski!

– Przestań się śmiać, bo siedzimy na tym samym koniku.

– Niestety, wiem o tym. Znam to słynne niemieckie przysłowie „razem wziętych, razem się wiesza”. Liczę tylko, że może nie zrobią nam karnej sprawy o nadużycie władzy. Ale i to nie wiadomo. Bądź co bądź faceta przetrzymaliśmy bez zezwolenia sądu czy prokuratora grubo ponad sakramentalne 48 godzin. Nie mówiąc już o tym, że go tutaj nie głaskano. Gość obiecywał, że mu za to zapłacimy, i boję się, że obecnie ma sposobność wyrównać te rachunki.

– Więc radź, co robić – dyrektor był w coraz większej rozpacz.

– Przede wszystkim przeprosić Amerykanina i pomówić z nim, aby nie robił użytku z tej fatalnej omyłki.

– Myślisz, że takie przeproszenie mu wystarczy?

– Nie wiem. Mnie by nie wystarczyło. Ale rozmawiać z nim trzeba.

– Wiem o tym. Czekam tylko na przyjście tych dwóch przeklętych kupców.

Za chwilę obydwaj handlarze samochodów znaleźli się w gabinecie. Widocznie o niczym jeszcze nie wiedzieli, bo mieli miny ludzi wielce z siebie zadowolonych.

– Moje uszanowanie, panie dyrektorze – powiedział jeden z nich. – Właśnie tak myśleliśmy, że trzeba by ufundować jakąś nagrodę dla naszej dzielnej policji. Chyba dwa tysiące nowych franków będzie odpowiednią sumą? Co pan o tym sądzi, dyrektorze? – Mam w... wasze pieniądze. Już ja dostanę nagrodę za wasze pociągnięcie. Ładnie nas wpakowaliście!

– Co się stało, panie dyrektorze? – obydwaj kupcy nieco się zaniepokoiili.

– To się stało – dyrektor już nie panował nad swoimi nerwami i krzyczał na cały głos – że oskarżyliście niewinnego człowieka! Uczciwego obywatela Stanów Zjednoczonych. Przemysłowca, który mógłby za jedną dziesiątą część swojego majątku kupić wasze gówniane interesy. Oto, co się stało! Ale ja wam za to zapłacę! Mnie wyleją z policji. To nie! Przedtem was zniszczę! Zgnoję tu na dole, w piwnicy. Będziecie na przyszłość wiedzieli, co to znaczy wnosić niesłuszne oskarżenie. Za takie figle kodeks karny przewiduje do dwóch lat więzienia, grzywnę i odszkodowanie. Wkopaliście mnie. Rozumiem, chcieliście, żeby posada dyrektora policji była wolna i żeby zajął ją człowiek dla was wygodniejszy. Pewnie ten Barreau z Marsylii, którego chcieliście przedtem zrobić podprefektem. Ale to wam się nie uda! Wy mnie też popamiętacie!

– Co pan mówi, dyrektorze? Nic nie rozumiemy. Niech pan się uspokoi.

– Nie ma się o co kłócić, panowie – interweniował komisarz. – Dla wiadomości panów: sprawa wygląda tak, że oba czeki miały pełne pokrycie. Oskarżyliście amerykańskiego milionera. Miał fantazję stracić na mercedesie, bo mu się podobał ferrari. Jego sprawa. A wy oskarżyliście go o oszustwo i wpakowali do więzienia.

– O, przepraszam, panie komisarzu – zaprotestował jeden z handlowców – tylko nie my. A kto ostrzegał, że do Nicei przybył amerykański oszust MacAreck i puszcza w obieg czeki bez pokrycia? Kto? Właśnie policja. U mnie był dzielnicowy i mówił o tym. Dlatego zawiadomiłem dyrekcję policji, gdy tylko ten pan

przyszedł do mnie i chciał mi płacić czekiem.

– Co robić? Co teraz zrobimy? – powtarzał szef policji.

– Nic nie zrobimy. Trzeba porozmawiać z panem MacAreckiem. Przyrowadzę go tutaj.

Za chwilę do gabinetu wszedł MacAreck. Kulał z lekka, oba oczy miał podbite. Sińce przybrały już fioletowy kolorek. Ubranie wprawdzie mu oczyszczono i przyszyto brakujące guziki, ale ogolić się nie pozwolił. Lekko rudawy zarost na brodzie sterczał chyba na centymetr. Mimo takiego wyglądu Amerykanin starał się zachować godność i spokój.

– Stała się tragiczna pomyłka – zaczął dyrektor. – Wskutek złego odbioru treść telefonogramu z Paryża została zniekształcona i wzięliśmy szanownego pana za kogoś innego. Bardzo nam przykro i bardzo ubolewamy z tego powodu.

– Ostatniego zbrodniarza nie wolno traktować tak, jak w tym gmachu mnie potraktowano. Nie przedstawiono mi żadnych zarzutów. Nie pofatygowano się, żeby te zarzuty sprawdzić. Uniezwolniono mi skomunikowanie się z radcą prawnym i odmówiono zawiadomienia konsula Stanów Zjednoczonych. Siedziałem w brudnej, wilgotnej piwnicy trzy dni bez nakazu aresztowania. Parokrotnie zostałem ciężko pobity. Rozkazy bicia wydawał osobiście dyrektor policji, a w masakrowaniu mnie brał czynny udział jego zastępca. Widzi pan, komisarzu, ślady swojej pięści na mojej rozbitej wardze?

Komisarz nie odpowiedział. Spuścił głowę.

– Właśnie tak nam strasznie przykro – zaczął znowu dyrektor, ale mister MacAreck przerwał mu:

– Macie zamiar nadal katować mnie w swoich lochach?
– Ale skądże znowu. Jest pan wolny.
– Zatem do widzenia. Bezpośrednio stąd jadę do konsulatu generalnego Stanów Zjednoczonych w Marsylii, żeby mogli tam zobaczyć, jak Francja traktuje swoich sojuszników i przyjaciół. Ani chwili dłużej nie chcę z panami rozmawiać. Moim radcą prawnym jest mecenas Jean Charbonneau. Jeszcze dzisiaj upoważnię go do poczynienia odpowiednich kroków dla uzyskania satysfakcji. Żegnam panów. – Amerykanin skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Żaden z obecnych nie odezwał się ani słowem. Co zresztą można było mówić w takiej sytuacji?

W dwa dni później mecenas Charbonneau zawiadomił telefonicznie każdego z czterech panów, że zaprasza ich do siebie na godzinę piątą po południu, na konferencję w sprawie „tego ubolewania godnego incydentu.” Cała czwórka stawiała się w gabinecie adwokata punktualnie co do minuty.

– Fakty, jakie miały miejsce – zagał mecenas po przywitaniu się ze swoimi gośćmi – są panom doskonale znane. Pozwolę sobie dla porządku tylko przypomnieć, że pana MacArecka niesłusznie i bez żadnych dowodów oskarżono o oszustwo: – puszczenie w obieg czeków bez pokrycia. Został on na podstawie tego fałszywego oskarżenia aresztowany i przetrzymany niezgodnie z przepisami prawa, bez nakazu aresztu, pełne trzy dni. Mamy tu więc typowy zbieg dwóch przestępstw – niesłusznego oskarżenia i łamania praworządności. Obydwa te przestępstwa zagrożone są karą aresztu do lat pięciu, grzywną i odszkodowaniem dla pokrzywdzonego. Poza tym panom z policji grozi postępowanie dyscyplinarne i pozbawienie praw do emerytury za wszystkie lata służby.

Żaden z mężczyzn nie zabierał głosu. Milczeli. Adwokat ciągnął dalej:

– Jako Francuzowi i jako patriocie francuskiemu jest mi podwójnie przykro. Muszę się wstydzić, że tak potraktowano członka wielkiego, szlachetnego narodu amerykańskiego, który przelewał krew za naszą wolność. Muszę się też rumienić ze wstydu, dowiadując się, jak nasza francuska policja potrafi traktować bezbronnego więźnia. Mam przed sobą na biurku protokół konsylium lekarskiego. Podpisany jest przez trzech lekarzy, w tym dwóch urzędowych lekarzy sądowych w Marsylii i lekarza z konsulatu Stanów Zjednoczonych. Protokół ten stwierdza, że mister MacAreck ma na całym ciele ślady i krwawe wybroczyny wskutek pobicia. Wszystko to jest dokładnie opisane na trzech kartach maszynopisu. Poza tym pobity ma uszkodzony staw kolanowy, ranę ciętą na dolnej wardze i uderzenia w okolicach oczu, bezpośrednio zagrażających organowi wzroku. Pan MacAreck złożył w swojej sprawie doniesienie w konsulacie generalnym i porozumiewał się telefonicznie z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, który jest dobrym znajomym i przyjacielem mojego klienta.

W dniu jutrzejszym pan ambasador ma odwiedzić Quai d'Orsay i złożyć ostry protest panu ministrowi spraw zagranicznych.

Adwokat urwał na chwilę, spojrzął na siedzących wokół gości i ciągnął dalej:

– W tych warunkach, jako dobry Francuz, starałem się za wszelką cenę nie dopuścić do tak smutnych ostateczności. Długo przekonywałem mister MacArecka, aby zechciał wybaczyć panom ich szaleństwo. Wreszcie po wielu namowach uzyskałem tyle, że ten szlachetny człowiek postanowił polecić Bogu swoje krzywdy i przebaczyć wam tak, jak każdy chrześcijanin za

przykładem Jezusa Chrystusa wybacza nieprzyjaciołom swoim.

Cała czwórka podniosła głowy i odetchnęła z ulgą, a mecenas mówił:

– Wy tłumaczyłem panu MacAreckowi, że panowie zgodzą się dobrowolnie wypłacić mu tytułem choć częściowej rekompensaty za krzywdy moralne i cierpienia fizyczne skromną sumkę pięćset tysięcy nowych franków. Muszę przy tym podkreślić, że mój klient był wielkoduszny i zostawił do panów uznania podział tej sumki. Posiadam wszelkie pełnomocnictwa mister Henry MacArecka i jeżeli dzisiaj zostanie podpisana między nami odpowiednia umowa, mój klient zatelefonuje do swojego przyjaciela, pana ambasadora, aby ten nie fatygował się jutro w jego sprawie do ministerstwa spraw zagranicznych.

– Pół miliona franków! To przecież przeszło sto tysięcy dolarów. Ogromne pieniądze. I my to mamy płacić – jęknął jeden z panów.

– Przekonałem pana MacArecka, żeby się zgodził na, w porównaniu z doznanymi przykrościami, tak drobne odszkodowanie, gdyż jego krzywdziciele nie są bogatymi ludźmi. W sądzie, w razie procesu, bez trudu uzyskam wyższą sumę, ale – jak mówiłem, rzadko zdarza się tak szlachetny i wyrozumiały człowiek. Do sumy 500 tysięcy franków dojdzie jeszcze moje honorarium za to wszystko, co zrobiłem w panów interesie. Nie wezmę jednak dużo. 50 tysięcy franków wystarczy mi w zupełności. Chyba że panowie uważają, iż to jest zbyt skromna kwota wobec moich wysiłków dla polubownego załatwienia całej tej, tak nam wszystkim przykrej sprawy.

– A nie dałoby się obniżyć żądań tego jankesa? – jeden z

kupców usiłował coś utargować. – Przecież to nas zniszczy.

– Nie sądzę, żeby aż tak źle – odpowiedział adwokat. – Wszystkich panów mógłby dopiero zniszczyć proces karny i wyrok więzienia, a i za odszkodowanie także trzeba by było płacić, lecz znacznie więcej. Do tego doszłaby również grzywna. Ale nie chcę niczego panom sugerować. Macie do wyboru – wóz albo przewóz. Co kto woli!

– Nie ma się nad czym namyślać – stwierdził ten właściciel garażu, który sprzedawał Amerykaninowi samochód ferrari i który pierwszy wezwał policję. – Mamy nóż na karku. Dobrze nas złapał ten jankes. Gdybym w przyszłości zobaczył włamywacza nawet we własnym domu, to ręki nie wyciągnę w stronę telefonu. Musimy płacić! Daj pan te dokumenty, mecenasie.

– Amerykanie są jednak słownym narodem – komisarz usiłował popisać się wisielczym humorem. – Obiecywał facet, że mu za to zapłacę i rzeczywiście muszę płacić. Nie sądziłem jednak, że tak dużo i tak szybko.

Adwokat wskazał palcem odpowiednią rubrykę umowy stwierdzającej, że wszyscy czterej panowie wypłacają solidarnie panu Henry MacAreckowi kwotę 500 tysięcy nowych franków, w zamian Amerykanin zrzeka się wszelkich Pretensji do odszkodowania i zobowiązuje nie składać wniosku o wszczęcie sprawy karnej. Po podpisaniu dokumentu mecenas Charbonneau zauważył:

– Policja zwróci naturalnie mojemu klientowi i załączone do sprawy czeki oraz wyda papiery wozu.

– Odeślę je panu jutro rano – zobowiązał się dyrektor policji.

– Również zechcą panowie w dniu jutrzejszym wpłacić na

rachunek pana MacArecka w Crédit Lyonnais całą sumę. To jest nieodzowny warunek naszej umowy. Ponieważ przewidywałem, że któryś z panów może mieć trudności z tak szybkim zmobilizowaniem gotówki, uprzedziłem o tym pana Faviera. Dyrektor Crédit Lyonnais, również jako dobry Francuz i patriota Nicei, uważa, że trzeba całą sprawę utrzymać w ścisłej tajemnicy i nie dopuścić do wybuchu skandalu. To mogłoby zaszkodzić całemu naszemu miastu, a nawet całej Riwierze. Włosi na pewno wykorzystaliby tę przykrą historię, żeby reklamować swoją Riwierę i odciągnąć bogatych amerykańskich turystów z francuskiego wybrzeża. Dlatego dyrektor Favier zgodził się ze mną, że trzeba panom pomóc w wybrnięciu z sytuacji. Gotów jest przyjąć od panów weksle z rozsądnymi terminami płatności, a pokryć gotówką roszczenia mojego klienta.

– Szczwany lis z tego Faviera – zauważył z przekąsem komisarz. – Najpierw zarobił na tym jankesie, a teraz z kolei nas obędzie ze skóry.

– Ale dobrze nam się zaczął sezon – pokiwał głową jeden z kupców. – A tak się cieszyłem ze sprzedaży mercedesa. Myślałem sobie: dobry początek. I rzeczywiście...

– A co właściwie z tym mercedesem? Przecież wóz znajduje się w dyrekcji policji jako dowód rzeczowy. Możemy go odebrać?

– Mercedes został całkowicie legalnie kupiony przez mojego klienta – zauważył adwokat. – Cały dalszy ciąg tej historii nie jest jego winą. Dokumenty wyraźnie stwierdzają, że pan MacAreck jest legalnym posiadaczem tego wozu. Toteż udało mi się przekonać Amerykanina, którego szlachetność i bezinteresowność stale muszę podziwiać, żeby zatrzymał to auto. Będzie to widomy

znak, że wybaczył panom wszystkie, doznane od nich krzywdy i nie żywi żadnej urazy. Mój klient zgodził się z tą propozycją i jutro rano przyśle do gmachu dyrekcji policji kierowcę hotelowego, który odbierze i odprowadzi wóz.

Czterej dżentelmeni zebrani w gabinecie mecenasa byli tak przygnębieni, że żaden z nich nie zdobył się na głos protestu.

Rozdział XI

Szczeciński proces o „zbrodnię na bulwarze Vasco da Gama” trwał jeszcze dwa dni. Tyle czasu zabrało przemówienie prokuratora, który w świetnie zbudowanej prawniczo i oratorsko mowie dowodził winy oskarżonego. Prokurator udawał, że jedynym człowiekiem zainteresowanym w zniknięciu zamordowanej mógł być tylko jej mąż. Zyskiwał w ten sposób wolność potrzebną mu na zalegalizowanie związku z inną kobietą i pieniądze na urzeczywistnienie swoich planów założenia kawiarni. Następnie rzecznik oskarżenia szczegółowo zajął się analizą wszystkich poszlak wskazujących na oskarżonego jako na domniemanego mordercę. W konkluzji, jak to przewidywaliśmy, prokurator stwierdził, że nie widzi żadnych okoliczności łągodzących i zażądał największego wymiaru kary – kary śmierci.

Błyskotliwe w swojej treści przemówienia doskonałych adwokatów obrońców oskarżonego nie miały już tej siły dowodowej. Obaj mecenas starali się obalić wagę poszlak, kładli nacisk na to, że wina oskarżonego nie jest w pełni dowiedziona i przestrzegali przed popełnieniem omyłki sprawiedliwości – skazania niewinnego człowieka. Wyczuwało się z przemówień obrońców, jak oskarżony, ciągle nie przyznający się do winy, bardzo utrudnia ich zadanie.

Obrona byłaby niewątpliwie w lepszej sytuacji, gdyby mogła walczyć nie o absolutne uniewinnienie, a tylko o złagodzenie wyroku skazującego.

Sam oskarżony, człowiek o kamiennej twarzy, na której przez cały czas trwania procesu nie przewijało się żadne uczucie, w ostatnim słowie prosił spokojnym, zimnym tonem o wyrok uniewinniający, obstając przy tym, że żony nie zabił i do winy się nie przyznaje. Wszystko to powiedział z taką intonacją, z jaką ktoś inny zwracałby się w sklepie do ekspedienta z prośbą o pokazanie pary sznurowadeł leżących na półce.

Na ławie prasowej koledzy chcieli się zakładać 1:10, że załadnie wyrok skazujący i nawet najwięksi ryzykanci nie decydowali się na postawienie choć złotówki za uniewinnieniem.

Wreszcie sąd ogłosił wyrok. Uznano w nim oskarżonego winnym zbrodni morderstwa z premedytacją i skazano na karę śmierci. Oskarżony wysłuchał sentencji wyroku z nie mniejszym spokojem. Z podobną obojętnością słuchacze radiowi przyjmują do wiadomości komunikat meteorologiczny, podający, jaka temperatura panowała o godzinie dziewiątej wieczorem w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Tarnowie... obrońcy zapowiedzieli wniesienie rewizji do Sądu Najwyższego.

Po zamknięciu rozprawy rozmawialiśmy z prokuratorem, winszując mu świetnego przemówienia. Przedstawiciel prawa już w prywatnej rozmowie wyraził przekonanie, że wyrok śmierci nie utrzyma się. Praktyką Sądu Najwyższego w procesach poszlakowych jest zamiana kary śmierci na dożywotnie więzienie. Stanowisko Sądu Najwyższego jest słuszne. Proces poszlakowy nigdy nie daje stuprocentowej pewności winy oskarżonego, dlatego nie

należy czynić rzeczy nieodwracalnych. Przy karze dożywocia zawsze jest szansa naprawienia błędu, gdyby w przyszłości okazało się, że wyrok był istotnie pomyłką sądową.

Nazajutrz po wyroku wyjechałem ze Szczecina. Namawiałem mojego przyjaciela Henia MacArecka, żeby jechał ze mną, a właściwie, aby mnie zabrał swoim mercedesem do stolicy. Poza miłą podróżą zarobiłbym paręset złotych na kosztach biletu. Odbiłbym sobie chociaż w części deficyt powstały w różnicy między urzędową dietą a faktycznymi wydatkami. Bardziej by mi to odpowiadało niż gest Henia, który uparł się zapłacić za mój pobyt w hotelu, na czym zyskiwała tylko RSW-Prasa, co, mówiąc między nami, ani mnie grzało, ani ziębiło.

Mister MacAreck początkowo wprawdzie zgodził się na moją propozycję, później jednak oświadczył, że pewne niecierpiące zwłoki interesy zatrzymają go w Szczecinie jeszcze parę dni. Ponieważ, wiedziałem, co to za sprawa i nawet jak jej na imię, zrozumiałem, że wszelkie namowy nie odniosą skutku. Kochany Heniuś uroczyście obiecywał, że zatelefonuje do mnie za trzy, cztery dni, a więc gdy tylko przyjedzie do Warszawy.

Tak minęły przeszło dwa tygodnie. Wreszcie pewnego dnia mignął mi na Marszałkowskiej popielaty mercedes, a wieczorem rozległ się w telefonie głos przyjaciela. Mieszkał w Hotelu Europejskim i zapraszał mnie na jutro na obiad. Umówiliśmy godzinę i położyłem słuchawkę.

Henio był w doskonałym humorze. Opowiadał, że przez dwa tygodnie włóczył się po całym Pomorzu Zachodnim ze swoją „sztuką piękną” i zachwycał się tą, cudowną dziewczyną.

– Wiesz – mówił – gdy żegnała się ze mną w Szczecinie, to biedulka aż się popłakała.

– Ja myślę – odparłem. – Tyle stracić. Ile to wyniosło w pięciodolarówkach?

– Jesteś podły cynik! To wspaniała dziewczyna i zupełnie bezinteresowna. Ile ją musiałem prosić, żeby wzięła te paręset dolarów i kupiła sobie jakąś pamiątkę po mnie.

– Ale chyba ją ubłagałeś?

– Żebyś wiedział. W końcu wzięła, lecz dąsała się na mnie przez dwa dni.

– O! To musiałeś być bardzo nieszczęśliwy?

– Naturalnie. Co to dla mnie znaczy paręset dolarów? A te dwa dni bardzo mi się dłużyły.

– Podziwiam ją!

– Że taka miła i bezinteresowna?

– Nie. Że jest taką wielką artystką. Oczywiście w swoim fachu.

– W tej waszej Europie strasznie jesteście zgorzkniali. Nikt z was nie wierzy w czystą miłość i bezinteresowną przyjaźń.

– A przynajmniej między dwudziestoletnią dziewczyną a czterdziestoosmiolatnim mężczyzną – dorzuciłem.

– Zapewniam cię, że niesprawiedliwie ją osądzasz. Zresztą tę paręset dolarów, które w nią wmusiłem, należały się jej choćby jako prowizja.

– Prowizja? Za co?

– Za dobry interes, jaki zrobiłem. Pamiętasz, mówiłem ci, że w każdym kraju muszę zarobić przynajmniej na pobyt. Śmiałeś się wtedy, że gdzie jak gdzie, ale w Polsce to mi się nie uda. Zaraz po obiedzie dowiodę ci, jak bardzo się pomyliłeś. Zarobiłem i to grubo.

– Kupiłeś może brylanty z korony carskiej?

Henio roześmiał się.

– Nie mogę powiedzieć, żebyś mnie wysoko cenił. Czy ty naprawdę sądzisz, że mnie można tak łatwo oszukać? Rodak warszawski jestem. Po obiedzie wszystko ci opowiem i pokażę. A na razie bierzmy się do dzieła.

Zabraliśmy się do przekąsek. Po zaspokojeniu pierwszego głodu Henio opowiadał wiele ciekawych i zabawnych rzeczy o tym, jak sobie Polacy z Ameryki wyobrażają polską rzeczywistość i w jaki sposób te wyobrażenia konfrontują po przyjeździe do „starego kraju”. Opowiadał też, że jego znajomi Niemcy z NRF, skądinąd ludzie poważni i na wysokich stanowiskach w przemyśle, ostrzegali go, żeby wybierając się do Polski wziął ze sobą zapasy żywności i coś do picia przynajmniej na dwa dni, bo aż do dawnych granic państwa polskiego z 1939 roku będzie jechał przez zupełną pustynię, gdzie nie dostanie nawet wody do picia.

– A mówili mi – twierdził przyjaciel – nie przez złośliwość, tylko całkowicie w dobrej wierze. Do tego doszła propaganda zakłamania, że ludzie wierzą w takie bzdury.

Obiad minął w doskonałym nastroju. Gdy kelner zaproponował kawę, Henio zadysponował podanie jej w jego pokoju na pierwszym piętrze. Dodał, że ma na górze parę buteleczek, których mogą mu zazdrościć najlepsze knajpy świata. – Oczywiście – powiedział – świata, lecz nie Polski, bo tu takie same dostanie się w każdym wiejskim sklepie.

– Swoją drogą, podziwiam – rzekł – jak znakomicie u was w kraju jest rozwiązane zagadnienie dystrybucji. Jeździłem po różnych dziurach na Ziemiach Odzyskanych i wszędzie, w każdym sklepie monopolowym był pełny asortyment towarów. Do koloru

i do wyboru. Wspaniała organizacja. Nawet my, Amerykanie, moglibyśmy od was się uczyć. Zdarza się nieraz i u nas, i to w prywatnym handlu, że czasem w sklepie czegoś chwilowo zabraknie. A u was nigdy! Mimo że prawie cały handel jest uspołeczniony. Jak wy to robicie? Butelkę soplicy kupiłem w takiej małej wioszczynie, gdzie stało najwyżej dwadzieścia domów. A była tam i żubrówka, i tarniówka, i starowin, i jarzębiak... Mógłbym z pół godziny wymieniać. Tak dobrze zaopatrzonego sklepu nie znalazłbym nawet na Broadwayu.

Ogarnęło mnie słuszne uczucie dumy narodowej.

Gdy przeszliśmy na górę, Henio odczekał, aż kelner ustawi wszystko na stole. Dopiero po jego wyjściu otworzył szafę i wyciągnął z niej kilka egzemplarzy tego towaru, którego dystrybucja rzeczywiście nigdy jeszcze u nas nie zawiodła.

Mój miły gospodarz wybrał starcę, ja zadowolilem się kieliszkiem winiaczku. Przez chwilę smakowaliśmy te płyny w milczeniu. Wreszcie ciekawość przemogła i zapytałem:

– Jaki to interes zrobiłeś w kochanej ojczyźnie?

– Zaraz zobaczysz – Henio wstał, wyjął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył dużą, skórzaną walizę. Wyciągnął z niej troskliwie owinięty w irchową ściereczkę, taką od wycierania samochodów, jakiś płaski, prostokątny przedmiot. Podszedł do drzwi, przekręcił zatrzask i dopiero wówczas rozwinął irchę. Zobaczyłem w jego rękach obraz bez ram. Płótno było bardzo ciemne, obraz również nieco poczerniały ze starości. Przedstawiał on scenę religijną „Zdjęcie z Krzyża”.

– Co to jest?

– Prawdziwy Andrea del Sarto. Ten mały kawałek płótna wart jest dziesiątki, a może nawet ponad sto tysięcy dolarów. W Stanach Zjednoczonych bogaci kolekcjonerzy będą się bili o to malowidło.

– Nie wiedziałem, że jesteś takim znawcą malarstwa – zauważyłem.

– Specjalnym znawcą nie jestem, ale trochę orientuję się w cenach panujących na światowym rynku. Nie zwróciłbym nawet uwagi na obrazek, gdyby nie ta wspaniała dziewczyna, o której się tak cynicznie wyrażasz.

– O! – zainteresowałem się. Sprawa nabierała ciekawych aspektów. – To ona ci powiedziała, że to Andrea del Sarto?

– Nie. Ona tylko zwróciła uwagę na ten obraz. Zacząłem go oglądać i wtedy zauważyłem podpis. Jest stosunkowo dobrze zachowany. Można go bez trudu odcyfrować.

Wzięłem płótno do ręki i dokładnie obejrzałem. Istotnie, w prawym dolnym rogu znajdował się nieco zatarty podpis. Mogłem jednak odczytać: Andrea del Sarto i na tym cztery cyfry: 1526 – datę powstania malowidła.

– Na odwrocie jest pieczęć – zauważył z tryumfem MacA-reck.

Odwrociłem obraz blejtrmem do góry. Na jednym z czterech kawałków drzewa, na które płótno było naciągnięte, znajdowała się ciemnoczerwona plamka laku. Na niej odcisk czarnego orła cesarskich Niemiec, a pod spodem ledwie czytelne „Kaisermuseum Berlin”. Zwróciłem malowidło właścicielowi i zagadnąłem:

– W jaki sposób zdobyłeś ten obraz?

– Po prostu kupiłem od przypadkowego posiadacza. Ale to długa historia.

– Umieram z ciekawości. Proszę, opowiedz ją.
– Zgoda, ale oczywiście mogę liczyć na twoją dyskrecję? Mam zamiar wywieźć to płótno za granicę, a nie chciałbym, aby powstał jakiś szum koło tej sprawy.

– I tak nie wywieziesz. Istnieje zakaz wywozu z Polski dzieł sztuki bez zgody Ministerstwa Kultury i Sztuki.

– Jakoś sobie z tym poradzę. W najgorszym razie wywiozę bez zezwolenia. Są różne sposoby.

– Rób, jak chcesz. Na mnie możesz liczyć, że nie powiem ani słowa. A teraz cały zamieniam się w słuch.

– Było to tak – zaczął swoją opowieść Henio sadowiac się wygodnie w fotelu. – Pewnego dnia postanowiliśmy wybrać się do Pyrzyc. To takie małe miasteczko na południe od Szczecina. Stare Miasto zostało prawie doszczętnie wypalone, ale zachowały się fragmenty starych murów obronnych i parę baszt. Jedna o bardzo ciekawej konstrukcji. Marysia dużo słyszała o tej baszcie jako o jednym z najstarszych zabytków polskiej architektury fortyfikacyjnej i koniecznie chciała ją obejrzeć. Poza tym pokazywano nam jeszcze źródło, z którego, jak opowiadają, jakiś biskup Chrobrego czy też Krzywoustego chrzczył okolicznych pogan. Nawiasem mówiąc ta studnia nadaje się chyba tylko do chrztu. Jest zaniedbana i wodę ma raczej mętną. Nawet w Kanie Galilejskiej nie używaliby takiej wody do cudu z winem.

W Pyrzycach poszliśmy do restauracji, aby coś przekąsić. Było wcześniej, koło południa, więc do Szczecina nie chciało nam się wracać. Z rozmowy z przygodnie poznanymi ludźmi siedzącymi przy sąsiednim stoliku dowiedzieliśmy się, że niedaleko stąd jest jeszcze mniejsza miejscina – Trzcina-Zdrój. Nasi informatorzy mówili, że Warto tam jechać. Jezioro, miasteczko

stare, otoczone murami, okolica prześliczna. Tylko – ostrzegali – szosa bardzo podła i od dawna nie remontowana. No, ale co znaczący trochę gorsza droga dla mojego wozu? Przejedzie wszędzie.

– I w Trzcińsku znalazłeś swojego Andrea del Sarto?

– Nie przeszkadzaj – odburknął Henio. Wysączył do dna swój kieliszek i ciągnął dalej:

– Odkryłem prawdziwe чудо. Miasteczko urocze. Otoczone jeziorem w kształcie podkowy, a całe miasto okolone murem obronnym. Co kilkaset metrów stoją stare wieże. Wszędzie pełno zieleni. Prawdziwa perła żywcem wyjęta ze średniowiecza. Na paru bramach pozostały resztki ciężkich, kowanych haków. Na nich zawieszano wielkie dębowe wrota. Gdyby dziś kazać stolarzowi zrobić takie odrzwia, to przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej mógłby swoje miasteczko na noc zamykać na klucz. Mury zachowały się w całości, bez jednej przerwy, tak że nikt nie wyszedłby na zewnątrz, prócz pewnego rybaka, który obok ma-lutkiej przystani nad jeziorem ma swoją prywatną furtkę w średniowiecznych fortyfikacjach. A za murami stary piękny kościół i domki jak wycięte z pożółkłych angielskich sztychów. Uliczki brukowane płytami. Każda z nich liczy sobie co najmniej trzysta lat. Fantastyczny zabytek.

– Znam Trzcińsko-Zdrój. Byłem w nim bodaj w roku 1952. Jest naprawdę urocze.

– Urocze to mało – entuzjazmował się Henio. – Jest fantastyczne. Jak z bajki. Nawet sobie myślałem, sfilmuję to wszystko i założę w Stanach Zjednoczonych wielkie konsorcjum. Zbierzemy kapitał zakładowy kilkadziesiąt milionów dolarów. Odkupimy od rządu polskiego całe miasteczko, rozbierzemy kamień po kamieniu. Ponumeruje się je, przewiezie do Ameryki i zrekonstruuje

przy jakiejś autostradzie pomiędzy Nowym Jorkiem a Chicago. Wykopiemy nawet ściśle takie samo jezioro i obsadzimy takimi samymi drzewami. Majątek, ogromny majątek zrobilibyśmy w krótkim czasie na pokazywaniu takiego cuda. Wstęp za mury – 10 dolarów. A za murami małe domki, w nich śliczne sklepiki z luksusowymi towarami, wszędzie starożytne karczmy, oberże, zajazdy. W nich znakomite napitki ze starką i soplicą na czele. Na murach obronnych miasta średniowieczni rycerze w pancerzach, burmistrz w odpowiednio barwnym stroju sprzed czterystu lat. Podobnie poubierani mężczyźni i kobiety. Przekraczając bramę miasta zwiedzający wkracza w głąb średniowiecza. To byłby jeszcze lepszy interes niż „Disney Land”.

– A na tych średniowiecznych kamieniczkach umieścilibyście wielkie neonowe reklamy „Pijcie coca-cola”. To byłoby rzeczywiście olśniewające!

Henio roześmiał się.

– Jesteś dzisiaj naprawdę bardzo zgryźliwie usposobiony. Gdyby dobrze zapłacili, to dlaczego nie mielibyśmy wywiesić takich reklam? Business is business. Wy w Polsce za często o tym zapominacie. I dlatego nie kupię Trzcieńska-Zdroju i nie przewiozę go do Ameryki.

– Chwała Bogu!

– Ale dlaczego wy nie zrobicie takiego interesu? Przecież to mogłaby być wspaniała atrakcja turystyczna. Do Szwecji dwie godziny samolotem, a nieco dłużej promem. Przy odpowiedniej reklamie mielibyście pełno Szwedów. Za nimi zjawiliby się Norwegowie, później Anglicy i Amerykanie. Urządzić w tych kamieniczkach wygodne hotele. Nawet nie potrzebują być luksusowe. Można dużo niedociągnąć zwalić na średniowiecze. Nad jeziorem

plaża, łódki i kajaki. Tę drewnianą ruderę, dawny Dom Zdrojowy, odremontować i najlepiej zamienić na kasyno gry. Albo już w ostateczności na dobrą restaurację z porządnym dansingiem. Wszystko trochę podstylizować na XVI wiek i forsa płynie! Wielkie biura podróży dostarczą wam turystów z całego świata. W ogóle Polska jest modna, ale nie umiecie tego sprzedać.

– Żałuję wobec tego, że nie zostajesz w kraju na dłużej. Może zrobiliby cię naczelnym dyrektorem „Państwowego Przedsiębiorstwa Trzcińsko-Zdrój” do eksploatacji bogatych cudzoziemców.

– Gdyby można było umówić się z wami na procent, to kto wie, czy nie zaryzykowałbym zostać tu na jakiś rok i nie rozkręciłbym interesu. Tak jak wówczas na Alasce. Ostatecznie na turystyce znam się lepiej niż na rybach. Gwarantuję, że takie towarzystwo dobrze by zarobiło, a ja również schowałbym do kieszeni sporą sumkę. Tym bardziej że jest tam jeszcze druga atrakcja.

– Coś tam jeszcze znalazł?

– Pamiętasz? Przed wojną kursowały plotki, że Hitler jest chory. Na gruźlicę gardła czy jakąś inną chorobę krtani. Przepowiadano mu rychły zgon z tego powodu. Pogłoski te opierały się na tym, że führer przemawiał bardzo ochryłym głosem. W tym wszystkim było jednak sporo prawdy. Okazuje się, że Hitler po dojściu do władzy zamienił Trzcińsko-Zdrój na swoje prywatne uzdrowisko. Kazał wybudować w pobliżu miasteczka, ale na szczęście poza jego murami, masywny pałac, zresztą ponure gmazyszko w stylu pruskim, i przyjeżdżał tam leczyć się przed i po każdym publicznym występie. Na rozkaz „wodza” wybudowano specjalną szosę okrążającą miasteczko i łączącą Dom

Zdrojowy z pałacem. Dalej szosa miała połączenie z autostradą biegnącą do Berlina. Ostatni raz Hitler bawił w swoim pałacu w Trzcińsku-Zdroju już w czasie wojny, po słynnym zamachu von Stauffenberga w kwaterze głównej w Kętrzynie. Leczył się w Trzcińsku po doznanym szoku nerwowym i lekkiej kontuzji, jaką odniósł w czasie tego zamachu. Gdy do Trzcińska-Zdroju zbliżała się armia radziecka, stacjonujący w siedzibie führera oddział SS podminował pałac i wysadził w powietrze. Ocalały tylko podziemia, a w nich, to wprost niewiarygodne, wielkie zapasy zastawy stołowej. Najrozmaitsze talerze, półmiski, wazy i tak dalej. Wszystko z grubej, ciężkiej porcelany z napisem „Kanzlei des Führers”. Do dziś sporo tych talerzy można znaleźć w prywatnych domach mieszkańców Trzcińska-Zdroju. Podobno do niedawna w miejscowej gospodzie ludowej nie jadało się na innych naczyniach, jak tylko na zastawie Hitlera. To byłby kapitalny atut reklamowy i zaraz bym go wykorzystał, gdybym został dyrektorem przedsiębiorstwa, o którym mówiłeś.

– Dziękuję! – odpowiedziałem. – Dosyć mamy wspomnień związanych z tym panem i nie będziemy się nim reklamowali.

– Wy ciągle zapominacie, że business is business.

– Mimo wszystkich twoich namów zostaniemy chyba przy swoim. Ale co z tym obrazem?

– Otóż zwiedziliśmy cały Trzcińsko-Zdrój, kupiłem od jakiegoś chłopaka, który opowiadał mi tę historię, jeden z talerzyków, nawiasem mówiąc w Ameryce będzie on miał niezłą wartość, i jedziemy dalej. Do Szczecina, ale inną szosą. Po drodze przejeżdżamy przez jakąś wioskę, a Marysia prosi o zatrzymanie wozu, bo jej się pić zachciało. Weszliśmy do jednej z chatup.

Prosimy o wodę, a gospodarz proponuje zimne mleko, prosto z piwnicy. Może być słodkie, ale jest i kwaśne. Żona gospodarza gościnnie zaprasza do drugiej izby, nakrywa stół lnianym obrusem, stawia na nim bochen wspaniałego razowca i garnczek ze świeżutkim masełkiem własnego wyrobu, a sama biegnie do piwnicy po mleko.

– Tak was ugościli, jak tych aniołów u Piasta Kołodzieja na postrzyżynach – roześmiałem się. – Mleko było dobre? Domyślałem się, że postrzyżyny też się odbyły. Ostrzygli jednego Amerykanina.

– Znakomite! Zanim jednak gospodyni je przyniosła, wdaliśmy się w rozmowę z gospodarzem. Chłop z Grodzieńskiego, osiedlił się tu jeszcze w czerwcu 1945 roku. Był pierwszym Polakiem w całej wiosce, nie licząc czterech miejscowych autochtonów. Opowiadał ciekawe rzeczy o pierwszych dniach gospodarki w zupełnie nowych warunkach. Okoliczne łąki były jeszcze nie rozminowane. Nocami chodziły bandy żołnierzy niemieckich, usiłujących przekradać się lasami na zachód. Gospodyni coś tam zamarudziła w piwnicy, a tymczasem Marysia, jako studentka Akademii Sztuk Pięknych, zainteresowała się obrazami, którymi zwyczajem chłopskim zawieszona była cała ściana. Były tam rozmaite oleodruki różnych świętych. Oczywiście Matka Boska i Częstochowska, i Ostrobramska, i Święta Rodzina, i różni święci oraz biskupi. Ich imion ani nie znam, ani nie pamiętam. Ze sztuki świeckiej jelenie na rykowisku i sceny myśliwskie z panami w tyrolskich strojach. Nasz gospodarz z dumą objaśniał, że wszystko to przywiózł ze sobą, gdy się repatriował. A przewiózł je tak dobrze, że szkła nawet się nie potłukły.

W pewnym momencie pokazał na wiszący nad drzwiami obrazek i objaśnił, że tylko to malowidło dostał tutaj na miejscu.

„Gdy wojsko przejeżdżało, a wracało już z Berlina do siebie, do rodziny, to kiedyś zatrzymała snę przed naszym domem ciężarówka. Żołnierze prosili tak, jak państwo, o wodę. Dałem mleka i chleba. Widać było, że głodni. Jedli tu, w tej izbie, przy tym stole. Jeden z nich widząc moje obrazy powiedział – masz tylu świętych, to weź na mieszkanie jeszcze jednego. Znalazłem go w Berlinie na, ulicy, a mnie niepotrzebny. To za gościnę. I zostawił mi ten obrazek. Ale że taki stary i jakiś ciemny, więc powiesiłem go nad drzwiami i tak do tej pory wisi”.

– Marysia – ciągnął dalej mój przyjaciel – zainteresowała się obrazkiem i poprosiła o zdjęcie go ze ściany. Zdejmuję, oglądam i widzę podpis „Andrea del Sarto” i stempel muzeum. Zrozumiałem, że mam w ręku bezcenny skarb.

Henio przerwał i zajął się swoją rolą gościnnego gospodarza. Nalewał do kieliszków i filiżanek.

– Tymczasem gospodyni przyniosła mleko. Zaczęliśmy jeść i pić, a ja nie spuszczałem oczu z obrazka. Wreszcie gospodarz mówi: „Widzę, panie, że się wam Chrystus bardzo spodobał”. Przytaknąłem i pytam chłopca, czy by mi go nie sprzedał.

– Ile zapłaciłeś za niego?

– Poczekaj, nie tak szybko. Gospodarz zaczął drapać się po głowie i chłopskim zwyczajem namyślać, w końcu powiada: „a ile, panie, dacie?” Więc mówię „tysiąc”, a mój chłopiec-roztropek na to: „tysiąc to chyba dolarów, bo z Ameryki jesteście”. Jego żona jak nie huknie na niego: „Ty, jak ten drugi Judasz, chciałbyś Pana Boga sprzedać, ale niedoczekanie twoje. To grzech święte

obrazy spieniężać”. Tłumaczę gospodyni, że są specjalne sklepy, które niczego innego nie sprzedają, tylko właśnie przedmioty kultu religijnego, i nikt, nawet sam biskup, im tego za grzech nie poczytuje. Trochę babinę przekonałem, ale nie ustępuje. „Ten obraz – mówi – dostaliśmy od dobrego człowieka, chociaż może niewierzącego. Ale ze szczerego serca dał i nie godzi się go sprzedawać.” Myślę sobie, może skuszę babę pieniędzmi, więc od razu daję trzy tysiące. Tak się ze mną targowała, że dopiero przy dziesięciu tysiącach zmiękła.

– Złotych czy dolarów?

– Oczywiście dolarów. O złotych nawet nie było mowy. Ale to i tak za darmo. Masz pojęcie, ile to jest warte? Majątek!

– A Marysia namawiała cię do kupna?

– Wprost przeciwnie. Gdy już doszedłem do bodaj sześciu tysięcy, dziewczyna wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na dwór. Dalejże mi tłumaczyć, że na świecie jest mnóstwo falsyfikatów różnych dzieł sztuki. „Nie kupuj teraz – prosiła – przywieziesz rzeczoznawcę ze Szczecina, obejrzy obraz i wyceni go. Nie śpiesz się tak bardzo. Pamiętaj, że z Polski nie wolno wywozić dzieł sztuki. A w Polsce nikt ci tyle nie da, ile chcesz zapłacić.” Z dziesięć minut tak mnie maglowała. Ale ja nie głupi! Przywieźć ze Szczecina eksperta, to znaczy zdradzić tajemnicę. Wtedy chłopu odbiorą obraz i wezmą do muzeum. Tyle go będę widział. A co do tego, że oryginał, od razu widać. Obraz jest stary, ma podpis, a z drugiej strony pieczęć muzeum. Zresztą cała historia opowiedziana przez chłopca świadczy o prawdziwości malowidła. W Berlinie, w czasie walk, muzeum spłonęło. Zbiory wynoszono

w pośpiechu. Wcale nie jest dziwne, że jeden niewielki obraz mógł upaść na ulicę. Potem zaczęły się bezpośrednie walki w tym rejonie. Pożary, gruz, panika. Kto w takiej chwili myślał o malarstwie i szukał jednego zagubionego obrazka? Później szedł żołnierz, znalazł, podobało mu się i schował do plecaka. Wreszcie oddał chłopu jako rzecz dla niego bez wartości.

– Świetnie to wywiodłeś, jakbyś był przy tym. Czy ostatecznie twoja najdroższa zgodziła się na to, żebyś dal chłopu dziesięć tysięcy dolarów i zabrał obraz?

– Nie. Gdy dobiłem targu, to oświadczyła, że nie chce mieć z tym nic wspólnego i nigdy sobie nie daruje, że zachciało jej się pić i wstąpiła do tej właśnie chałupy. A mój chłopina też mówił: „Panocku, tyleście dali pieniędzy za tę świętość. Ja tam się na niej nie znam. Żebyście nie żalowali. Nie chciałbym brać was na swoje sumienie”. Nie słucałem tych głupstw, owinąłem malowidło w irchę i schowałem do bagażnika.

– A że miałeś pieniądze przy sobie?

– W Europie zawsze trzeba mieć parę groszy przy duszy. To nie Ameryka, gdzie wystarczy książeczka czekowa i telefon. Zawsze więc noszę trochę dolarów na drobne wydatki. Akurat się przydały.

– Szczególnie temu chłopu.

– I jemu, i mnie. Gdybym nie miał przy sobie, to nie mógłbym skorzystać z okazji.

Wstałem z fotela, odwinąłem obraz z irchowej ściereczki i zacząłem go dokładnie oglądać. Ciemne malowidło, chyba stare? Na farbie drobne pęknięcia. Uderzył mnie tylko ten podpis. O ile słyszałem, starzy mistrzowie nie mieli zwyczaju podpisywania swoich dzieł. To się przyjęło znacznie później. Nie przypominam

sobie, aby na obrazach w muzeach lub na reprodukcjach słynnych dzieł sztuki były podpisy Michała Anioła lub Rafaela. A przecież Andrea del Sarto pochodzi z tej samej epoki. Był ich uczniem. Mistrzowie nie podpisywali, a uczeń, zresztą nie mniej sławny, zostawił tak wyraźny podpis i nawet zaznaczył rok powstania malowidła?

– No i co? – cieszył się Henio. – Wspaniałe arcydzieło!

Żeby lepiej się przyjrzeć temu dziwnemu podpisowi, aż zdjąłem okulary i prawie nosem, jak zawsze robią to krótkowidze, wodziłem po obrazie. Wzrok mam słaby, ale powonieniem mogę się pochwalić. Wyraźnie poczułem zapach dymu. A przecież Henio mówił, że obraz wisiał w izbie gościnnej, gdzie nawet zimą rzadko się pali. Jeszcze raz pociągnąłem nosem. Nie ulega wątpliwości, że to dym. Jak gdyby obraz znajdował się przez pewien czas w wędzarni.

– Słuchaj – zapytałem Henia – gdzie ty ten obraz trzymałeś?

– Owinąłem w irchę i schowałem do bagażnika, a w Szczecinie wyjąłem stamtąd i zapakowałem do walizki. Nikomu nie pokazywałem. Jesteś pierwszym i chyba jedynym człowiekiem w Polsce, który to u mnie ogląda. Dlaczego pytasz?

– Czuję zapach dymu. Mam wrażenie, że ten obraz był uwędzony.

– To się zgadza. Przecież mówiłem ci, że muzeum w Berlinie paliło się w czasie zdobywania miasta. Potem, być może, obraz leżał na ulicy, na której szalał pożar. Dymu wszędzie było wtedy dużo i obraz nim nasiąkł. Stare malowidło może trzymać zapach długo, nawet całymi latami.

Tłumaczenie było logiczne, ale jakoś mi nie odpowiadało. Osiemnaście lat i dym nie wywietrzył? Nie mogłem w to uwierzyć. Jeszcze raz nachyliłem się nad obrazem i pociągnąłem nosem. Najwyraźniej świeży dym. Nie sprzed lat, ale najwyżej sprzed miesiąca. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wstałem i skierowałem się w stronę drzwi.

– Od tego wążania tak cię nagle przyparło – roześmiał się Henio. – Na lewo z korytarza, czwarte drzwi.

Nie wyprowadzałem go z błędu i nie odpowiedziałem ani słowa. Szybko zszedłem na dół i skierowałem się do fryzjera hotelowego. Tam kupiłem buteleczkę acetonu używanego przez panie do paznokci. Poprosiłem również fryzjera o kawałek waty. Z tym wszystkim wróciłem na górę.

– Jak ci poszło? – śmiał się mój przyjaciel,

– Dziękuję, doskonale – wyjąłem z kieszeni watę i flaszeczkę, odkorkowałem ją i namoczywszy acetonem malutki kawałek waty ostrożnie dotknąłem nią malowidła w tym miejscu, gdzie farba wchodziła na blejtram. Nos i przeczucie mnie nie zawiodły. Ciemny kolor schodził pod dotknięciem waty. Pod pierwszą warstwą farby ukazała się następna, w kolorze jasnoczerwonym.

Wziąłem większy kawał waty, obficie skropiłem go acetonem i już śmielej pociągnąłem po obrazie. Henio patrzył przerażony. Ale na nic nie zważałem. W górnym prawym rogu farba schodziła całymi płatami jeszcze łatwiej niż na blejtrami. Niebawem na tle czerwonego koloru zaczęła się rysować jakaś postać.

– Co ty robisz! – krzyknął wreszcie Henio. – Niszczysz cały obraz!

– Przeciwnie – odrzekłem. – Andrea del Sarto był uczniem Rafaela. Widocznie namalował swój landszaft na płótnie pokrytym

uprzednio farbami przez mistrza. Obraz nabierze większej wartości, kiedy się okaże, że malował go sam Rafael Santi z Urbino.

Nie patyczkując się już więcej, wylałem aceton na watę i pociągnąłem po całym obrazie. Wystarczyło parę ruchów, żeby rzekome malowidło Andrea del Sarto zniknęło bez śladu. W rękę trzymałem „dzieło” jakiegoś domorosłego pacykarza. Przedstawiało bohomaz na czerwonym tle. Swego czasu zręczni kombinatorzy wtryniali za ciężką forszę takie malunki wszędzie tam, gdzie tylko się dało.

– Co to jest? – spytał Henio wpatrując się z bezgranicznym zdumieniem w reinkarnację swojego skarbu.

– Słynne „arcydzieło sztuki”, spotykane w nieskończonej ilości odmian! Ryczący jeleń na tle czerwonego, zachodzącego słońca. Podobne egzemplarze znajdziesz na każdym bazarze. Wątpię, czy zbieracze w Stanach Zjednoczonych będą ten okaz tak wrywać sobie z ręki, jak przypuszczałeś. Sądzę, że z wywozem takiego arcydzieła nie będziesz miał żadnych trudności!

Henio stał bez słowa, jak gdyby się zamienił w słupek soli. Miał tak bezgranicznie głupią minę, że doprawdy szkoda, iż państwo nie mogli tego zobaczyć. Wziąłem obraz, troskliwie zawinąłem w irchową ściereczkę i równie troskliwie schowałem do stojącej na tapczanie walizki. Następnie umyłem ręce, gdyż ubabrałem je w farbie, wytarłem jednym z wiszących ręczników, po czym powiedziałem do Henia, który ciągle jeszcze stał jak sparaliżowany.

– Nareszcie wiem, dlaczego twoja donna miała łzy w oczach przy rozstaniu.

– Dlaczego? – wyjąkał mój przyjaciel.

– Po prostu płakała nad głupotą pewnych amerykańskich milionerów.

– Nie rozumiem.

– Zaraz ci przypomnę. Kiedyś w rozmowie ze mną, gdy zapytałem, na czym zrobiłeś taką ciężką forszę, odpowiedziałeś: „na chciwości i na zachłanności ludzkiej. Na tym, że bogaty człowiek chce być bardziej bogatym i nie pominie żadnej okazji, aby biedniejszego od siebie wyzuć z resztek jego dobytku. Wyzyskać jego nieświadomość dla własnej korzyści materialnej”. Może nie dość dokładnie zacytowałem z pamięci tę złotą myśl, ale niewątpliwie jak najwierniej oddałem jej sens. A cóż innego ty chciałeś zrobić z tym chłopem, do którego takim „dawnym przypadkiem” zaprowadziła cię rzekoma studentka Akademii Sztuk Pięknych? Sam przyznasz, że znalazłeś w niej wyjątkowo zdolną uczennicę. Nawet swojego mistrza potraciła wyprowadzić w pole.

Mój drogi przyjaciel, spryciarz i bogacz amerykański w jednej osobie, chwilę jeszcze spoglądał na mnie mrugając oczyma jak człowiek, który stara się zrozumieć jakąś trudną rzecz. Wreszcie jego oblicze wypogodziło się, a usta złożyły do uśmiechu. Przeszedł on wkrótce w paroksyzm śmiechu. Henio aż usiadł w głębokim fotelu i po prostu, jak się to mówi, „tarzał się ze śmiechu”. Potem opanował się na tyle, że mógł wstać i napełnić obydwie szklki jasną jak słoma, wystąpiła starką. Wciąż jeszcze śmiejąc się wypił do dna, a potem powiedział:

– Co za kraj! Co za wspaniały kraj! Jakie ma cudowne kobiety!